M.S. L.W. w Łodzi

Noc w „Maksimie"

RAFAŁ ORLEWSKI

Śmierć to zmiękczenie zgłoski
Życie — znak twardy
Komuś kwiat mowy polskiej
Przypną
Komuś dwubarwną kokardę

Śmierć to zwiotczenie szyi
Kiedy stwardnieje oddech
A zastrzelony w wojnę
Pies mój zawyje
Chłodem
Z którego róży czarnej pąki
Rozwiną w słowa
Bez głosek — znaki rozsypane
Jak polska, och jak polska
Mowa

1981

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 37 (1290) ROK XXV 17 GRUDNIA 1982 ROKU CENA 20

NASZ CZAS PRZESZŁY

P.R

Narodziny polskiej myśli socjalistycznej

Mija rok 1982 — sto lat od narodzin polskiego ruchu robotniczego. Nim ten ruch przybrał zorganizowane formy, w kraju i na emigracji formowała się myśl demokratyczna, a z niej — myśl socjalistyczna. Jak odbywał się ten proces? Jakie były źródła i inspiracje polskiej myśli socjalistycznej? Na te i inne pytania odpowiadają w toku redakcyjnej dyskusji:

— doc. dr hab. ALINA BARSZCZEWSKA
— dr STEFAN M. KRAKOWSKI
— dr DANUTA TOMASZEWSKA
— dr PAWEŁ SAMUŚ
— prof. dr hab. BARBARA WACHOWSKA

Redakcję reprezentowali: Karol J. STRYJSKI i Lucjusz WŁODKOWSKI.

— Zacznijmy od pytania o początki myśli i ruchu socjalistycznego w Polsce. Z tym wiąże się ściśle kwestia rodzimej inspiracji, jak i treści polskiej myśli socjalistycznej. Często jeszcze pomawia się nas o to, że socjalizm, że myśl socjalistyczna zostały przeszczepione na polski grunt. Nie jest to zarzut nowy. Stosowała go już burżuazja na początku XX wieku, a nawet i wcześniej.

A. BARSZCZEWSKA: — Genezy polskiej myśli socjalistycznej należy szukać w czasach, kiedy jeszcze w wyniku przemian gospodarczych nie pojawiła się polska klasa robotnicza. Na ogół historycy są zgodni, że początki, czy może zalążki polskiej myśli socjalistycznej zrodziły się po Powstaniu Listopadowym. Wtedy nastąpiło znaczne przewartościowanie idei demokratycznych u części emigracji polskiej, która po klęsce powstania znalazła się w Londynie. Dokonało się to w kręgu Gromady Ludu Polskiego. Elementy tego rodzaju przewartościowań odnajdujemy także w dorobku działaczy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Nie uzyskały one jednak postaci systematu, a więc kształtu, który można by określić mianem programu socjalistycznego w dzisiejszym rozumieniu. Były to pierwiastki myśli presocjalistycznej, które dopiero później przekształciły się w pewną systemową całość.

W latach trzydziestych XIX wieku do wybuchu rewolucji krakowskiej socjalizm utopijny miał charakter agrarny. Wyrastał on na podłożu ówczesnej agrarnej struktury gospodarczo-społecznej kraju, wyprzedzając oczekiwania chłopów. Gromady Ludu Polskiego, postulując wspólną własność ziemi, napotykały na skromniejsze postulaty chłopskie, ograniczające się wówczas do zniesienia uciążliwości pańszczyźnianych, a co najwyżej do pozyskania uprawianego gruntu na własność.

Zarówno w formułowaniu myśli politycznej gromadzian, jak i jej publicystycznej popularyzacji wielką rolę odegrali przedstawiciele młodej polskiej inteligencji. Do tej grupy należeli: Stanisław G. Worcell, Roch Rupniewski czy Reces Wątróbka.

P. SAMUŚ: — Myślę, że do tej grupy prekursorów myśli presocjalistycznej należałoby także zaliczyć Edwarda Dembowskiego. On także wysuwał postulat powszechnej równości, społecznej własności środków produkcji i obowiązku pracy. Pisał o konieczności zniesienia trzech form ucisku: fizycznego, ekonomicznego i umysłowego. Pod pierwszą formą rozumiał ucisk aparatu władzy państwa. Wyzwolenie ekonomiczne miało oznaczać zniesienie przewagi klas posiadających, zaś pod pojęciem ucisku umysłowego E. Dembowski rozumiał ideologiczną przewagę klas posiadających.

Źródła tych dociekań prekursorów socjalizmu są jak najbardziej rodzime, choć rodziła się ta myśl wówczas w głównej mierze w kręgach emigracji i w związku z utopijną myślą socjalistyczną rozwijaną w Europie Zachodniej. Następne pokolenie polskiej emigracji politycznej, myślę tu o tych, którzy opuścili kraj po upadku Powstania Styczniowego, włączyło się aktywnie w nurt życia międzynarodowego ruchu robotniczego. Wielu z nich uczestniczyło w pracach I Międzynarodówki.

W tym miejscu wydaje mi się ważne udzielenie odpowiedzi na pytanie: na ile myśl socjalistyczna, sformułowana na emigracji, wywierała wpływ na rozwój polskiej myśli socjalistycznej w kraju? Moim zdaniem, działalność emigracyjnych prekursorów socjalizmu wywierała początkowo niewielki wpływ na koncepcje teoretyczne rodzącego się ruchu robotniczego w kraju, była dla młodych wręcz nie znana. Dopiero wyjazd polskiej młodzieży socjalistycznej na Zachód pozwolił na zetknięcie się tych dwu nurtów: emigracyjnego i krajowego. Pozwoliło to młodym socjalistom polskim wyzwolić się z obciążeń anarchistycznych, zainspirowało ich do dalszych poszukiwań teoretycznych.

A. BARSZCZEWSKA: — Myślę, że można wykreślić wyraźną cezurę tego procesu. Jest nią rok 1864, czyli powstanie I Międzynarodówki.

Zderzenie się rodzimej myśli socjalistycznej z nurtem europejskim jeszcze mocniej ujawniło agrarystyczne aspekty presocjalizmu emigracyjnego. W przeciwieństwie do np. francuskiej myśli socjalistycznej, która rozwijała się wieloma nurtami, od socjalizmu chrześcijańskiego po skrajnie radykalne tendencje. Miała ona inne podłoże w zorganizowanym ruchu robotniczym. Natomiast polska myśl socjalistyczna rozwijała się jakby w opozycji do zachodnioeuropejskich koncepcji. W kraju nie było jeszcze wtedy bazy społecznej, właściwej dla rozwoju myśli socjalistycznej, gdyż ruch robotniczy był dopiero w postaci zalążkowej. W tym tkwiło jedno z praźródeł owych agrarystycznych tendencji.

Drugim źródłem było daleko posunięte dystansowanie się twórców tej myśli od kapitalistycznych, industrialnych przemian Zachodu. Pierwsi polscy socjaliści na emigracji uważali, że w Polsce uda się uniknąć etapu rozwoju kapitalistycznego przez zniesienie wszystkich stanów i przywilejów drogą rewolucji.

3

GIBRALTAR
Konflikt, który ma przyszłość

HENRYK SROCZYŃSKI

Brytyjczycy mają dokument stwierdzający, że Hiszpania podarowała im Gibraltar „na zawsze". Operują nim przy każdej okazji, choć okoliczności w jakich go zdobyli, nie przynoszą im chwały.

Grzbiety gibraltarskich skał chronione z dwu stron niedostępnymi skarpami i broniące dostępu z Atlantyku na Morze Śródziemne, dostały się pod panowanie Anglików w 1704 r. podczas hiszpańskiej wojny sukcesyjnej, kiedy to połączone siły brytyjsko-holenderskie trzy dni nieustannie bombardowały tę naturalną fortecę i niemal całkowicie wybiły załogę. W kilka lat później korzystając ze słabości Hiszpanów podpisano z nią w Utrechcie (1713 r.) traktat, na mocy którego „Miasto i zamek Gibraltar" zostały przekazane brytyjskiej rodzinie królewskiej „na zawsze". Jedynym ograniczeniem, które udało się wynegocjować Hiszpanii, i które zapisano w traktacie, było stwierdzenie, że Brytyjczycy nie mogą przekazać Gibraltaru innemu państwu bez umożliwienia Hiszpanii skorzystania z pierwszeństwa praw do objęcia tego terytorium.

Wnet jednak brytyjska flaga nad Gibraltarem pobudziła Hiszpanów do walki o odzyskanie tej byłej i z trudem odbitej Maurom twierdzy: korona hiszpańska przez wieki toczyła boje z Maurami o Górę Tariqa, jak zwał się Gibraltar. Słynna zwłaszcza stała się próba usunięcia Brytyjczyków z tego cypla w okresie gdy toczyła się amerykańska wojna o niepodległość. Oblężenie Gibraltaru trwało cztery lata, a rezultat jego był taki, że Hiszpania została zmuszona do potwierdzenia traktatu z Utrechtu, zaś Wielka Brytania łaskawie uznała jej władanie nad Minorką i poparła prawa korony hiszpańskiej do Florydy.

Kiedy po II wojnie rozpadały się imperia kolonialne i powstawały liczne nowe państwa, kraje Trzeciego Świata wystąpiły na forum ONZ z postulatem dekolonizacji również Gibraltaru. Atut Brytyjczyków, że Gibraltar formalnie stał się ich własnością na wieki, zbijany był łatwą wówczas do przyjęcia argumentacją, że praktycznie wszystkie ogromne obszary które wchodziły w skład imperiów kolonialnych, były „dobrowolnie" im oddawane. Komitet Dekolonizacyjny ONZ nie miał też żadnych wątpliwości co do praw Hiszpanii do Gibraltaru i w 1954 r. wydał w tej sprawie jednoznaczną decyzję.

Niechęć Anglii do rozmów z Hiszpanią na temat likwidacji tego reliktu kolonialnego w Europie irytowała państwa Trzeciego Świata. Ale rezolucje i zalecenia ONZ w tej kwestii doprowadziły tylko do tego, że Wielka Brytania przygotowała i przeprowadziła referendum na Gibraltarze. Na pytanie czy mieszkańcy wolą utrzymanie zwierzchnictwa brytyjskiego czy też przejść pod jurysdykcję Hiszpanii, 12 tys. osób uprawnionych do głosowania opowiedziało się za Zjednoczonym Królestwem, a tylko 44 osoby pragnęły związków z Hiszpanią. Wprawdzie wówczas kraj ten znajdował się pod władzą gen. Franco, ale wynik referendum był jednoznaczny. Gdy w rezultacie tego plebiscytu Wielka Brytania nadała Gibraltarowi konstytucyjne zobowiązanie, iż ludność tego terytorium nigdy nie przejdzie pod suwerenność innego państwa, doszło do ostrego napięcia w stosunkach hiszpańsko-brytyjskich. Rozdrażniony caudillo postanowił w kwietniu 1969 r. ustanowić blokadę Gibraltaru.

Blokada polegała na zerwaniu wszelkiej komunikacji, łączności i kontaktów gospodarczych z miastem — fortecą; zamknięto drogi, zlikwidowano połączenia promowe, przerwano łączność telekomunikacyjną i jednocześnie wycofano 4,7 tys. Andalu-

10

TAK SĄDZĘ

Co dalej po stanie wojennym?

1. Gdy ten numer „Odgłosów" dotrze do Czytelników będą już znane decyzje Sejmu PRL. Będziemy już znali szczegóły związane z zawieszeniem stanu wojennego. Ale pytanie: co dalej? — będzie ciągle aktualne. Sądzę, że każda decyzja Sejmu PRL musi obecnie brać pod uwagę specjalne uprawnienia dla rządu. Rząd musi bowiem nadal troszczyć się o spokój i porządek w kraju.

Nasz stosunek do państwa ulega powolnej ewolucji. Od sierpnia 1980 roku ciągle czegoś chcieliśmy od państwa, ciągle oczekiwaliśmy, że coś nam ono musi dać. Państwo jawiło się nam jako ten dobry, bogaty wujek, który ma nieprzebrane skarby i zawsze może coś nam sprezentować. A dobry wujek był bankrutem. Próbował jeszcze drobnymi prezentami uspokoić rosnące niezadowolenie, choć wiadomo było, że skutkiem może być tylko postępująca inflacja. Rosły wymagania niezadowolonych i malały możliwości ich zaspokajania. Mało kto pamiętał, że dawać można tylko z tego, co my sami wypracujemy. Mówienie o potrzebie solidnej pracy było ciągle niepopularne.

Dziś zaczynamy sobie przypominać, że państwo ma też funkcje obronne i organizacyjne. Mówimy, że państwo jest silne świadomością mas. To prawda ale jest ono również silne naszą pracą. O tym mówimy mniej chętnie. Ciągle jeszcze ludzie chcieliby dużo zarabiać, mało wkładając w to wysiłku. Ale na dłuższą metę to jest niemożliwe i nieskuteczne. Rzetelna praca musi być rzetelnie opłacana. Wiele jeszcze trzeba zmienić, aby tak było. I tu jest zarówno rola państwa, jak i nasza rola. Chcemy być samorządni i demokratyczni, ale jeszcze nie potrafimy posługiwać się należycie ani samorządem, ani demokracją.

Trzeba się będzie w nowym okresie — jaki nadchodzi — tego dalej uczyć. Tylko, że ta nauka nie może się odbywać w zanarchizowanych warunkach. Po to między innymi potrzebne jest silne państwo, aby taka nauka była możliwa. Silne państwo — to nie znaczy wyjęte spod społecznej kontroli. A społeczna kontrola — to nie samowola i anarchia, ale umiejętność widzenia interesu społecznego i działania w imię tego interesu. To także umiejętność łączenia interesu społecznego z lokalnym. To jednocześnie umiejętność dokonywania wyboru tego, co bardziej ważne i potrzebne, dostrzegania spraw nadrzędnych i podrzędnych. Inaczej — konieczność doskonalenia procesu wprowadzanych reform. I to są sprawy, którymi będziemy musieli zajmować się po zawieszeniu stanu wojennego.

2. Żyjemy jeszcze od daty do daty: od 13 do 13, od 10 do 13. Ciągle patrzymy w przeszłość, ciągle coś ktoś świętuje. Czy nie dość już tego? Czy nie czas zacząć patrzeć w przyszłość, szukać lepszych, skuteczniejszych rozwiązań? Zbliża się kolejna rocznica wydarzeń grudniowych na Wybrzeżu. Bez wątpienia trzeba pod pomnikiem złożyć kwiaty i zadumać się nad losami Polaków. Ale chyba równie ważne jak ta pamięć jest szukanie takich rozwiązań, które zapobiegłyby w przyszłości konfliktom. Sprzeczności nie unikniemy. One są naturalnym zjawiskiem. Ale trzeba szukać takich rozwiązań w naszym życiu społecznym, aby sprzeczności nie przeradzały się w konflikty.

Poszukiwanie takich rozwiązań zapoczątkował IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR. Nie wolno o tym zapominać. Realizacja uchwał IX Zjazdu napotykała i napotyka wiele różnych przeszkód i trudności. Przede wszystkim partia nie była na tyle silna, aby mogła skutecznie te uchwały realizować, kontrolować ich wykonywanie, wcielanie w życie. Dobiegająca końca kampania sprawozdawcza w partii pokazuje, że jest już dziś inna partia, że powoli, ale stale, dokonuje się proces konsolidacji, dojrzewania członków organizacji partyjnych, proces odradzania się organizacji partyjnych. To nie jest proces ani łatwy, ani szybki. Ale bez silnych, dobrze działających organizacji partyjnych nigdy partia, jako całość, nie będzie mogła spełniać należycie swojej przewodniej i kierowniczej roli. Tej roli się nie zadekretuje. Ona musi być codziennie realizowana w praktyce przez każdą organizację partyjną i każdą instancję. I tego też trzeba się uczyć.

3. W powodzi rocznic i uroczystości nie zapomnijmy o 15 grudnia, rocznicy zjednoczenia ruchu robotniczego w Polsce. Można się spierać, czy wówczas partie już do tego faktu dojrzały, czy wszystko przeprowadzono jak należało, ale nie można kwestionować konieczności dokonania samego faktu. Historia nie znosi myślenia zaczynającego się od „co by było, gdyby..." Zjednoczenie było nieuchronną, historyczną koniecznością, zapoczątkowało nowy etap w historii polskiego ruchu robotniczego, dało podstawy dla działania i kierowania uprzemysłowieniem Polski. W procesie przebudowy naszego społeczeństwa nie unikneliśmy błędów i wypaczeń. Nikt nie chce temu przeczyć. Trzeba je osądzić i nauczyć się ich w przyszłości unikać. Tych dawnych i tych nowszych. Wszystkich.

Oto, co nas czeka w najbliższych miesiącach.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przegląd prasy

TELEWIZJA MA KONKURENTA

I to bardzo groźnego. Wprawdzie nie u nas, ale na Zachodzie. Faktu to jednak nie zmienia. U nas wprawdzie ludzie telewizji nie lubią, ale ją oglądają, choć często nie ma co oglądać. Na Zachodzie natomiast telewizji często nie oglądają, bo mają co innego do oglądania.

„Nowe szaleństwo ogarnęło świat — napisał Janusz Zaremba w „Ekranie" (nr 7 z 5 grudnia 1982 r.). — **Słowo „video" powraca dziś nieustannie na łamy prasy nie tylko filmowej i telewizyjnej, ale także dzienników i tygodników, wszędzie. Reklamy, ogłoszenia, rozważania ekonomiczne, polityczne, socjopsychologiczne i psychosocjologiczne — jest wszystko. Video bulwersuje nie tylko branżę filmową i telewizyjną. Są przykłady i to świeżej daty, że powoduje wstrząsy w stabilnych do niedawna stosunkach handlowych (...) Video zmusza wysokie urzędy państwowe do opracowywania nowych ustaw administracyjno-prawnych. Video to niemal żywioł, nad którym nikt na razie nie potrafi zapanować".**

Video — mówiąc najogólniej — to urządzenie elektroniczne pozwalające na odtwarzanie z kasety dowolnego filmu telewizyjnego. Telewizyjny magnetofon kasetowy. Aby jednak móc jakiś film odtworzyć u siebie w domu w dowolnie wybranej porze, trzeba go uprzednio nagrać. I tym zajmują się specjalistyczne firmy, nie tylko legalne. Video więc to nie tylko urządzenie, ale i zjawisko kulturalne i obyczajowe.

My nie mamy się czego obawiać. video szybko do nas nie zawita. Nie uporaliśmy się — jak do tej pory — z przemysłem produkującym płyty do gramofonów. Taśmy i kasety też mamy nie najlepsze. Nie bardzo jest co na te taśmy nagrywać. Ale na Zachodzie pełny szał.

„TYGODNIK KULTURALNY" (nr 38 z 12 grudnia 1982 r.) przedrukował fragmenty reportażu z zachodnioniemieckiego tygodnika „QUICK", opatrując je gustownym zdjęciem cycatej brunetki i wymownym tytułem: „Porno i przemoc" I już teraz wiemy o co chodzi i skąd ten szok i gwałt. **„Chodzi o filmy** — pisze „Quick" — **które w kinach są wyświetlane z zastrzeżeniem wypisanym czerwoną farbą: „Dla młodzieży surowo wzbronione".** Ale nie tylko o te filmy chodzi. Różne wytwórnie, w tym pirackie, produkują filmy specjalnie dla amatorów video. Pirackie firmy robią na przykład zestawy tych scen z oficjalnych filmów, które zostały wycięte przez cenzurę obyczajową. Urząd do spraw młodzieży w Neuss zażądał objęcia zakazem wyświetlania w RFN 744 filmów video.

A oto reklama jednego z takich filmów:

„Film ten jest tak przeraźliwy, że nie zapomnicie go przez całe życie. Man Eater, kanibal, w porównaniu z potworem zombi (postacie filmowe: trupy, które w całych kohortach prą przed siebie, mordują ludzi, którzy jako „żywe trupy" przyłączają się do nich i niszczą wszystko na ziemi, gdziekolwiek stanie ich noga) są miłymi stworzeniami. Film ten zawiera skrajnie mocne i szarpiące nerwy sceny, które u wrażliwego widza mogą wywołać kłopoty zdrowotne. Nie jest to chwyt reklamowy, lecz ostrzeżenie pomyślane serio".

Produkcja takich filmów to złoty interes. Produceni — krytykowani za powszechną dostępność filmów video — powiadają, że rodzice powinni się zatroszczyć o to, czy takie film" — przeznaczone przede wszystkim i tylko dla dorosłych — oglądać będą też dzieci. Ale wszystkim wiadomo, że są to słowa bez pokrycia. Badania w RFN wykazały już, że młodzież nie tylko wie, skąd się biorą dzieci, ale widziała również jak się to robi, jakie mogą być perwersje, jak się gwałci, morduje. We Francji — jak podaje Janusz Zaremba w „Ekranie" — wprowadzono ograniczenia importowe na magnetoscopy, gdyż w 1981 roku sprzedano we Francji 260 tysięcy takich urządzeń, a w 1980 — 144 tysiące. Głównym ich producentem i eksporterem jest Japonia. Tylko w lipcu 1982 roku przemysł japoński wyprodukował 1 240 000 magnetoscopów. We Francji myśli się również o... opodatkowaniu posiadaczy takiej aparatury.

Na razie szaleństwo z video nam nie grozi. Nawet kolorowa telewizja, zważywszy cenę odbiornika kolorowej tv oraz możliwości otrzymania go w „salonie telewizyjnym". Salony to my oczywiście mamy. Handlowe zresztą. Gorzej z handlowaniem w tych salonach, nie mówiąc już o handlowaniu w sklepach. Nie ma więc się czym póki co martwić, a jak szaleństwo video do nas wreszcie po wielu, wielu latach dotrze, to już będzie pozbawione wszystkich niebezpieczeństw, jakie niesie z sobą obecnie. Miło jednak wiedzieć, że i na Zachodzie mają kłopoty, że nie ma im czego tak znów zazdrościć.

My też mamy kłopoty. Inne. Wyższej jakości mianowicie.

KŁOPOTY Z LITERATAMI

Wypowiada się o nich na łamach „ŻYCIA LITERACKIEGO" (nr 44 z 12 grudnia 1982 r.) Tadeusz Hołuj w rozmowie z Jerzym Domańskim. Drugim rozmówcą Jerzego Domańskiego jest Ryszard Kłyś niedawno wybrany I sekretarzem POP przy krakowskim oddziale (zawieszonego ciągle) ZLP. Tadeusz Hołuj powiada, że to, co działo się w krakowskim oddziale i w ogóle w ZLP **„jest ilustracją krajowej sytuacji".** Jego zdaniem Związek był jednolity do 1980 roku i mógł prowadzić akcje ogólnozwiązkowe, **„inicjować i proponować środowisku pewne pomysły".** To przecież ZLP — przypomina Tadeusz Hołuj — zainicjowało podpisywanie umów z zakładami pracy w sprawie stypendiów twórczych. Później się wszystko zmieniło.

„Sierpień — powiada dalej — zastał krakowskich literatów nie przygotowanych do tego, co się stało. Dotyczy to zresztą wszystkich organizacji w kraju. Związek przestał zajmować się sprawami wewnętrznymi, a począł podejmować sprawy dotyczące całej Polski. Znane są listy do władz, memoriały w sprawach ogólnych. To pogłębiło różnice poglądów. Część literatów po sierpniu wystąpiła z partii".

Przypomina on, że ZLP zajmował się też pomocą literatom mało piszącym i wydającym, organizował odczyty, spotkania i inne imprezy. Zawieszenie ZLP zamknęło i tę działalność. Poza tym wyraża on żal, że ZLP zaprzestał też zajmować się... literaturą.

„Niestety — mówi — **zaniechano zupełnie zajmowania się literaturą. Wcześniej były próby omawiania książek, zajmowania się warsztatem literackim. Tymi problemami ta organizacja powinna żyć, nie tylko sprawami ogólnikowymi".**

A sprawy to ważne. Sytuacja literatury, sytuacja książki nie jest dobra. Kryzys dotknął i tę dziedzinę naszego życia — takie już są prawa kryzysu — dotknął ją boleśnie, a straty tym spowodowane mogą być długotrwałe i trudne do odrobienia. Potrzeba jest współdziałania różnych organizacji działających w kulturze, aby móc skutecznie choćby tylko niwelować głębokie szkody wyrządzane kulturze przez kryzys.

Na rynek wracają pisma, jak na przykład białostockie „KONTRASTY", lub w miejsce starych pojawiają się nowe, jak na przykład poznański „WPROST". Redaktor naczelny „Kontrastów" Kira Gałczyńska w listopadowym numerze preprezentuje swoje

WIDZENIE REGIONALIZMU

W artykule wstępnym pisze ona:

„Chcemy być nadal miesięcznikiem społeczno-kulturalnym mocno tkwiącym w sprawach regionu, jego dnia dzisiejszego, ale i tradycji. Chcemy poruszać, penetrować wszystkie te problemy, które ważne dla ludzi i życia tutaj, nie przestają być żywe i ważne dla wszystkich Polaków. Tylko tak rozumieć dziś należy regionalizm — jako remedium na cywilizacyjną unifikację życia, kultury, myślenia, jako ważną część składową policentrycznego modelu życia społecznego w ogóle".

Natomiast redakcja tygodnika „Wprost" nie składa żadnej deklaracji. Pisze tylko:

„Jedno możemy obiecać naszym Czytelnikom: może to nam się czasem nie udawać, ale zawsze będziemy się starać pisać w p r o s t".

Życzymy powodzenia!

W „PRZEGLĄDZIE TECHNICZNYM" (nr 25 z 28 listopada 1982 r.) Michał Ogórek w rubryce „Michałki" tak pisze:

„W Sieradzu oddano do użytku gmach Domu Prasy. Znajdą w nim siedzibę: korespondent łódzkiego dziennika, przedstawiciel radia i telewizji oraz osoby trudniące się wydawaniem periodyku o nazwie „Nad Wartą", „Nie Warto" czy jakoś podobnie. Trzeba mieć odwagę wyznać, że spośród wielu ośrodków wydawniczych w naszym kraju, Sieradz nie jest ośrodkiem najznaczniejszym. Gdyby nie ów Dom Prasy, można by sądzić, że go tam w ogóle nie ma — ale teraz już miemy, że jest. Z wolna staje się oczywistym, że Sieradzowi Dom Prasy należał się o wiele bardziej niż komukolwiek innemu, ponieważ musi starczyć tam za całe edytorstwo, a nie tylko za pomieszczenie dla niego. Łatwo sobie wyobrazić, jak bardzo musi się napiąć taki Dom, żeby spoza niego nikt nie zauważył już braku prasy".

Prowincjonalne kompleksy leczy się w różny sposób, najczęściej taki na jaki akurat stać. Jest jednak coś niesmacznego w lekceważącym tonie stołecznego autora, który wyśmiewa skutki, nie starając się nawet musnąć przyczyn. Może odwagi zabrakło? A już bardzo niesmaczne i niskie jest dowcipkowanie z nazw, jak i nazwisk. Tym bardziej, że z nazwiska autora „Michałków" też można byłoby podowcipkować, oj można. Ale ja na to nie pójdę!

I na zakończenie ciekawostka. Anna Błazucka na łamach „ARGUMENTÓW" (nr 40 z 12—18 grudnia 1982 r.) sformułowała oryginalną hipotezę. Jej zdaniem mianowicie

SZYB W KARLINIE PODPALIŁO UFO!

Dowcipna autorka felietonów pod ogólnym tytułem „Płeć i charakter" ujawniła jeszcze jedną swą cechę: lenistwo. Bowiem udowodnienie tej hipotezy nakazała (!?) Lucjanowi Zniczowi autorowi cyklicznej pozycji o UFO w bydgoskich „FAKTACH". Ciekawym, czy autor z „Faktów" da się nabrać podobno pięknej felietonistce?

LUCJAN BOGUSZ

Za tydzień w numerze świątecznym

- Gwiazdy na gwiazdkę
- Tamtego lata w Zakopanem
- Bomba pod Olechowem
- Szymon Kobyliński o Francu Fiszerze
- Bajki pana Jachowicza
- Czy dyplomacja jest potrzebna?
- Kuwejtem jednak nie będziemy...

WIZYTA RADZIECKIEGO WICEPREMIERA

Przebywający w Polsce z roboczą wizytą zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR, przewodniczący Państwowego Komitetu Rady Ministrów ds. Planowania — **Nikołaj Bajbakow** przebywał w piątek 10 grudnia w Łodzi.

Wicepremierowi ZSRR i delegacji radzieckiej towarzyszyli przedstawiciele rządu PRL z wicepremierem, przewodniczącym Komisji Planowania przy Radzie Ministrów — **Januszem Obodowskim.** Radziecki gość spotkał się z członkiem Biura Politycznego KC PZPR I sekretarzem Komitetu Łódzkiego — **Tadeuszem Czechowiczem.**

Wicepremier Bajbakow, wicepremier Obodowski i I sekretarz KŁ Czechowicz zwiedzili jeden z najstarszych w kraju zakładów przemysłu bawełnianego — ZPB im. F. Dzierżyńskiego „Eskimo". Tow. Bajbakow żywo interesował się produkcją, warunkami pracy, a także przebiegiem modernizacji zakładu. Prowadzona jest ona bowiem głównie przy pomocy radzieckich maszyn i urządzeń, m. in. krosien STB. „Eskimo" przerabia głównie radzieckie surowce.

Radziecki gość przeprowadził rozmowy z pracownikami przy warsztatach pracy, następnie odbyło się spotkanie z aktywem polityczno-gospodarczym przedsiębiorstwa. Załoga „Eskimo" obdarowała wicepremiera ZSRR medalem pamiątkowym, wybitym z okazji 150-lecia istnienia przedsiębiorstwa. Na medalu widnieje podobizna patrona zakładów — Feliksa Dzierżyńskiego.

Następnie radziecki gość zwiedził jeden z najnowszych i nowocześniejszych zakładów łódzkich — Zakłady Tekstylno-Odzieżowe „Teofilów". Rozmawiał z pracownikami, spotkał się z aktywem przedsiębiorstwa. Wykazał duże zainteresowanie wydajnością pracy, wynikami produkcyjnymi, a także wzrostem płac załogi.

W trakcie obydwu spotkań radziecki wicepremier zapewniał, **że rząd ZSRR nadal będzie podejmował odpowiednie kroki by zapewnić polskiej gospodarce nieprzerwaną produkcję i udzieli pomocy w jak najszybszym wyjściu z kryzysu gospodarczego.**

CO STANOWI TAJEMNICĘ PAŃSTWOWĄ!

Uchwalenie ustawy o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej wypełniło lukę w naszym prawie, które dotychczas regulowało tylko fragment tego zagadnienia. Decydujące znaczenie ma tu określenie, jakie wiadomości stanowią tajemnicę państwową. Otóż zgodnie z ustawą, tajemnicą państwową jest wiadomość, której ujawnienie osobom nieupoważnionym może narazić na szkodę obronność, bezpieczeństwo lub inny ważny interes państwa. Chodzi m. in. o informacje dotyczące przygotowań obronnych w gospodarce narodowej, rodzaju i ilości uzbrojenia, gotowości bojowej i planów mobilizacyjnych sił zbrojnych, organizacji organów ochrony porządku i bezpieczeństwa publicznego. Za tajemnicę państwową uznaje się także wiadomości dotyczące np. produkcji o podstawowym znaczeniu dla gospodarki narodowej, działalności banków związanej z projektowaniem emisji znaków pieniężnych, przechowywania i transportu wartości pieniężnych, jak też informacje związane z przygotowaniem i negocjowaniem umów międzynarodowych.

Ustawa zawiera stwierdzenie, że **zachowanie tajemnicy państwowej jest obowiązkiem każdego, do czyjej wiadomości dotarła. Utrzymuje się w mocy przepisy kodeksu karnego, mówiące o odpowiedzialności karnej za naruszenie tajemnicy państwowej lub służbowej.**

Wykazy rodzajów wiadomości stanowiących tajemnicę państwową ustalane będą przez naczelne i centralne organy państwowe oraz terenowe organy władzy i administracji państwowej.

AMERYKAŃSCY BIZNESMANI PRZECIW REAGANOWSKIM OGRANICZENIOM

Na forum komisji polityki handlowej USA omawiano decyzję prezydenta Reagana zawieszającą klauzulę największego uprzywilejowania wobec Polski. Na posiedzenie komisji zaproszeni zostali przedstawiciele firm i przedsiębiorstw amerykańskich utrzymujących kontakty gospodarcze z Polską.

Szef firmy „Wear Wolf Group Ltd.", Frank Wolf oświadczył, **że decyzja prezydenta w sprawie zawieszenia wobec Polski klauzuli największego uprzywilejowania spowoduje jedynie to, że wiele przedsiębiorstw, podobnych do tego, jakie on reprezentuje, po prostu zbankrutuje. Interesy z Polską — mówił F. Wolf — są dla nas bardzo korzystne, zarówno dla USA, jak i dla Polski.** Skutki decyzji prezydenta godzą jedynie w interes robotników amerykańskich i polskich a równocześnie decyzja ta nie może przynieść żadnych korzyści politycznych.

Przedstawiciel firmy „The Aries", współpracującej z polskim przemysłem lekkim, głównie konfekcyjnym, podobnie jak i inni biznesmani składający wyjaśnienia przed komisją stwierdził, że reprezentowana przez niego firma staje po decyzji prezydenta przed groźbą bankructwa.

POLSCY EMIGRANCI — INTRUZAMI W RPA

Światowa Konferencja Pracy (CMT) informuje, że konferencja katolickich biskupów południowoafrykańskich zaapelowała do Polaków, aby nie osiedlali się w RPA, ponieważ przekształcają się w kolaborantów represyjnego reżimu, który odmawia zatrudnienia na wolnych stanowiskach pracy własnych czarnoskórych obywateli.

W ostatnich miesiąch przybywało do RPA ponad 50 Polaków tygodniowo.

Narodziny polskiej myśli socjalistycznej

Dokończenie ze strony 1

Co zaś się tyczy wpływu tej myśli na kraj, to uważam, iż mimo wielorakich trudności myśl ta jednak na ziemie polskie docierała, podobnie, jak docierały tutaj prądy myśli zachodniej.

S. M. KRAKOWSKI: — A mimo to rozwój społeczny kraju poszedł nie tyle w kierunku życzeń i postulatów twórców myśli politycznej z Gromady Ludu Polskiego, ale w tę stronę, w którą skierował go proces uprzemysłowienia ziem polskich.

B. WACHOWSKA: — Stało się to jednak dopiero znacznie później.

S. M. KRAKOWSKI: — Przekaz myśli powstałych na emigracji był znacznie utrudniony, chociażby z powodu zaborów. Myśl ta docierała fragmentami, rzadko była bezpośrednio kontynuowana. Uwidocznia się to chociażby na przykładzie II Proletariatu. Nie mogłem natrafić na ślady wpływu myśli z kręgu Gromady czy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Śmiem twierdzić, że twórcy II Proletariatu nie bardzo znali dorobek emigracyjnych poprzedników. Zaczynali oni swoją edukację polityczną nie od lektur polskich socjalistów emigracyjnych, czy nawet prac Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, ale od lektury modnych wówczas socjologów czy historyków zachodnich z nurtu pozytywistycznego. To stało się też powodem późniejszych rozterek i pewnej dwuznaczności ideowo-politycznej niektórych działaczy tego pokolenia polskich socjalistów.

B. WACHOWSKA: — Całe te dziesięciolecia rodzenia się i kształtowania polskiej myśli presocjalistycznej odpowiadały jednak pewnej rzeczywistości w kraju, procesowi, który się tam dokonywał. Rok 1882 był przecież poprzedzony okresem 60 lat żywiołowych wystąpień wyrobników i czeladników. W 1823 roku mieliśmy do czynienia z buntem czeladników w okręgu łódzkim. Plebejusze brali także udział w Powstaniu Listopadowym. Są to już zwiastuny narodzin nowej klasy i nowych nurtów walki społecznej. Po upadku powstania,w 1845 roku w okręgu łódzkim miały miejsce wystąpienia na tle głodu.

Już chociażby te przykłady dowodzą tego, że myśl pierwszych polskich socjalistów nie wyrastała z abstrakcji, ale że znajdowała zarówno swoje źródło, jak i bazę w sytuacji społecznej kraju. Rozwój tej myśli nakłada się na określone etapy i tempo przemian społeczno-politycznych na ziemiach polskich.

A. BARSZCZEWSKA: — W jakimś stopniu na pewno, ale rozwój myśli socjalistycznej z jednej strony, a ruchu robotniczego z drugiej, nie dokonywał się wcale równocześnie. Były okresy, kiedy myśl wyprzedzała rozwój ruchu i okresy, kiedy ruch ten nie mógł tej myśli przyjąć.

B. WACHOWSKA: — Stąd, że ponad 80 procent proletariatu było analfabetami. Jeszcze do lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia proletariat był w zasadzie niepiśmienny.

A. BARSZCZEWSKA: — Znacznie później będziemy mieli sytuację odwrotną: dynamicznie rozwijający się ruch będzie wyprzedzał rozwój myśli.

W rozwoju ruchu należy wyszczególnić kilka etapów. Pierwszy z nich przypada na lata po upadku Powstania Styczniowego. Tworzą się wówczas jego zręby. Później mamy okres około 20 lat dojrzewania świadomości robotników, krystalizowania się form organizacyjnych ruchu. W latach osiemdziesiątych XIX wieku następuje gwałtowne odmłodzenie się szeregów klasy robotniczej. Jest to związane z wielką falą migracji ze wsi do ośrodków miejskich w wyniku procesów pouwłaszczeniowych.

B. WACHOWSKA: — I rewolucji technicznej w przemyśle. Następuje dwudziestokrotny wzrost liczby zakładów przemysłowych.

A. BARSZCZEWSKA: — Ten gwałtownie rozrastający się przemysł wchłania wielkie rzesze robotników pierwszego pokolenia.

S. M. KRAKOWSKI: — Równocześnie pojawia się w miastach nowe pokolenie inteligencji. Część bowiem ziemiaństwa musi przejść do miasta. Ludzie ci nie do końca pogodzeni z rzeczywistością, a zarazem otwarci na świat, zrywają z ziemiańską tradycją i poszukują nowej ideologii w miejsce szlacheckiej.

A. BARSZCZEWSKA: — Są to czasy dominacji pesymizmu. Natomiast myśl socjalistyczna wnosi optymizm, ukazuje perspektywę. Stała się więc ona niesłychanie atrakcyjną dla wielu młodych inteligentów, dla młodzieży proletariackiej i chłopskiej.

S. M. KRAKOWSKI: — Myślę, że o tym optymistycznym charakterze wizji społeczeństwa socjalistycznego decydowało przekonanie o jej stosunkowo bliskiej realizacji. Dla wielu prostą drogą do społeczeństwa równości i demokracji było obalenie cara. Było to przekonanie naiwne. Jednakże wiara w to, że wielkie przemiany typu socjalistycznego mogą się dokonać za życia jednego pokolenia, stanowiła właśnie o atrakcyjności myśli socjalistycznej.

D. TOMASZEWSKA: — Trzeba jednak przypomnieć, że te nowe idee rodziły się w atmosferze zachwytu dla pozytywizmu i odkryć nauk przyrodniczych, antropologii czy socjologii. Dość popularny w niektórych kręgach młodzieży był bakuninowski anarchizm. Rodzić to może wrażenie, że zainteresowanie młodzieży nowymi ideami było szczególnie skierowane na to, co obce. Może to skłaniać ku opinii, że około roku 1880 zaistniał pewien zastój w rozwoju polskiej myśli socjalistycznej.

A. BARSZCZEWSKA: — Wyjątek stanowi tu zarówno dorobek, jak i popularność Bolesława Limanowskiego.

D. TOMASZEWSKA: — Zgoda. Ale to, że Limanowski jest popularny i czytany w kręgach młodzieży akademickiej i inteligencji w latach osiemdziesiątych wynika z podejmowanej przez niego problematyki niepodległościowej.

A. BARSZCZEWSKA: — Limanowski wzbudzał zachwyt młodzieży uczącej się i studiującej również z powodu kultu dla nauki.

B. WACHOWSKA: — Wśród lektur robotniczych dominują zaś te, które podejmują problematykę sprawiedliwości społecznej i wyzysku.

A. BARSZCZEWSKA: — W myśli prekursorów socjalizmu pojęcie sprawiedliwości traktowane jest głównie jako kategoria moralna. Jest to postulat, głoszący potrzebę wyrównania krzywd społecznych, które kiedyś szlachta wyrządziła chłopstwu, zaborcy — Polakom W ruchu robotniczym pojawia się natomiast sprawiedliwość rozumiana w kategoriach klasowych. Jest to pojęcie nowe. Rodzi się także potrzeba szukania odpowiedzi na pytanie, jakie są źródła niesprawiedliwości społecznej.

P. SAMUŚ: — Dla wielu pokoleń przychodzących do socjalizmu niezmiernie ważne były jego wartości moralne i prężność polityczna. Czynnik etyczny był dla wielu — zwłaszcza przedstawicieli inteligencji — najważniejszą motywacją wiązania się z ruchem socjalistycznym. Często na krótko zatrzymywali się oni w tym ruchu, odchodząc do innych prądów społecznych i politycznych, ale i coś z tego ruchu wynosili Podobnie atrakcyjna była sprawa niepodległości. Inne charakterystyczne zjawisko to fakt, że na ogół pierwsze programy socjalistów polskich uznawały za naczelne zadanie emancypację ideologiczną polskiego proletariatu spod wpływu ideowego klas posiadających. Obawiano się, że ruch socjalistyczny będzie zdominowany przez prądy nacjonalistyczne, że zdominują one proletariat i podporządkują go swoim celom Wszystkie jednak partie socjalistyczne nie ograniczały się tylko do walki o poprawę sytuacji klasy robotniczej, ale za kardynalne zadanie uznawały przeobrażenie losów narodu.

Jeśli zaś chodzi o pytanie dotyczące rodzimych i zagranicznych wpływów na polski ruch robotniczy i myśl socjalistyczną, to znajdujemy obok oryginalnych, własnych koncepcji również odwoływanie się do zachodniej myśli. Było to naturalne w procesie poszukiwań programowych i nie zaprzecza rodzimości polskiej myśli i ruchu socjalistycznego. Jeden z polskich socjalistów, pisząc w roku 1880 do Fryderyka Engelsa, tak określa owe związki i zależności: **„Socjalizm nie został do Polski importowany, jak o tym zapewnia burżuazja. Wyrósł on w kraju nie jako środek do działania, lecz jako naturalny wynik całości naszych stosunków społecznych".**

S. M. KRAKOWSKI: — Nie można wprowadzać sztucznego podziału na myśl i ruch, na teorię i praktykę. Trzeba pamiętać, że znakomita większość teoretyków socjalizmu, twórców myśli socjalistycznej XIX wieku i wieku XX była zarazem przywódcami tego ruchu. Ten fakt także przemawia za rodzimością ruchu socjalistycznego.

B. WACHOWSKA: — To łączenie roli teoretyka i przywódcy wynikało nie tylko z przygotowania i predyspozycji tych ludzi, ale było także wynikiem określonej konieczności. Bez tego typu ludzi ruch robotniczy nie rozwijałby się, nie byłby tak dynamiczny i atrakcyjny. Każdej fazie rozwoju ruchu politycznego towarzyszyć myśl polityczna. Inaczej ruch więdnie, zamiera.

A. BARSZCZEWSKA: — W zasadzie trzeba by było odwrócić zagadnienie i mówić o cechach specyficznych, odrębnych, które polski ruch wyróżniają z innych nurtów i prądów myślowych. Należałoby mówić o tym, co różniło i różnicowało rozwój teoretycznej myśli socjalistycznej i ruchu robotniczego w warunkach polskich od tego, co w tym okresie działo się w Europie, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Kiedy próbowano przenosić w sposób bezkrytyczny na grunt polski pewne idee popularne w innych krajach, to działania tego typu niekiedy kończyły się fiaskiem. Przykładem może być teza o wspólnej własności ziemi. Wykreowani — po uwłaszczeniu — chłopi na posiadaczy, od lat walczący o prawa do własności ziemi, nie chcieli słyszeć o wspólnej własności gruntów. Tego typu postaw i ich źródeł myśl socjalistyczna nie mogła lekceważyć.

P. SAMUŚ: — Osiągnięcia polskiej myśli socjalistycznej, wyrosłej w oparciu o naszą specyfikę, stanowią istotny wkład w dorobek międzynarodowego ruchu socjalistycznego. Dla przykładu: korzystano z przemyśleń polskich socjalistów w sprawie kojarzenia celów walki o wyzwolenie narodowe i społeczne oraz w sprawie sojuszników przyszłej rewolucji. Z drugiej strony, na polską myśl socjalistyczną — obok prac klasyków marksizmu — duży wpływ wywarły na przykład tezy „Programu Erfurckiego" niemieckiej socjaldemokracji.

Na specyfice polskiego ruchu robotniczego zaciążył poważnie brak niepodległości, a więc to, że ruch ten rozwijał się w trzech zaborach, w trzech różnych organizmach państwowych.

A. BARSZCZEWSKA: — Dwa obszary językowe, tak różny poziom stosunków ekonomiczno-społecznych.

P. SAMUŚ: — To zaciążyło zarówno na myśli, jak i na ruchu socjalistycznym. Istotny wpływ na warunki kształtowania się polskiego ruchu robotniczego miało zapóźnienie polskiego kapitalizmu, a ponadto był to inny kapitalizm niż na Zachodzie.

B. WACHOWSKA: — Polski ruch robotniczy był czymś w rodzaju pomostu pomiędzy ruchem zachodnioeuropejskim a rosyjskim. Uosobieniem tego ogniwa spajającego różne nurty w myśli socjalistycznej były poglądy i program Bolesława Limanowskiego. W jego pracach spotykamy wątki typowe dla radykalnej myśli społecznej XIX w., dla ruchu robotniczego już XX-wiecznego, wątki niepodległościowe oraz idee internacjonalistyczne.

S. M. KRAKOWSKI: — Wymieniając Bolesława Limanowskiego i zarazem porównując jego poglądy do swoistego rodzaju ogniwa łączącego, pragnę zwrócić uwagę, że w naszym ruchu robotniczym sporo było postaci, które w warunkach polskiej państwowości pewnie do ruchu socjalistycznego by nie trafiło. Ludzie ci byliby raczej twórcami ruchu demokratyczno-burżuazyjnego. Środowiska, które ruch ten winny zrodzić były zbyt słabe, za mało liczne. W związku z tym mogły one ciążyć albo ku agraryzmowi, albo ku socjalizmowi. Wybór w stronę socjalizmu dokonywał się ze względu na atrakcyjność postulatów ideowych tego ruchu. Również dlatego, że w celach bieżących był on zbieżny z postulatami postępowej myśli burżuazyjnej. Wątek zaś niepodległościowy odpowiadał głęboko zakorzenionej w polskiej świadomości tradycji patriotycznej. Stąd też u samego zarania ruchu robotniczego znaleźli się ludzie, którzy sami nie będąc marksistami, a nawet od marksizmu dalecy, odegrali w nim znaczącą rolę. Później ludzie ci, działający już w zmienionych warunkach, od ruchu robotniczego się odsunęli. Przykładem może być Józef Piłsudski.

B. WACHOWSKA: — Wynikało to z uniwersalizmu polskiego ruchu robotniczego. Stąd tak wielu ludzi przejściowo się z nim wiązało. Gdy zmieniły się warunki społeczne i polityczne ruch robotniczy podlegał ostrej polaryzacji.

S. M. KRAKOWSKI: — Ten uniwersalizm polskiej myśli i ruchu socjalistycznego był jego wielkim atutem.

A. BARSZCZEWSKA: — Ale i stanowił element pewnej jego słabości. Ta sytuacja sprawiała bowiem, że przystawali do ruchu tego ludzie, którzy pragnęli go wykorzystać dla pewnych celów taktycznych, nie zawsze zbieżnych z interesem klasy robotniczej. Był to m. in. skutek tego, że u nas nie miała miejsca klasyczna rewolucja demokratyczno-burżuazyjna. Przebiegała ona niejako w postaci zastępczej w okresie od 1807 do 1905 roku. Nie dokonała się ona w takiej postaci, aby burżuazja mogła funkcjonować instytucjonalnie. Skutkiem tego była mozaika postaw ciążących ku socjalizmowi. Rozmaite tendencje często się w tym ruchu nakładały i przeplatały, aby w stosownym czasie wystąpić w stosunku do siebie w opozycji.

B. WACHOWSKA: — To dowodzi, że polski proletariat siłą rzeczy brał na siebie zadania i cele, które wykraczały poza jego interesy klasowe. Nikt inny, żadna inna siła społeczna problemów tych nie podjęła. Dla przykładu dążenia do niepodległości i zjednoczenia państwa w Niemczech czy Włoszech podejmowały ruchy mieszczańskie, burżuazyjne. Kwestia niepodległości, zadania i cele z nią związane, podejmowane przez polski ruch robotniczy, z powodu niezrozumienia naszej specyfiki nie znajdowały sojuszników w zachodniej socjaldemokracji. Był to zarazem powód, dla którego polscy socjaliści ciążyli w sposób naturalny w kierunku ruchu rosyjskiego, który prędzej czy później musiał podjąć sprawę wielonarodowej struktury państwa socjalistycznego, który tym samym musiał się określić wobec problemu niepodległości Polski.

— Czy ten uniwersalizm, otwartość polskiego ruchu socjalistycznego, wymuszone przez warunki, nie stanowiły zagrożenia dla tego ruchu? A ponadto: w jakim stopniu o takim, a nie innym charakterze tego ruchu i treściach myśli socjalistycznej decydował proletariat, na ile tę wielowątkowość idei i celów akceptował?

A. BARSZCZEWSKA: — Przykładem tego, jak dalece myśl socjalistyczna była bliska w swojej treści proletariatowi polskiemu była rewolucja 1905 roku.

B. WACHOWSKA: — Ja bym upatrywała to wcześniej, a mianowicie w buncie łódzkim w 1892 roku.

S. M. KRAKOWSKI: — Nieco inaczej wyglądała sytuacja w polskim ruchu robotniczym w latach osiemdziesiątych XIX wieku, a już odmiennie dziesięć lat później W latach 1870—1910 na przykład ludność Łodzi wzrasta ośmiokrotnie. W tym procesie dynamicznie zmieniających się warunków, przeobrażeniom podlega klasa robotnicza, jej ruch i myśl socjalistyczna. Istotną rolę w tym procesie odegrały partie polityczne. Działacze partyjni przenosili ich programy do robotników i odwrotnie — poprzez te kontakty dokonywała się artykulacja dążeń, celów i poglądów proletariatu. A tym samym wyrażał on swój stosunek do postulatów teoretycznych. Przez dynamicznie zmieniającą się rzeczywistość, stosunki społeczne i poglądy robotników dokonywała się weryfikacja myśli socjalistycznej.

A. BARSZCZEWSKA: — Pytanie o to, w jaki sposób i w jakim zakresie funkcjonowała myśl socjalistyczna w świadomości robotników, jest pytaniem ważnym. Odpowiedź na nie jest trudna. Opierając się na materiale pamiętnikarskim można stwierdzić, że całościowo żaden program nie funkcjonował w świadomości jakiejś grupy czy odłamu klasy robotniczej. Tego jednak do końca zweryfikować nie można. Stąd wydaje mi się, że wystąpienia masowe robotników, a w tym i rewolucja 1905 roku stanowią odpowiedź na pytanie, jak dalece i w którym kierunku rozwijała się świadomość robotników, jako „klasy dla siebie". Tam też znajdujemy odpowiedź na pytanie: w jakim stopniu proletariat polski próbował realizować interesy natury ogólnospołecznej, a w tym i aspiracje narodowowyzwoleńcze?

P. SAMUŚ: — W tym okresie znajdujemy odpowiedź na pytanie o rolę inteligencji w rozwoju myśli i ruchu robotniczego. Otóż rola ta była bardzo poważna, a jej udział w ruchu socjalistycznym o wiele większy, niż na przykład w ruchu angielskim. Stanowi to także o specyfice polskiego ruchu robotniczego. Chociaż od samego jego zarania możemy spotkać w nim wybitnych robotników, zarówno działaczy, jak i współtwórców myśli programowej od „Wielkiego Proletariatu" poczynając. Robotnicy ci w większości byli samoukami, ale zarazem ludźmi o wielkiej wiedzy i talencie organizatorskim.

W rozważaniach tych na temat świadomości politycznej polskiej klasy robotniczej, musimy uwzględnić i to, że klasa ta była niejednorodna. Inne było bowiem oblicze proletariatu przemysłowego, a odmienne, bardziej złożone szeroko rozumianej klasy robotniczej. Do tego trzeba dodać mozaikę narodowościową, zróżnicowany poziom wykształcenia, kultury ogólnej. Różny też był stopień rozwoju kultury politycznej proletariatu wynikający między innymi z odmienności stosunków w Galicji, Królestwie Polskim i zaborze pruskim.

A. BARSZCZEWSKA: — Jeśli mówimy o korelacji między programem, a praktyką społeczną, to musimy stwierdzić, że o wiele prościej układały się one w ruchach zachodnioeuropejskich. Tam przeciwnikiem proletariatu była jedynie burżuazja. Natomiast na ziemiach polskich owe założenia programowe, zmierzające do określenia się proletariatu jedynie jako „klasy dla siebie", były korygowane przez brutalne realia życia politycznego, a więc i przez ucisk choćby caratu. To właśnie te realia nie pozwalały polskiemu proletariatowi nie podjąć zadań, do rozwiązania których być może na tym etapie własnego rozwoju nie był nawet przygotowany.

B. WACHOWSKA: — Stąd o wydarzeniach lat 1905—1907 mówimy często: czwarte powstanie i pierwsza rewolucja.

P. SAMUŚ: — To uświadomienie sobie przez awangardy proletariatu roli nie tylko reprezentanta klasy robotniczej, ale i narodu miało doniosłe znaczenie. Prowadziło do przejęcia przez proletariat przodownictwa w walce politycznej i narodowowyzwoleńczej.

S. M. KRAKOWSKI: — Dopiero w zasadzie Lenin opracował w pełni teoretyczne przesłanki właściwego widzenia celów walki społecznej, politycznej i narodowej. Wcześniej bowiem, klasycy marksizmu głosili, że rewolucja proletariacka rozpocznie się w najbardziej uprzemysłowionym kraju, a potem rozleje się na cały europejski kontynent. Rewolucyjny huragan zniesie także ucisk narodowy. Stąd uporczywe dopominanie się przez polskich socjalistów o rozwiązanie sprawy polskiej, naszej narodowo-państwowej przyszłości, nie było zbyt dobrze komentowane przez niektórych wybitnych przywódców ruchu robotniczego na Zachodzie. Z drugiej zaś strony idea społeczeństwa socjalistycznego bez odpowiedzi na pytanie: co z Polską? — rodziła opozycję nie tylko klas posiadających, co jest reakcją naturalną, ale i znacznej części robotników, chłopów, kleru, a także patriotycznej młodzieży inteligenckiej.

P. SAMUŚ: — Zainteresowanie Polską, stanowiskiem polskiego ruchu socjalistycznego wobec niepodległości Polski, ostrość tego problemu w okresie rewolucji 1905 roku zainspirowały Lenina do głębokiej analizy tej problematyki i włączenia kwestii narodowej do podstawowych problemów wymagających rozstrzygnięcia w sferze ideologii i praktyki rewolucyjnej.

Polscy socjaliści musieli praktycznie od samego początku tego ruchu zajmować stanowisko wobec konieczności łączenia walki o wyzwolenie narodowe i społeczne. Stanowi to w efekcie nie tylko o naszej specyfice, o specyfice polskiego ruchu robotniczego, ale i jego teoretyczny wkład w dorobek socjalistycznej myśli europejskiej. Niedługo później, bo już w rewolucji 1917 roku problematyka ta stanie się kwestią strategiczną.

Dyskusję prowadził i opracował:
KAROL JÓZEF STRYJSKI

Na zdjęciu od lewej: doc. dr hab. Alina Barszczewska, dr Paweł Samuś, dr Karol Józef Stryjski, dr Stefan M Krakowski, dr Danuta Tomaszewska, prof. dr hab. Barbara Wachowska.
Foto: M. Zajdler

Kiedy biznesman zostaje hipisem

John Zachary Le Lorean był szczęściarzem. W wieku 47 lat wyglądał jak gwiazdor filmowy i zarabiał ponad pół miliona dolarów rocznie jako członek ścisłego kierownictwa korporacji General Motors, z widokami na zajęcie drugiego miejsca w hierarchii koncernu. Jego żona była oszałamiająco piękną modelką. Mieli piękne domy, piękne dziecko i obracali się wśród pięknych ludzi. Kiedy de Lorean wybierał się na przejażdżkę, miał do wyboru 22 ciężarówki, samochody i motocykle, stanowiące jego własność. A kiedy grał w golfa, jego przeciwnikami mogli być znani przedstawiciele amerykańskiego establishmentu. Ale w 1973 r. niecierpliwy De Lorean zrezygnował z pracy w GM i rozpoczął realizację pomysłu, który był zawsze jego marzeniem i który on sam uważał za swoje przeznaczenie — stworzenie swojej własnej firmy samochodowej. Niedawno nastąpił gwałtowny koniec marzeń, którymi żywił się De Lorean. W siedem godzin po zamknięciu jego zakładów samochodowych w Irlandii Północnej przez rząd brytyjski — John de Lorean został aresztowany i oskarżony o udział w handlu narkotykami.

57-letni Le Lorean został zatrzymany przez podstawionych agentów FBI, gdy dobijał targu, będącego ostatnią fazą transakcji, która miała mu przynieść do 60 mln dolarów zysku. Następnego dnia przewieziono go w kajdankach do sądu federalnego w Los Angeles, gdzie oficjalnie postawiono go w stan oskarżenia za usiłowanie nielegalnego wejścia w posiadanie narkotyków z zamiarem ich sprzedania. Poszarzały na twarzy, nie ogolony z nie uczesanymi, siwymi włosami, początkowo milczał i patrzył tępo przed siebie. Ale kiedy jego trzecia żona, Cristina Ferrare, przyjechała z Nowego Jorku, uściskał ją i do końca przesłuchań rozmawiali cicho, trzymając się za ręce.

Prokurator James Walss domagał się kaucji wysokości 20 mln dolarów za Le Loreana. (...) Sędzia Volney Brown pozwolił zwolnić oskarżonego za kaucją 5 mln. Natomiast wyznaczył 20-milionową kaucję za jednego ze wspólników De Loreana, 50-letniego Williama Morgana Hetricka, kierownika warsztatu remontowego samolotów, podejrzanego o import narkotyków na wielką skalę. (...)

Władze twierdzą, że De Lorean został złapany w sieć już w marcu 1982 roku. Anonimowy informator zadzwonił do wydziału policji okręgu Ventura w pobliżu Los Angeles i powiedział, że podsłuchał rozmowę dwóch mężczyzn na temat przewożenia dużych sum pieniędzy. Policja zaczęła śledzić jednego ze wskazanych mężczyzn. W ten sposób natrafiła na ślad trzech czy czterech innych, a tamci z kolei zaprowadzili funkcjonariuszy do Williama Hetricka, kierownika warsztatu naprawy samolotów Morgan Aviation. Działalność Hetricka była już przedmiotem dochodzenia władz celnych i skarbowych, które zainteresowały się ogromnymi sumami pieniędzy przewożonymi przez granicę Stanów Zjednoczonych przez żonę Hetricka, i wielkimi depozytami pieniężnymi, jakie para ta umieszczała w różnych bankach. W połowie lata prowadzący śledztwo ustalili, że wszyscy ludzie wskazani przez policję okręgu Venturą pracowali dla Hetricka jako kurierzy. Zgodnie z wynikami dochodzenia zajmowali się oni zbieraniem gotówki w różnych punktach Los Angeles i okolic, a następnie lecieli samolotem do Miami lub Ft. Lauerdale, skąd dostarczali ją na łódź wycieczkową należącą do Hetricka, przycumowaną w Bahia Mar. Wiedziano, że łódź odbywa rejsy do Florida Keys i na Kajmany — punkty przerzutowe kokainy z Ameryki Południowej.

Tymczasem przedsiębiorstwo De Loreana znalazło się na progu bankructwa — i jak wykazało śledztwo — oskarżony skontaktował się z człowiekiem, który w jego przekonaniu zajmował się handlem narkotykami, a który był w rzeczywistości informatorem federalnej agencji do spraw narkotyków (DEA). Informator powiedział De Loreanowi, że ma powiązania z Hetrickiem, którego — jak twierdzi DEA — De Lorean znał od pewnego czasu. Prowadzący dochodzenie utrzymują, że De Lorean spotkał się w hotelu L'Enfant Plaza w Waszyngtonie z informatorem (określanym w aktach jako „osoba współpracująca" bez podania nazwiska) oraz agentem DEA, Johnem Valestrą, podającym się za handlarza narkotyków, Johna Vicenzę. Według oświadczenia złożonego pod przysięgą i przedłożonego sądowi „De Lorean i osoba współpracująca mówili o przemycie i dystrybucji w USA heroiny z Tajlandii i kokainy z Ameryki Południowej, co miało umożliwić zdobycie dużego kapitału dla firmy DMC". De Lorean zgodził się dostarczyć 1.8 mln dolarów w gotówce, a Vicenza 3.2 mln na zakup 220 funtów kokainy.

Było to 4 września. Władze utrzymują, że ostatecznie dobito targu 28 września. Hetrick miał być kurierem, a tajny agent DEA, Benedict J. Tisa został przedstawiony jako handlarz narkotyków. Zgodnie z aktami śledztwa, Hetrick zgodził się dostarczyć kokainę, która miała być rozprowadzona przez „osobę współpracującą". „Vicenza" powiedział De Loreanowi, że minie około pięciu tygodni, zanim ten ostatni otrzyma jakiekolwiek pieniądze ze sprzedaży, ale zyski mogą sięgnąć 60 mln dolarów. W zamian „Vicenza" miał dostać 50 proc. udziałów w przedsiebiorstwie De Loreana. 18 października Hetrick zawiadomił Tisę że tego samego dnia wraca z Florydy. Następnie umówił się ze swoim kolegą, Stephenem Arringtonem, że ten spotka się z Tisą w Los Angeles, by wymienić 55 funtów kokainy na 1,8 mln dolarów wstępnej zapłaty. Arrington pojawił się z towarem i został natychmiast aresztowany. Hetricka zatrzymano kilka godzin później.

25 października 1982 roku, w wywiadzie dla BBC pewny siebie De Lorean oświadczył, że znalazł pieniądze na ratowanie swojej firmy.

— Zamierzam utrzymać przedsiębiorstwo przy życiu, bez względu na okoliczności — powiedział. — I mamy przygotowane w tym celu fundusze.

Odmówił odpowiedzi na pytanie, skąd wziął pieniądze. Następnego dnia poleciał do Los Angeles, nie wiedząc o aresztowaniu Hetricka i widocznie przygotowany na sfinalizowanie transakcji. Dlaczego człowiek o nieprzeciętnej inteligencji i ogromnym majątku, mający kochającą żonę i dzieci, cieszący się dobrą opinią miałby zajmować się handlem narkotykami? Jego przyjaciele i wspólnicy tłumaczą to następująco: De Lorean był po prostu zaślepiony opętańczą myślą, że trzeba ratować przedsiębiorstwo. „To był desperacki czyn zdesperowanego człowieka" — mówi były pracownik biura prasowego DMC, Mike Knepper. Dawny szef spółki Avrett, Free and Fischer, która niegdyś wykonywała usługi reklamowe dla DMC, Keith Fischer, dodaje: „De Lorean poruszyłby niebo i ziemię, by ratować swoją firmę. Była dla niego jak dziecko, wręcz utożsamiał się z nią".

Jednakże dawni koledzy De Loreana z Detroit, gdzie niegdyś uchodził za „samochodowego złotego chłopaka", są mniej wyrozumiali. Twierdzą, że De Lorean od dawna przymykał oko na niektóre zasady etyki, jeśli nie prawa. Przewodniczący zarządu firmy Campbell-Ewald, która administrowała kontem reklamowym Chevroleta w czasie, gdy De Lorean kierował tą filią GM, przypomina, że De Lorean polecił kiedyś wydrukować wielkie kolorowe plakaty ze zdjęciem swoim i swojego adoptowanego syna, Zachyry'ego, a następnie rozsyłał je na koszt firmy jako karty świąteczne z okazji Bożego Narodzenia. Dziennikarze, weterani z Detroit pamiętają, że kiedy De Lorean opuścił GM, został najpierw prezesem Krajowego Związku Przedsiębiorców. Powiedział wtedy Johnny'emu Carsonowi oraz innym reporterom, że pełni swoją funkcję społecznie, nie otrzymując żadnego wynagrodzenia. W rzeczywistości GM zapłaciło mu 200 tys. dolarów. „John kłamał na każdym kroku" — twierdzi emerytowany kierownik biura prasowego GM, który pracował z De Loreanem, Waldo McNaught.

De Lorean, syn robotnika z Detroit, jak sam się określał, był dzieckiem ulicy. Uczęszczając do college'u utrzymywał się z gry na saksofonie w zespołach tanecznych. Podczas pracy u Chryslera i u Packarda zdobył dyplom inżyniera studiując jednocześnie na wydziale zarządzania przedsiębiorstwem. Następnie podjął pracę w firmie Pontiac (filia GM) jako inżynier. Tam jego nauczycielem był Semon E. (Bunkie) Knudsen, ówczesny naczelny dyrektor Pontiaca. Młody De Lorean szybko został głównym inżynierem, a potem następcą Knudsena. Pod jego kierownictwem wzrosła liczba sprzedawanych samochodów Pontiaca i De Lorean został w nagrodę szefem Chevroleta. Podobnie jak w przypadku Pontiaca, De Lorean znów doprowadził do zwiększenia zysków dzięki rozumnej polityce sprzedaży i zastosowaniu nowych rozwiązań technicznych. Został mianowany wiceprezesem całego koncernu GM, zarządzającym wszystkimi filiami na terenie Stanów Zjednoczonych.

Okazało się to niezbyt szczęśliwym rozwiązaniem zarówno dla GM, jak i dla De Loreana. Czuł się nieswojo na tak wysokim stanowisku w dusznym gmachu GM. Zawsze wolał sprawować bezpośrednie kierownictwo jako naczelny dyrektor jednej filii. Z drugiej strony zarząd koncernu General Motors był coraz mniej zachwycony jego niekonwencjonalnym sposobem bycia. De Lorean zapuścił długie włosy, w biurze pojawiał się „nieobowiązująco ubrany, rozwiódł się z żoną i zaczął spotykać się z kobietami ze świata artystycznego, np. Ursulą Andress i Nancy Sinatrą. Krytyczne głosy pod jego adresem nie ustały, gdy zamieszkał w podmiejskiej dzielnicy Bloonfield Hills wraz ze swoją drugą żoną, dwukrotnie odeń młodszą, Kelly, córką dawnego gwiazdora amerykańskiego futbolu, Toma Harmona. Cztery lata później De Lorean opuścił GM. Pogorszył jeszcze sytuację, współpracując przy pisaniu nieprzyjaznej koncernowi książki pt. „W jasny dzień możesz zobaczyć General Motors" („On o Clear Day You Can See General Motors"), w której opisał GM jako powolnego, czasem pozbawionego skrupułów potwora. Przyznał, że w GM nie było miejsca nawet dla takiego „symbolicznego hippisa", jak on sam.

•

De Lorean był już wtedy całkowicie pochłonięty realizacją projektu, który prawdopodobnie od początku był skazany na niepowodzenie — organizowaniem swojego własnego przedsiębiorstwa, De Lorean Motor Cars. Podstawowym problemem okazało się znalezienie pieniędzy na sfinansowanie przedsięwzięcia. Prywatni inwestorzy byli ostrożni, więc De Lorean podjął wysiłki, by uzyskać wsparcie finansowe władz. Ostatecznie przekonał rząd brytyjski, by pomógł mu w budowie fabryki samochodów w potrzebującej nowych miejsc pracy Irlandii Północnej. Decyzja ta kosztowała W. Brytanię dotychczas 135 mln dolarów. Resztę pieniędzy De Lorean uzyskał żądając od swoich amerykańskich sprzedawców po 25 tys. dolarów za każdy zamówiony samochód. Już na początku popełnił kilka poważnych błędów, zarówno w projektowaniu, jak i w dziedzinie marketingu. Zdecydował się na produkcję samochodu sportowego ze stali nierdzewnej, z drzwiami otwierającymi się do góry, w cenie 25 tys. dolarów. Wytwarzanie drzwi otwieranych do góry okazało się bardzo skomplikowane, stal nierdzewna nie stanowiła żadnej atrakcji, a cena 25 tys. dolarów

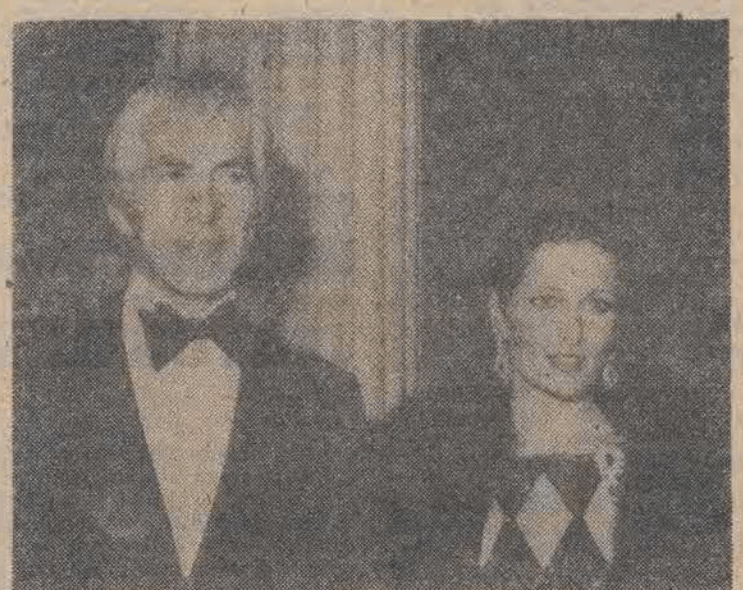

była zbyt wysoka dla potencjalnych nabywców, którzy mogli sobie pozwolić na inny samochód sportowy.

Co gorsza, De Lorean przecenił zainteresowanie, jakie miały wzbudzić jego samochody. Mimo, że zatrudnieni przez niego specjaliści przewidzieli popyt na 3—4 tys. sztuk rocznie, De Lorean polecił zakładom w Belfaście wyprodukowanie 20 tys. samochodów w ciągu roku. Wywodząc się z olbrzymiego koncernu GM — jak twierdzi były wiceprezes DMC do spraw marketingu, J. Bruce McWilliams — „De Lorean nie potrafił się przestawić na tak małe liczby". Kiedy rok temu samochody De Loreana pojawiły się na rynku, sprzedaż rozwijała się zrazu pomyślnie. Z wielką pompą Johny Carson, Sammy Davis Jr i inni przyjaciele De Loreana ze świata showbiznesu pomagali w reklamie, płacąc po 25 tys. za samochód. Ale nadeszła recesja.

Trudności zaczęły się nawarstwiać, przedsiębiorstwo De Loreana stanęło na krawędzi bankructwa. Bojąc się o swoje 18 mln dolarów, które pożyczył De Loreanowi na sfinansowanie eksportu, Bank of America postanowił zająć majątek firmy na wschodnich i zachodnich wybrzeżach Stanów Zjednoczonych. Szalejąc z wściekłości, De Lorean wysłał oddział uzbrojonych ludzi, by „ratowali" nie sprzedane samochody. Tak przynajmniej utrzymuje Bank of America. Ludziom De Loreana udało się przyprowadzić 15 samochodów do posiadłości De Loreana w Bedmonster, w stanie New Jersey. Pod koniec marca De Lorean Moto Company była winna 6 mln dolarów ponad 300 wierzycielom, a główne biuro sprzedaży na zachodnim wybrzeżu dogorywało. Skończyły się zupełnie podstawowe rzeczy, potrzebne do funkcjonowania biura: znaczki pocztowe, koperty, kawa. Chcąc pokazać swoje samochody na wystawie w Los Angeles, DMC musiała pożyczyć je od firm zajmujących się sprzedażą. Stoisko zaś udekorowała roślinami doniczkowymi, przyniesionymi ze wspomnianego biura. (...)

W brytyjskich kołach rządowych i wśród robotników przemysłu samochodowego panuje zgodna opinia, że John De Lorean zaczynał jako bohater. Podczas gdy inni przemysłowcy, patrząc na Irlandię Północną, widzieli wyłącznie dziesięć lat gwałtów, amerykański przedsiębiorca zbudował nowoczesną wytwórnię samochodów sportowych w zachodnim Belfaście, zatrudnił aż 2600 ludzi — wzbudził nowe nadzieje w regionie, gdzie tak wiele osób poszukuje pracy. Kiedy władze brytyjskie w końcu zamknęły fabrykę, tylko nieliczni obarczali winą wyłącznie De Loreana. W parlamencie posłowie konserwatywni oskarżyli poprzedni rząd labourzystowski o lekkomyślne sfinansowanie przedsięwzięcia, a jedna osoba z komisji Izby Gmin wszczęła dochodzenie w sprawie 135 mln dolarów, które rząd zainwestował w fabrykę De Loreana. W Londynie niektórzy politycy podejrzewali, że De Lorean mógł popełnić poważne błędy w kierowaniu firmą i następnie usiłował skłonić rząd do zapłacenia za jego błędy. W Belfaście jednak zwolnieni z pracy robotnicy zarzucili Margaret Thatcher, że uchyliła się od odpowiedzialności odmawiając ratowania firmy.

— Handel narkotykami jest jednym z największych przestępstw — powiedział kierownik jednego z wydziałów fabryki w Belfaście — ale bardzo niemoralne ze strony rządu było również wyrzucenie na bruk 2000 osób. (...)

Irlandia Północna bardzo ucierpiała w wyniku zamknięcia zakładów DMC. Nie dość, że zlikwidowano miejsca pracy, inne firmy które powstały, by kooperować z DMC, obecnie znalazły się na krawędzi bankructwa. Od chwili, gdy ostatnie samochody zjechały z taśmy montażowej wiosną br., przynajmniej dwóch kooperantów fabryki De Loreana ogłosiło upadłość, a 20 innych jest bliskich bankructwa. Ale skutki upadku DMC sięgają poza W. Brytanię. Firma jest winna 18 mln dolarów francuskiemu koncernowi Renault za silniki oraz 50 mln dolarów — prawie 350 innym wierzycielom. Większość z nich nie ujrzy już prawdopodobnie swoich pieniędzy. Przeważającą część gotówki pochodzącej ze sprzedaży fabryki i 1000 pozostałych samochodów — około 30 mln dolarów — zatrzyma rząd brytyjski.

(„NEWSWEEK" 1.XI.1982)

Foto: Archiwum

W Palestynie miały być dwa państwa

FRANCISZEK KOWOL

Konflikt bliskowschodni", „konflikt izraelsko-arabski" — te słowa często pojawiają się na łamach prasy niemalże całego świata od z górą trzydziestu lat. Tyle bowiem już trwa kryzys w stosunkach Izraela z jego arabskimi sąsiadami. Jest on tak długi, jak historia samego państwa Izrael, a nawet dłuższy, gdyż konflikt syjonistyczno-arabski istniał w Palestynie już wtedy, gdy terytorium to znajdowało się pod brytyjską administracją. Z tym, że wówczas konflikt ten miał charakter wewnętrznego konfliktu żydowsko-arabskiego. Z chwilą podziału Palestyny i utworzenia państwa izraelskiego, przekształcił się on w konflikt międzynarodowy.

1 **W latach 1946—1947 sytuacja w** Palestynie niezwykle się zaostrzyła. Obydwie palestyńskie wspólnoty narodowe — arabska i żydowska — domagały się zniesienia mandatu brytyjskiego. Jednocześnie — jak już wspomnieliśmy — istniał pomiędzy nimi głęboki konflikt. Wielka Brytania, nie mogąc poradzić sobie z narosłym problemem, postanowiła przekazać go do rozpatrzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych.

28 kwietnia 1947 r. rozpoczęły się obrady specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, poświęconej kwestii palestyńskiej. Występujący na jej forum przedstawiciel ZSRR, A. A. Gromyko, wyraził pogląd, iż nie można właściwie uregulować omawianego problemu bez uwzględnienia należnych praw zarówno narodu żydowskiego, jak i arabskiego. W związku z tym zaproponował jak najszybsze zniesienie mandatu brytyjskiego i uwtorzenie **„dwujedynego, niezawisłego, demokratycznego państwa arabsko-żydowskiego"** z równymi prawami dla obu narodów. Zaznaczył on również, że gdyby okazało się niemożliwe utworzenie jednolitego państwa palestyńskiego z powodu pogarszających się stosunków pomiędzy Żydami a Arabami, to wówczas konieczne stałoby się rozpatrzenie innej możliwości rozwiązania, przewidującej **podział Palestyny na dwa samodzielne, niepodległe państwa: żydowskie i arabskie.** Podobne stanowisko zajął przedstawiciel Polski J. Winiewicz, opowiadając się za utworzeniem „dwunarodowościowego państwa palestyńskiego".

Specjalna sesja nie doprowadziła jednak do rozwiązania problemu, powołano natomiast komisję palestyńską (UNSCOP) złożoną z przedstawicieli 11 państw, która miała zająć się wypracowaniem wspólnego rozwiązania. Komisja ta, nie mogąc dojść do wspólnych wniosków, przedstawiła dwie propozycje. **„Plan mniejszości"** przewidywał utworzenie jednego, federalnego państwa ze stolicą w Jerozolimie, w którym Żydzi i Arabowie cieszyliby się równymi prawami. **„Plan większości"** przewidywał podział Palestyny na dwa państwa: żydowskie i arabskie oraz wyłączenie miasta Jerozolimy i poddanie go pod zarząd międzynarodowy, przy czym wszystkie trzy części byłyby połączone unią gospodarczą.

W trakcie II zwyczajnej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, 29 listopada 1947 roku, odbyło się głosowanie. Większością głosów **przyjęto plan podziału Palestyny.** Uchwalona przez Zgromadzenie rezolucja przewidywała zniesienie mandatu brytyjskiego, wycofanie wojsk angielskich z Palestyny do 1 sierpnia 1948 r. W ciągu dwóch miesięcy po ich wycofaniu przewidywano ogłoszenie niepodległości obu państw: żydowskiego i arabskiego, a także ustanowienie międzynarodowego zarządu Jerozolimy. Związek Radziecki, jak i Polska głosowały za tą rezolucją, ponieważ utworzenie jednego arabsko-żydowskiego państwa okazało się niemożliwe. Ponadto miały one nadzieję, iż zostaną ustanowione dobrosąsiedzkie i pokojowe stosunki między ludnością arabską a żydowską na tym obszarze.

Niestety, stało się inaczej. **Z chwilą utworzenia państwa Izrael,** co nastąpiło 15 maja 1948 r., dotychczasowe starcia żydowsko-arabskie przekształciły się w wojnę pomiędzy tym nowym państwem a krajami arabskimi, które wystąpiły „by ocalić Arabów palestyńskich, gnębionych we własnym kraju". Państwa socjalistyczne opowiadały się za pokojowym rozwiązaniem zaistniałej sytuacji. Domagały się wycofania wszystkich obcych wojsk z terytorium Palestyny. Stały na gruncie przestrzegania i pełnej realizacji rezolucji ONZ z 29 listopada 1947 r.

Wojna trwała kilka miesięcy, przyniosła wiele tragedii. Zakończyła się niepowodzeniem wojsk arabskich. W wyniku wojny Izrael rozszerzył swe terytorium (zagarniając ziemie Państwa Arabskiego, mającego powstać na mocy tej samej rezolucji co Izrael) z 14,1 tys. km kw. przewidzianych rezolucją ONZ, do 20,7 tys. km kw., tj. 77 proc. terytorium całej Palestyny. Pozostałe skrawki jej terytorium znalazły się pod administracją egipską (strefa Gazy) bądź włączone zostały do Transjordanii (zachodni brzeg Jordanu). Skutkiem wojny izraelsko-arabskiej z lat 1948—1949 było pojawienie się około miliona uchodźców — Arabów palestyńskich, którzy zmuszeni zostali do opuszczenia swych domów. Dodajmy — problem do dziś nie rozwiązany. Jak wykazują fakty, państwo izraelskie od początku prowadziło politykę wrogości wobec Arabów, wyrażającą się w ekspansjonizmie terytorialnym.

2 **Konflikt bliskowschodni** ma wymiar nie tylko lokalnego konfliktu państwowo-narodowego, ale także konfliktu globalnego, światowego, pomiędzy systemem imperialistycznym a siłami postępu i pokoju. Chodzi o to, czy gospodarzami ziem na Bliskim Wschodzie będą narody zamieszkujące ten rejon, czy też mocarstwa zachodnie. Z winy kół kierowniczych Izraela, kraj ten stał się narzędziem państw zachodnich w tym rejonie świata. Taka jego rola ujawniła się po raz pierwszy w 1956 roku w czasie trójstronnej agresji Wielkiej Brytanii, Francji i Izraela przeciwko Egiptowi.

W 1952 roku w Egipcie dokonała się rewolucja „Wolnych Oficerów". Wkrótce na czele Republiki Egiptu stanął Gamal Abdel Naser. Kraj wybrał drogę radykalnych posunięć antyimperialistycznych i śmiałych reform społeczno-gospodarczych.

W 1955 r. Egipt zwrócił się do krajów socjalistycznych o pomoc wojskową. We wrześniu tegoż roku ZSRR, Czechosłowacja i Polska podpisały porozumienia o dostawach broni do tego kraju. Porozumienia Egiptu z krajami socjalistycznymi o dostawach broni wywołały ostrą reakcję na Zachodzie. M. in. do Kairu udał się wysłannik sekretarza stanu USA Allen z ultimatum domagającym się rezygnacji z tych dostaw. Władze egipskie nie ugięły się jednak pod presją Zachodu. W odwet za zbliżenie do krajów socjalistycznych, mocarstwa zachodnie cofnęły kredyty na budowę Tamy Asuańskiej. Był to poważny cios w ekonomikę egipską. W odpowiedzi rząd egipski 26 lipca 1956 r. wydał dekret o nacjonalizacji Towarzystwa Kanału Sueskiego. Akt ten wywołał protesty ze strony Anglii i Francji, występujących w obronie głównych akcjonariuszy towarzystwa. Wysuwano przy tym argument, że zarządzanie Kanałem Sueskim przez Egipt zagrozi swobodzie żeglugi międzynarodowej przez ten kanał. Związek Radziecki, pozostałe kraje socjalistyczne, a także większość państw afro-azjatyckich stanęła po stronie Egiptu. Rząd radziecki oświadczył, że „uważa decyzję rządu egipskiego o nacjonalizacji Kanału Sueskiego za całkowicie legalny akt wynikający z suwerennych praw Egiptu". Również Polska zajęła analogiczne stanowisko w tej kwestii.

Sytuacja na Bliskim Wschodzie stawała się na tyle napięta, że sporem zagrażającym pokojowi zajęła się Rada Bezpieczeństwa ONZ. 13 października 1956 r. podjęła ona rezolucję formułującą sześć zasad dotyczących Kanału Sueskiego. Stwierdzały one m. in., że przepływ przez kanał ma być swobodny i otwarty bez żadnych dyskryminacji oraz że suwerenność Egiptu ma być respektowana. Zasady te odpowiadały treści osiągniętego już porozumienia między Egiptem a konferencją głównych użytkowników Kanału Sueskiego. Sądzono więc, iż sprawa została pokojowo uregulowana. Jednak w nocy z 29 na 30 października 1956 r. siły zbrojne Izraela zaatakowały Egipt i wkroczyły na jego terytorium. 30 października, w 24 godziny po napaści Izraela na Egipt, rządy Anglii i Francji pod pretekstem zapewnienia swobody żeglugi na kanale wystosowały ultimatum do Egiptu i Izraela z żądaniem natychmiastowego zaprzestania działań wojennych i wycofania swych wojsk na odległość 10 mil od kanału. Jednocześnie pod tym samym pretekstem zażądały od Egiptu zgody na zajęcie przez ich wojska strefy kanału. Gdy rząd egipski nie zgodził się na to, oba mocarstwa 31 października rozpoczęły działania wojenne, bombardując miasta egipskie i wysadzając desant.

Już tego samego dnia rząd radziecki oświadczył, że stanowczo potępia agresywne akcje rządów Anglii, Francji i Izraela w stosunku do Egiptu. Rząd radziecki domagał się, aby Rada Bezpieczeństwa ONZ w imię pokoju w rejonie Bliskiego Wschodu podjęła energiczne kroki w celu zaprzestania agresywnych działań przeciwko Egiptowi i wyprowadzenia wojsk interwentów z jego terytorium. Rada nie mogła jednak podjąć żadnej uchwały na skutek veta Wielkiej Brytanii i Francji. W tej sytuacji w ciągu 24 godzin na nadzwyczajnej sesji zebrało się Zgromadzenie Ogólne NZ. 2 listopada 1956 r. przyjęło ono zdecydowaną większością głosów rezolucję wzywającą do natychmiastowego zaprzestania agresji i wycofania wojsk napastniczych z terytorium Egiptu. Trzech agresorów odmówiło jednak zastosowania się do rezolucji ONZ, kontynuując agresję. W tym krytycznym momencie rząd radziecki podjął decydujący krok. 5 listopada 1956 r. zwrócił się do Anglii, Francji i Izraela z posłaniem, w którym żądał szybkiego zaprzestania wojskowej interwencji przeciwko Egiptowi, wskazując, że wojna ta może rozprzestrzenić się na inne kraje i przekształcić w trzecią wojnę światową. W zakończeniu posłania rząd radziecki stwierdzał:

„Jesteśmy w pełni zdecydowani użyciem siły zniszczyć agresorów i ustanowić pokój na Wschodzie".

Pod wpływem tego ostrzeżenia zaprzestano agresji. O fakcie tym tak pisał amerykański „New York Herald Tribune" z 12 listopada 1956 r.: „Prawdziwą przyczyną, która skłoniła Anglię, Francję i Izrael (...) do odwrotu, była radziecka nota ostrzegawcza. To prawda, że Rosjanie nie skierowali swych dział i bomb bezpośrednio przeciwko Zachodowi. Ale już sama świadomość faktu, że ta potęga zbrojna istnieje i może być użyta, zmieniła bieg wydarzeń na Bliskim Wschodzie".

Również Polska potępiła brutalną agresję Izraela, Anglii i Francji wobec Egiptu. W swym oświadczeniu wydanym 3 listopada 1956 r. rząd PRL stwierdzał m. in., że występując przeciw Republice Egiptu, państwo Izrael dało Wielkiej Brytanii i Francji dogodny pretekst dla ich inwazji na Egipt.

3 Po przerwaniu trójstronnej agresji i wycofaniu wojsk napastniczych z terytorium egipskiego, na Bliskim Wschodzie zapanował względny spokój. Ale w miarę upływu czasu napięcie wzrastało. Osiągnęło ono swoje apogeum **5 czerwca 1967 r.** Tego dnia Izrael dokonał agresji przeciwko trzem swoim sąsiadom: Egiptowi, Syrii i Jordanii. Atak Izraela wywołał na świecie wielkie poruszenie. **Wojna, która trwała sześć dni,** przyniosła poważne konsekwencje — okupację przez Izrael egipskiego Półwyspu Synaj, należącego do Jordanii zachodniego brzegu Jordanu z arabską częścią Jerozolimy oraz syryjskich Wzgórz Golan. Powstał także problem nowej **rzeszy uchodźców palestyńskich,** wypędzonych z ziem okupowanych. Niektórzy zostali uchodźcami po raz drugi w ciągu swego życia.

Związek Radziecki, Polska i inne państwa socjalistyczne od pierwszych dni podjęły działania na rzecz przerwania agresji i wycofania wojsk napastnika z terytoriów arabskich. Rządy radziecki i polski wydały stosowne oświadczenia, w których nie tylko potępiły agresję, domagając się bezzwłocznego wycofania wojsk napastnika, ale także wyraziły **„solidarność ze słuszną walką narodów arabskich przeciwko imperialistycznej interwencji, o wolność, suwerenność i terytorialną integralność".**

Sprawą zagrażającą pokojowi zajęła się Rada Bezpieczeństwa ONZ. Już nazajutrz po rozpoczęciu agresji wezwała ona do przerwania ognia. Wezwanie to zostało powtórzone jeszcze w trzy dni później. Przywódcy izraelscy zignorowali jednakże te wezwania. W tej sytuacji ZSRR, Polska i pozostałe państwa socjalistyczne (z wyjątkiem Rumunii) zerwały stosunki dyplomatyczne z Izraelem. 10 czerwca 1967 r. na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Związek Radziecki ostrzegł, że jeżeli Izrael natychmiast nie przerwie działań wojennych, ZSRR i inne kraje będą zmuszone do zastosowania przeciwko niemu środków przymusu. W rezultacie nastąpiło przerwanie ognia. Wraz z przerwaniem ofensywy izraelskiej, najbardziej palącym problemem stała się likwidacja następstw agresji.

Radziecki minister spraw zagranicznych zwrócił się do sekretarza generalnego ONZ o niezwłoczne zwołanie nadzwyczajnej sesji Zgromadzenia Ogólnego, w celu rozpatrzenia zbrojnej napaści Izraela na kraje arabskie. Wniosek ten spotkał się z poparciem większości członków ONZ. 17 czerwca 1967 r. V nadzwyczajna sesja rozpoczęła debatę. Na czele delegacji radzieckiej stał przewodniczący Rady Ministrów ZSRR — A. Kosygin. W swoim wystąpieniu stwierdził on m. in., że Związek Radziecki podejmie wszelkie kroki zarówno na forum ONZ, jak i poza tą organizacją, mające na celu doprowadzenie do likwidacji następstw agresji oraz dążył będzie do ustanowienia trwałego pokoju w tym rejonie świata. Przewodniczący delegacji polskiej, premier J. Cyrankiewicz, przemawiając na sesji powiedział m. in., że jako przedstawiciel kraju, który sam padł w niedalekiej przeszłości ofiarą brutalnej i okrutnej agresji, w żadnym wypadku nie pogodzi się z tym, aby oręż i agresja stały się uznanym narzędziem rozstrzygania konfliktów międzynarodowych. Obydwaj mówcy domagali się natychmiastowego wycofania wojsk izraelskich z okupowanych terytoriów arabskich. Zgromadzenie Ogólne NZ nie zdołało jednak podjąć skutecznej decyzji w sprawie likwidacji skutków agresji, na skutek stanowiska USA

i ich sojuszników oraz państw, które uległy ich naciskowi. Żaden ze zgłoszonych projektów rezolucji nie uzyskał wymaganej większości 2/3 głosów. Wobec tego rozwiązanie problemu złożono na barki Rady Bezpieczeństwa ONZ, która po długotrwałych konsultacjach uchwaliła rezolucję nr 242 z 22 listopada 1967 r. opartą na kompromisowym projekcie brytyjskim. Podstawą tej rezolucji była zasada niedopuszczalności zdobyczy terytorialnych na drodze wojny, zaakcentowana żądaniem wycofania izraelskich sił zbrojnych z terytoriów okupowanych. Rezolucja ta stanowiła dobrą podstawę dla politycznego uregulowania konfliktu bliskowschodniego. Kraje socjalistyczne głosowały za tą rezolucją, uważając, że przewidziane w niej wycofanie się Izraela z terytoriów okupowanych stanowi podstawę trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie.

Kraje socjalistyczne od samego początku poświęcały wiele uwagi zaistniałemu konfliktowi. W roku 1967, roku izraelskiej agresji, przywódcy partyjni i państwowi europejskich krajów socjalistycznych zbierali się kilkakrotnie dla ustalenia wspólnej linii walki o zaprzestanie izraelskiej agresji, a następnie o wycofanie wojsk agresora z okupowanych ziem, a także dla omówienia pomocy i współpracy gospodarczej z krajami arabskimi. Spotkania takie odbyły się: 9 czerwca w Moskwie; 12—13 lipca w Budapeszcie, 4—6 września w Belgradzie oraz 19—21 grudnia w Warszawie. Stanowisko krajów socjalistycznych wobec konfliktu izraelsko-arabskiego w 1967 r. może być przykładem integracji ich działań politycznych na arenie międzynarodowej, szczególnie wobec istotnych problemów współczesnego świata.

4 Takie, a nie inne, stanowisko krajów socjalistycznych spowodowane było przede wszystkim zamysłami mocarstw zachodnich — szczególnie Stanów Zjednoczonych — obalenia postępowych rządów arabskich za pomocą agresji izraelskiej, i co za tym idzie, zmiany układu sił na korzyść Zachodu. Także inny element — głównie dla Polski — był ważny. Mianowicie współpraca izraelsko-zachodnioniemiecka. Prawicowa prasa zachodnioniemiecka w dniach izraelskiej agresji pełna była zachwytów nad sprawnością lotnictwa agresora, porównując jego sukcesy, z sukcesami hitlerowskiej Luftwaffe w czasie ataku na Polskę w 1939 r. Czyniono analogie, że „nasi Arabowie to Armia Ludowa Ulbrichta, Czesi czy też Polacy lub wszystkie te kraje razem wzięte". Nie mogło to ujść uwadze polskiej opinii publicznej i rządu polskiego. Pamiętajmy, iż było to jeszcze na kilka lat przed porozumieniami RFN z Polską, ZSRR, Czechosłowacją i NRD. Do czasu ich podpisania państwo zachodnioniemieckie formalnie nie uznawało zaistniałego w wyniku zakończenia II wojny światowej status quo w Europie środkowej. Dlatego między innymi delegacja polska — w trakcie obrad sesji ONZ w 1967 r. — tak mocno podkreślała, że nie pogodzi się z tym, aby oręż i agresja stały się uznanym narzędziem rozstrzygania sporów międzynarodowych. ■

TERESA JERZYKOWSKA

Zielone na złote... po jakim kursie?

Jeśli dowiadujemy się, że ktoś z naszych rodaków znalazł za granicą pracę, za którą dostaje 300 dolarów miesięcznie, zaczynamy natychmiast przeliczać i wpadamy w głęboką depresję, myśląc: ten to pożyje jak król, za ponad 100 tysięcy złotych na miesiąc. Tymczasem domniemany król wegetuje z trudem i może nawet z żalem wspomina swoją dawną 10-tysięczną pensję. Ale my w to nie wierzymy, bo umiemy liczyć — 300 x 450 zł to jest mnóstwo pieniędzy. Tyle właśnie, z niewielkimi wahaniami, wynosi od kilkunastu miesięcy czarnorynkowy kurs dolara. Jeszcze dziwniejszy przelicznik uzyskać można sprzedając za złotówki niektóre towary zagranicznego pochodzenia. Najbardziej drastycznym przykładem, jaki zauważyłam ostatnio, był krem do twarzy kosztujący w „Pewexie" 1,20 dolara, w komisie natomiast 1200 zł. Z przelicznikiem trzecim możemy zapoznać się realizując promesę, przyznaną na zagraniczny wyjazd, czwarty dotyczy cudzoziemców, którzy po przyjeździe do Polski wymieniają swoje pieniądze na nasze złotówki. Ale to nie koniec. Jeszcze inne cyfry obowiązują w rozliczeniach między naszymi centralami handlowymi i przedsiębiorstwami a ich zagranicznymi kontrahentami.

Żeby było trudniej, także w tej dziedzinie dolar ma dwie wartości: około 80 zł w przypadku cen transakcyjnych i 50 zł przy ustalaniu cen urzędowych na podstawowe surowce i materiały pochodzące z importu. Wprost trudno uwierzyć, że jednak znajdują się ludzie, którzy potrafią radzić sobie z przeliczeniami stosując w odpowiednich przypadkach właściwe cyfry.

Nie spełnia się rola kategorii ekonomicznej, jaką powinien odgrywać kurs walutowy, zakładana przecież w reformie gospodarczej. Dla wielu producentów przy obowiązującym przeliczniku, eksport staje się nieopłacalny, stanowi to antybodziec do rozwijania tej, tak przecież potrzebnej działalności, hamuje przechodzenie na proeksportowy model gospodarki. Problem jest nienowy, sygnalizowany dość ostro zarówno przez ekonomistów, jak i teoretyków i praktyków innych dziedzin, którzy w swej działalności mają styczność także z walutą inną, niż polska złotówka. Można spodziewać się w najbliższym czasie ogłoszenia, zapowiedzianych już, decyzji zmieniających ten stan rzeczy. Zanim to jednak nastąpi o dolarowych problemach rozmawiałam z producentami towarów eksportowych: w ozorkowskich Zakładach Przemysłu Konfekcyjnego **„Latona"** i łódzkiej **„Wólczance"**. Oba należą od dawna do grona eksporterów, sprzedając zarówno towary z surowców własnych, jak i realizując tzw. przerób.

PLUSY...

„Latona" produkuje konfekcję damską, która ze względu na niezłą jakość i udane wzornictwo cieszyła się powodzeniem na rynku także w latach przedkryzysowych. Tym bardziej więc obecnie w kraju sprzedać można całą produkcję. Od wielu lat jednak część przeznaczona jest dla odbiorców zagranicznych. W planie wstępnym na ten rok przewidziano osiągnięcie 127 milionów złotych wartości eksportu, w tym około 72 miliony złotych w „przerobie". Sądząc po wynikach uzyskanych w ciągu 10 miesięcy, efekty te zostaną osiągnięte. Wielkość eksportu brutto stanowić będzie około 30 proc. całej tegorocznej produkcji „Latony". Czy można będzie zwiększyć ją w roku przyszłym? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba rozważyć wszystkie plusy i minusy wynikające z faktu realizacji zadań eksportowych.

Podstawową korzyścią z makroekonomicznego punktu widzenia są oczywiście uzyskiwane w ten sposób dewizy dla kraju. Dla zakładu natomiast — odpis dewizowy, który w tej branży wynosi 25 proc., umożliwiający zakup niezbędnych urządzeń, części do maszyn i surowców nie tylko za granicą, ale i w kraju. Bodźcem skłaniającym do zwiększania eksportu są także rozmaite premie, nagrody i ulgi podatkowe. Wśród nich wymienić należy zmniejszenie podatku dochodowego o 3 proc. wartości eksportu, a także możliwość zwiększenia o 20 proc. funduszu dla załogi. Ponadto za każdy dolar lub rubel wzrostu wartości eksportu w stosunku do porównywalnego okresu ubiegłego roku przysługuje 1 zł nagrody. Pieniądze te, w formie premii, można wypłacić robotnikom. Tak więc produkcja na eksport przynosi wymierne korzyści nie tylko zakładowi jako całości, ale również poszczególnym pracownikom. Istotne, choć niewymierne w złotówkach znaczenie, ma także następujący, dzięki kontaktom z zagranicą, przepływ nowoczesnych technologii, doskonalenie umiejętności załogi, zwiększona troska o jakość produkcji. Przynosi to efekty widoczne także na rynku krajowym.

...I MINUSY

Z eksportu nie wynikają jedynie korzyści, jest i druga strona medalu. Zakładany zysk wynosi 10 proc., natomiast przy produkcji na rynek krajowy — 20 proc. (wyroby „Latony" sprzedawane są bowiem po cenach umownych). Różnica jest więc znaczna. W liczbach bezwzględnych oznacza około 7 milionów złotych mniej, jeżeli weźmiemy pod uwagę jedynie ceny konfekcjonowania. W cenach zbytu jest jeszcze większa, zwłaszcza, jeśli rozpatrywać ją w porównaniu z eksportem przerobowym. Ceny zbytu są w tym przypadku niskie, odpada bowiem wartość surowca podstawowego i wszystkich dodatków dostarczanych przez odbiorcę. Szacunkowo, zamiast towarów o wartości 69 mln zł w eksporcie przerobowym, zakład mógłby sprzedać na kraj konfekcję za 200 milionów złotych. Negatywne skutki pracy na eksport odczuć mogą także indywidualni robotnicy. Pracująca w systemie akordowym szwaczka może zarobić więcej szyjąc dla kraju, co wiąże się ze znacznie większą pracochłonnością wyrobów dla zagranicznych odbiorców oraz ich dużymi wymaganiami jakościowymi. Przy produkcji eksportowej, wytwarzanej w krótkich seriach, występuje dwukrotne zaniżenie wydajności.

W zakładzie myśli się o posunięciach zmierzających do tego, aby produkcja eksportowa przynosiła większe niż dotychczas korzyści. M. in. rozpoczęto starania o zwiększenie samodzielności w tej dziedzinie poprzez otwarcie własnego konta. Obecnie zakład posiada subkonto w ramach centrali „Tricot", zajmującej się sprzedażą wyrobów tej branży. Liczy się także na możliwość zwiększenia odpisu dewizowego do 50 proc. przewidzianą dla zakładów realizujących eksport przerobowy. Ceny uzyskiwane obecnie za szycie wahają się od 6 do 12 marek RFN za bluzkę i od 14 do 20 marek za sukienkę. Przy nie zmienionej wielkości eksportu dałoby to około 400 tysięcy dolarów rocznie. Ta kwota pozwoliłaby na zaspokojenie potrzeb importowych zakładu i umożliwiła spokojną działalność.

Bez dewiz trudno na dłuższą metę wyobrazić sobie prawidłowe funkcjonowanie jakiegokolwiek zakładu produkującego towary konsumpcyjne. Nikt więc nie rozważa możliwości wycofania się z eksportu. Porównując jednak uzyskiwane w ten sposób korzyści i straty, można dojść do wniosku, że dalsze jego zwiększenie, ponad 30 proc., nie byłoby dla **„Latony"** korzystne. Jeżeli jednak zmieni się przelicznik dewizowy, zmianie ulegną również wszystkie wyliczenia. Powstanie sytuacja, w której zwiększanie eksportu stanie się bardzo pożądane nie tylko z punktu widzenia interesów państwa, ale i dla samego zakładu.

GROZI ZAHAMOWANIE

Nieco inaczej wygląda sytuacja w **„Wólczance"**, będącej od wielu lat znanym nie tylko w kraju producentem koszul męskich. W tym roku dla kontrahentów z krajów kapitalistycznych uszyje się tu 2,7 miliona koszul (w tym 1,8 mln w przerobie) i tyle samo dla krajów socjalistycznych. W sumie eksport stanowi około 60 proc. całej produkcji. Średnie ceny zbytu nie są wygórowane. Dla przykładu, w III kwartale wynosiły 371 zł za koszulę z tkanin własnych oraz 159 zł w przerobie dla odbiorców zachodnich. Przy milionach sztuk powstają zyski wyrażane również milionowymi cyframi. W ciągu 10 miesięcy 1982 r. zysk z eksportu osiągnął wartość 54 mln zł, z czego 40 mln za przerób. Osiągnięty został przy wskaźniku rentowności nieznacznie tylko przekraczającym 7 proc. W latach ubiegłych wskaźnik ten oscylował w pobliżu 10 proc. A więc i w przypadku tego zakładu eksport stał się mniej opłacalny. Przy okazji warto chyba zmienić ugruntowaną przez lata opinię, że jesteśmy krajem taniej siły roboczej. W ostatnim okresie staliśmy się nawet krajem bardzo drogim, do czego przyczynił się przede wszystkim niezwykle szybki wzrost płac, a także kosztów ogólnych. Zwiększenie dolarowego przelicznika przyczyniłoby się do poprawy opłacalności eksportu choćby w stopniu uzyskiwanym poprzednio.

Omawianie korzyści wynikających z realizacji zadań dla zagranicy wydaje się niecelowe. Są one takie same, jak w przypadku **„Latony"** i większości eksportujących zakładów, niezależnie od branży. W mniejszym natomiast stopniu występują tu negatywy tej działalności. Wynika to z nieco odmiennych warunków, w jakich funkcjonują oba zakłady i nie może w żadnym razie służyć jako podstawa oceniania ich w kategoriach „lepszy" i „gorszy". Zdecydowana większość — ponad 80 proc. — wyrobów „Wólczanki", sprzedawana jest po cenach regulowanych, relatywnie niskich. Między zyskiem z produkcji rynkowej i eksportowej nie występują więc tak duże różnice. Ponadto pracochłonność wyrobów przeznaczonych dla kraju i na eksport jest zbliżona. W koszulach męskich różnorodność fasonów zawsze była i będzie znacznie mniejsza niż w odzieży damskiej. Ale i tu robotnice wolą produkcję krajową z uwagi na znacznie większą długość serii. Jakościowe wymagania odbiorców krajowych i zagranicznych są niemal takie same i trzeba dodać, **„Wólczanka"** zaspokaja je w pełni. Osiągany wskaźnik jakości — 99,5 — należy do rzadko spotykanych. Niestety, nie oznacza to, że koszule w naszych sklepach są równie ładne, jak za granicą. Decyduje o tym materiał, którego jakość i estetyka ostatnio znacznie się obniżyła. Zjawisko to wpływa na konieczność obniżenia eksportu z tkanin własnych. Drugim hamującym czynnikiem jest znaczny wzrost cen bawełny w kraju, który nastąpił bez związku z ruchem cen na rynkach światowych, nie uwzględni go więc zachodni odbiorca. Oba te czynniki w istotny sposób warunkują wielkość eksportu, a nawet mogą doprowadzić do jego całkowitego załamania i konieczności ograniczenia się jedynie do przerobu, który nie wymaga starania się o surowce. Gdyby z jakichś przyczyn i ta forma została zlikwidowana, przez kilka tygodni odczuwalibyśmy poprawę zaopatrzenia rynku krajowego, ale wkrótce potem zakładowi groziłby całkowity postój.

ILE ZA DOLARA

W związku z dewizowo-złotówkowymi rachunkami warto wspomnieć o jeszcze kilku sprawach. Uregulowania wymaga kwestia rozliczeń dewizowych między zakładami w kraju. Producent wyrobu finalnego musi obecnie dzielić się swoim odpisem dewizowym z fabrykami wytwarzającymi surowce i materiały. Ich żądania są niekiedy tak duże, że pochłonęłyby całą sumę uzyskaną ze sprzedaży gotowego wyrobu. Dylemat — produkować za darmo czy produkować znacznie mniej — może być w warunkach reformy rozstrzygany z korzyścią dla zakładu, która nie zawsze będzie pokrywać się z interesem społecznym. Kolejną kwestią, którą sygnalizują producenci, jest rozważenie możliwości przekształcenia odpisów dewizowych (oznaczają one jedynie możliwość zakupu określonej ilości dolarów) w dewizowe konta, co usprawniłoby gospodarowanie posiadanymi środkami i sprzyjało dalszej racjonalizacji ich wydatkowania.

Ponieważ wszyscy zainteresowani stwierdzają, że obowiązujący dotychczas przelicznik dewizowy jest za niski, motywując to odpowiednimi argumentami, pozostaje jedynie odpowiedzieć na pytanie, o ile powinien wzrosnąć. Wymaga to głębokiej analizy. Zbyt małe zwiększenie nie przyniesie oczekiwanych skutków, za duże natomiast sprawi, że zyski osiągać będą również i te zakłady, w których na skutek bałaganu koszty produkcji są znacznie zawyżone. Nie należy chyba oczekiwać, że zostanie on ustalony na poziomie gwarantującym opłacalność eksportu w każdym przypadku. Zresztą w ogóle omawanie tych problemów na szczeblu zakładu jest rzeczą trudną, dającą jedynie wyrywkowy obraz. Nieopłacalność w jednym czy kilkunastu przypadkach nie musi odbijać się negatywnie w skali branży, czy MHZ. Może natomiast, poprzez rozmaite uwarunkowania przyczynić się do wzrostu całego krajowego eksportu.

WACŁAW PAWLAK

Niepospolici goście

Zainteresowanie Łodzią, jako prężnie rozwijającym się ośrodkiem przemysłu, na początku XX stulecia rozszerzone zostało na sferę jej życia kulturalnego. Do fabrycznego miasta, oprócz ludzi interesu, poczęli zaglądać znani pisarze, aktorzy, muzycy, naukowcy. Wizytom niepospolitych gości wiele miejsca poświęcały ówczesne gazety łódzkie.

W jednym ze starych roczników „Rozwoju" napotykamy obszerny opis pobytu w Łodzi dnia 3 stycznia 1904 roku Henryka Sienkiewicza. Nie była to pierwsza wizyta znakomitego pisarza w fabrycznym grodzie, gdyż już przed trzema laty przebywał tu w związku z uroczystym otwarciem Teatru Wielkiego. Jednak tym razem odwiedziny jego miały cel dobroczynny. Sienkiewicz odbywał właśnie kwestarską wędrówkę po kraju, zbierając odczytami datki na powodzian. Rok wcześniej nawiedziła bowiem ziemie polskie klęska żywiołowa. Ponieważ rządowa pomoc powodzianom okazała się niewystarczająca, powołano komitet obywatelski, do którego wszedł także Sienkiewicz.

Prelegencką podróżą pisarza zainteresował się zarząd Łódzkiego Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia". Wystosował on do Sienkiewicza zaproszenie z propozycją wygłoszenia odczytu w Łodzi. Adresat rychło nadesłał odpowiedź. Pisał w liście, że po przybyciu do Łodzi będzie sobie poczytywał za miły obowiązek odwiedzenie „Lutni", której był honorowym członkiem.

Zgodnie z przyjętym obyczajem natychmiast powołano komitet, który zajął się opracowaniem programu uroczystego spotkania z pisarzem. Sienkiewicz po przybyciu do Łodzi złożył wizytę w „Lutni", wysłuchał ułożonej specjalnie na ten dzień pieśni w wykonaniu chóru męskiego. Na pożegnanie wpisał się w pamiątkowej złotej księdze: „Z serdeczną podzięką za urocze chwile spędzone wśród kolegów — H. Sienkiewicz". Uroczyste spotkanie „Lutni" zakończyło się zbiorową fotografią uczestników.

W czasie swego pobytu w Łodzi Sienkiewicz zamieszkał w Grand Hotelu. Stąd wraz z dyrektorem biura Towarzystwa Kredytowego Leonem Gajewiczem i innymi znacznymi obywatelami miasta udał się w porze popołudniowej do Teatru Wielkiego, gdzie wygłosił odczyt. Prasa miejscowa odnotowała niezwykle gorącą atmosferę na widowni, a także przepych jej dekoracji. Szczególnie bogato przedstawiał się stół prelegencki, ubrany barwnymi festonami przez artystę z branży kwiaciarskiej Wojciecha Salwę. Po odczycie wydawca „Rozwoju" Wiktor Czajewski wręczył pisarzowi pozłacane pióro.

O godzinie szóstej wieczorem w sali balowej Grand Hotelu odbył się bankiet, na który przybyło 120 osób. Podczas bankietu śpiewał chór „Liry" i grała orkiestra teatralna. Wygłoszono szereg mów, wzniesiono wiele toastów.

Wieczorem Sienkiewicz z towarzyszącymi mu osobami udał się do Teatru Wielkiego, gdzie wystawiono adaptację „Quo vadis?" oraz odbyły się popisy chóru „Lutnia". Publiczność zgromadzona w teatrze urządziła znakomitemu pisarzowi gorącą owację.

* * *

Na wtorek, 25 marca 1913 roku, gazety łódzkie zapowiedziały koncert wielkiego pianisty Ignacego Paderewskiego. Miała to być jego pierwsza wizyta w Łodzi od 1904 roku.

Mistrz fortepianu przybył do Łodzi wraz z małżonką. Zatrzymali się w Grand Hotelu. Występ Paderewskiego odbył się wieczorem w Sali Koncertowej. Widownię wypełniła doborowa publiczność w strojach balowych. Zjechało się też wiele osób z bliższej i dalszej okolicy, aby usłyszeć grę znakomitego pianisty. Po pierwszej części koncertu taki entuzjazm opanował słuchaczy, że cała sala huczała od oklasków. Przedstawiciele Towarzystwa Muzycznego mi. F. Chopina oraz uczniowie szkoły muzycznej A. Grudzińskiego złożyli na estradzie olbrzymie wieńce.

Po zakończeniu występu Paderewskiego na estradę weszli przedstawiciele miejscowego społeczeństwa, wręczając wielkiemu artyście pięknie wykonany na pergaminie adres dziękczynny, oprawiony w skórę z monogramem mistrza i opatrzony ponad tysiącem podpisów znaczniejszych obywateli Łodzi.

Koncert był jednym pasmem olbrzymich owacji dla znakomitego muzyka i pomimo bojkotu części społeczeństwa niemieckiego i żydowskiego, wypadł nad wyraz okazale.

* * *

Nie lada sensację wywołała w społeczeństwie miejscowym zapowiedź prasowa o wizycie w Łodzi zdobywcy bieguna południowego Roalda Amundsena. Słynny Norweg przybył do Łodzi 4 lutego 1914 roku na zaproszenie towarzystwa „Alliance Francaise". W Sali Koncertowej wygłosił on częściowo po francusku, w części po niemiecku odczyt pod tytułem „Moja podróż do bieguna południowego".

Publiczność z zainteresowaniem wysłuchała relacji Amundsena o jego bohaterskich przygodach. Dodatkową atrakcją było to, że odczyt ilustrowały przeźrocza i zdjęcia kinematograficzne wykonane w drodze do bieguna i na samym biegunie. Podobno ubezpieczono je na milion franków. Przedstawiały one nieznane przestrzenie podbiegunowe, członków wyprawy i 115 psów pociągowych, o których Amundsen powiedział, że od nich to zależały losy tego śmiałego przedsięwzięcia.

„Świat przemysłowy i handlowy, medycyna i palestra, nadobne panie i młodzież zapełnili Salę Koncertową do ostatniego miejsca. Amundsena gorąco oklaskiwała tłumnie zebrana publiczność" — pisał sprawozdawca „Rozwoju".

* * *

Wydarzenia pierwszej wojny światowej sprawiły, że do Łodzi zawitały także głowy koronowane. W pierwszych dniach lutego 1915 roku gazety łódzkie doniosły o krótkim pobycie w mieście cesarza niemieckiego Wilhelma II. Przybył on pociągiem specjalnym z Berlina na Dworzec Kaliski. Po ceremonii powitalnej cesarz zajął miejsce w oczekującym przed dworcem automobilu, aby przez Zgierz i Głowno udać się na inspekcję IX armii niemieckiej, nacierającej w kierunku Warszawy. Kulminacyjnym punktem wizytacji było nabożeństwo i parada wojskowa na dziedzińcu pałacu w Nieborowie.

Tego samego dnia w godzinach wieczornych cesarz ze świtą powrócił do Łodzi. W wagonie jadalnym pociągu cesarskiego odbył się uroczysty obiad, na który zaproszono osoby ze sztabu IX armii i z łódzkiego urzędu gubernialnego. Późnym wieczorem cesarz Wilhelm II udał się w drogę powrotną do Berlina.

Niemal równo w rok po wizycie w Łodzi cesarza niemieckiego przybył tu 15 lutego 1916 roku w godzinach popołudniowych król saski Fryderyk August III. Na Dworcu Kaliskim powitały go władze wojskowe na czele z generał-gubernatorem wojennym Felixem von Barthem. Fryderyk August III po dłuższej pogawędce z gubernatorem udał się pieszo do parku im. J. Poniatowskiego, gdzie zwiedził ciekawsze jego zakątki. Następnie król saski i towarzyszące mu osoby udali się samochodami do komendantury miasta i wizytowali garnizon niemiecki. Wieczorem w apartamentach Grand Hotelu odbyło się uroczyste przyjęcie, wydane przez saskiego monarchę dla zaproszonych gości.

W dniu wizyty Fryderyka Augusta III miasto przybrane było w barwy państwowe pruskie i saskie.

Pisać poezję...

Rozmowa z RAFAŁEM ORLEWSKIM, tegorocznym laureatem „Złotej Wieży Trybunalskiej".

Tegoroczny laur „ZŁOTEJ WIEŻY TRYBUNALSKIEJ" otrzymał RAFAŁ ORLEWSKI, poeta, prozaik, działacz młodzieżowy, nauczyciel... „za dorobek organizatorski w rozwoju i upowszechnianiu kultury, za działalność popularyzatorsko-naukową i publicystyczną oraz za działalność w dziedzinie literatury".
R. Orlewski opublikował dwa zbiory wierszy („Krzesiwo" i „Idąc") oraz tom prozy „Igliwie". W druku znajduje się kolejny tomik poetycki pt. „Tańczące ognisko".

Otrzymałeś zaszczytną nagrodę, „Złotą Wieżę Trybunalską". Przyznaje się ją za wybitne zasługi dla miasta, dla jego kultury, dla rozwoju tzw. wartości duchowych. Niezwykłe w tym fakcie jest to, że z Piotrkowem związałeś się nie tak znów dawno, że jesteś na tym gruncie kimś obcym, przybyszem z innej, nie mniej historycznej, Ziemi Łaskiej. Lecz zanim zaczniemy o tym rozmawiać, chcę abyś w kilku zdaniach opowiedział swoje curriculum vitae. I skąd ten romans z Piotrkowem?

— O sobie najchętniej opowiadają ci, którzy dopiero co wrócili z wojska... ciekawe, czy mój syn potwierdzi tę tezę — od paru miesięcy nosi mundur podchorążego. Zaczynijmy jednak od spraw, które nazwałeś niezwykłymi. Otóż prawdą jest tylko ta pierwsza niezwykłość — że nagrodzono mnie „Wieżą", że w ogóle mnie nagrodzono Oczywiście, choć wcześniej tu bywałem i uczyłem się w Studium Nauczycielskim, Piotrków i okolice stały się moim miejscem na ziemi dopiero od kilkunastu lat. Dopiero? To przecież kawał czasu w życiu człowieka, ba — nawet współczesna historia w takim wymiarze czasu to istny kalejdoskop. I teraz chcę odwrócić Twoje twierdzenie, że jestem tutaj „kimś obcym". Bo cóż to znaczy? Można stać się obcym na przykład dla kogoś bliskiego... i można, przychodząc z rodzinnej Ziemi Łaskiej, być powitanym jako ktoś bliski. Tak było ze mną: zanim podjąłem pracę w przygłowskiej szkole, *„Gazeta Ziemi Piotrkowskiej"* zamieściła artykulik *Powitanie poety*. Rzeczą poetów jest duchowe obnażanie się i choć to trudne, powiem wprost: to raczej ja, oparzony wewnętrznie, przychodziłem tu niezbyt ufnie, mnie zaś wielu przyjęło życzliwie.

Z tym „przybyszem z innej" ziemi też przesadzasz. Owe inności, a konkretnie podziały i granice między np. Ziemią Sieradzką a Ziemią Piotrkowską są w gruncie rzeczy sztuczne, administracyjne. Nigdy nie zerwałem kontaktów z Ziemią Łaską, a też Sieradzką — jeśli już użyć takich nazw — ponieważ z dzisiejszym województwem sieradzkim łączą mnie różne więzi: rodzinne, serdeczne, nieodwołalne. Na tym terenie, w „najmniejszej wiosce świata", Przybyłowie, urodziłem się. Z tej wioski, jeszcze przed wojną, wraz z rodzicami i bratem wywędrowałem do Łodzi, skąd wojna zmusiła nas do powrotu na wieś. Ale i tam okupant nie pozwolił doczekać wyzwolenia i w 1944 roku wywiózł nas do Francji. We wsi Harricourt rozpocząłem edukację szkolną. Wróciliśmy pod koniec czterdziestego piątego, na szczęście bez ubytku w 6-osobowej już wtedy rodzinie. W Łasku urodziły się moje dzieci. W tej ziemi także, w Kolumnie, spoczęła moja Matka.

No i masz, rozmowa zamienia się w monolog, gorzej — w opowiadanie życiorysu, który — kogo może interesować? Więc już tylko telegraficznie. W Zduńskiej Woli zdobyłem zawód nauczyciela i uczyłem w Kolumnie, gdzie rodzina osiedliła się po wojnie. Uczyłem i próbowałem rozruszać środowisko, czym się zresztą dało — sportem, prowadzeniem estrady i teatru amatorskiego. Wtedy też otrzymałem w Łodzi pierwszą w życiu nagrodę poetycką...

— Zawsze byłeś poetą i dla mnie, jako pisarza, ta część Twojego życiorysu jest najciekawsza. Jak to się zaczęło?

— Poetą, jak Ci wiadomo, zdarza się bywać: nieczęsto się napisze dobry wiersz. Zacząłem wcześnie, jako uczeń podstawówki w Kolumnie, a bezpośrednim impulsem była sytuacja na obozie harcerskim w Rzece k Gryfina. Musiałem mianowicie napisać kilka zwrotek do znanej melodii — taki był jeden z wymogów na sprawność „śpiewaka". Ale to się zaczęło chyba znacznie wcześniej. W okresie okupacji moja Matka, prosta kobieta — o której mogę mówić (dziś już tylko wspominać) jedynie ze zdumieniem i podziwem, jako że nie tylko zachwycała się poezją Norwida, ale umiała wychowywać mądrością i dobrocią — otóż Matka nauczyła mnie czytać. Najbliższa szkoła w Przatowie była przecież *nur für Deutsche*... Czytałem zachłannie, co mi w rękę wpadło, z czego zresztą wielorodzinni domownicy nie byli bynajmniej zadowoleni — dziecko wiejskie musiało ciężko pracować, a nie tracić czas na „psie zbyry" i tylko w niedzielę za krowami łapało się czas na czytanie. A kiedy kwietniową nocą wysiedlano nas z Przybyłowa do Francji ktoś z domowników wrzucił do worka gruby tom poezji Mickiewicza. Woziłem ten skarb prawie po całej Europie i dopiero po powrocie, przy przesiadce w Gliwicach, książka jak to się mówi — „zmieniła właściciela".

Zacząłem więc wierszować jako 13-letni harcerz. Potem byłem poetą szkolnych gazetek i najbliższych znajomych. Przed maturą w zduńskowolskim liceum zetknąłem się na poetyckim poranku z Janem Koprowskim, który troje szkolnych rymopisów nakłonił do tego, aby publicznie zaprezentowali swoje wypociny. Niestety — już po maturze mi to nie przeszło. W 1958 r. wziąłem udział we wspomnianym konkursie, któremu jurorowali m. in. Tadeusz Chróścielewski i Jan Huszcza i otrzymałem III nagrodę, ulegając Tadeuszowi Ciegierowi i Jerzemu Waleńczykowi. Tegoż roku zadebiutowałem drukiem wiersza w *„Na przełaj"* i zostałem członkiem literackiej grupy efemerydy o nazwie *„Karawana"* w Łodzi. Wkrótce też z dwoma łaskowianinami, Janem Janiszewskim i... Eugeniuszem Iwanickim (który był naonczas poetą) założyliśmy powiatową (!) grupę poetycką *„Grabia 59"* W roku 1960 obie te grupy wchłonął łódzki ośrodek KKMP nazwany później *„Wiaduktem"*. Lecz to jest historia następnych lat, w czasie których skończyłem studia, wydałem te swoje trzy książeczki, wpisałem się do kilkudziesięciu almanachów, zdobywałem nagrody w konkursach literackich, publikowałem w prasie i radiu...

— A co dziś pozostało z tamtych młodzieńczych marzeń o poezji? Piszesz nadal, wydajesz mało, czy więc nie sądzisz, że poezja jest przynależna młodości, czy też wiersze, które dziś tworzysz, posiadają inne posłannictwo?

— W wieku dojrzałym można się wyzbyć młodzieńczych złudzeń, ale nie marzeń. Oczywiście, najwięcej jest poetów młodych, niektórzy, mają jednak wewnętrzną potrzebę pisania wierszy przez całe życie. Myślę, że jest to pewien sposób badania samego siebie, konfrontowania siebie z sobą, a potem poddania wyników tych poszukiwań pod osąd czytelnika. Piszę zresztą nie tylko wiersze. A że niewiele drukują? Wydanie książki, tym bardziej poetyckiej, to problem odrębny, nierzadko bolesny. Lecz nie jest tak, jak się twierdzi w pewnych środowiskach, że poezji współczesnej nikt dzisiaj nie czyta. Jest przeciwnie. Tylko że oceniamy to niejako przez pryzmat, powiedziałbym — niewoli masowości. Masowo patrzy się w telewizor, słucha przebojów, politykuje. Czy również w takim stopniu masowości ma się czytać współczesną poezję? Kontakt z utworem poetyckim jest intymny, a co ważniejsze — powinien rodzić się z własnego, nie przymuszonego (np. modą) wyboru. W opozycji do tego stoi obowiązek czytania wierszy w szkole, lecz — moim zdaniem — w szkole chodziłoby raczej o co innego: o odejście od sztampowej interpretacji poezji na rzecz uwrażliwiania dzieci i młodzieży na ten rodzaj sztuki pisarskiej, tworzenia nawyku serdecznego z nią obcowania. Wydaje mi się więc, że taki osobisty, a nie hurra-masowy sposób odbioru wierszy poeci cenią sobie najbardziej i najczęściej wiedzą, że czyta ich mniejszy czy większy krąg miłośników. Zatem — trudno, zabrzmi to nieskromnie — i ja mam prawo wierzyć, że mnie czytają, więcej: piszą listy, pytają o następne książki...

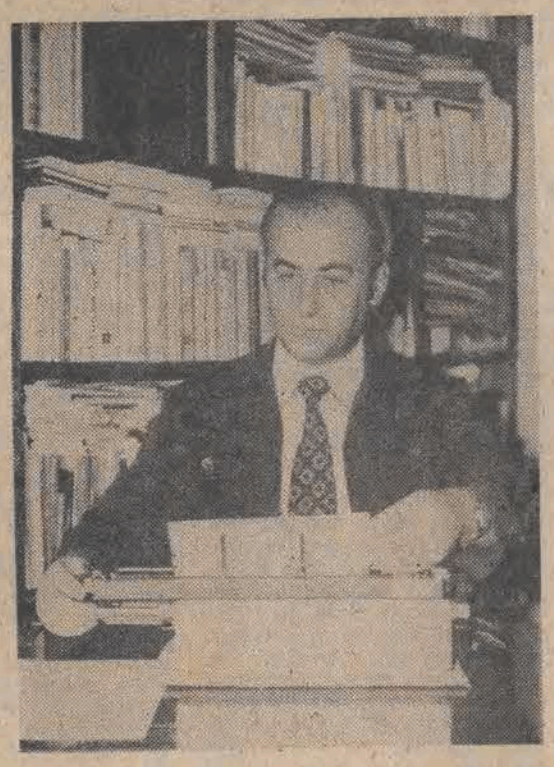

Foto: Tadeusz Dzikowski

— Znam Cię także jako działacza kulturalnego, społecznego i politycznego. Czy ta Twoja cecha wypływa z doraźnej potrzeby, czy jest to po prostu jeszcze jedna forma wypowiedzi?

— Działaniem społecznym „zaraziłem się" w harcerstwie, ale coś takiego leży chyba w moim charakterze. Wykpiwane truizmy w rodzaju: „Człowiek się sprawdza w tym, co czyni dla dobra innych" — zawierają, nie tylko w moim przekonaniu, sporo prawdy. Z doświadczenia natomiast wiadomo, że tak żyć jest trudniej, bo to i pomylić się można, i narazić... Za to nie zna się uczucia nudy. Najtrudniej jest wtedy, gdy m u s i s z, powiedzmy jako pracownik, działać w imię owych doraźnych potrzeb. Odmowa czy kontrowanie nie zawsze są możliwe bądź zwyczajnie nieskuteczne, toteż wpada się w rozterki czy jak kto woli — stressy. Zawsze pragnąłem, aby to co robię, a więc także to co piszę, było szukaniem siebie i służyło innym. Czy to się udaje? Człowiek twórczy nigdy nie jest zadowolony z tego, czego dokonał.

— Od wielu lat jesteś związany z młodzieżą. Działałeś w Związku Harcerstwa Polskiego, jesteś pedagogiem. Powiedz, jaką wartość dla Ciebie, jako poety, posiadają tego rodzaju doświadczenia?

— Ściślej, jestem nauczycielem-polonistą (ukończyłem filologię polską na UŁ), a w ZHP pracuję nadal, w zasadzie bez przerwy od 1946 roku i oczywiście społecznie. Dosłużyłem się rangi tzw. „harcerskiego generała", tj. honorowego stopnia Harcmistrza Polski Ludowej, aktualnie jestem członkiem komendy hufca w Piotrkowie i komendantem szczepu w liceum ekonomicznym, gdzie uczę. Harcerstwo jest, jak wiadomo, organizacją wychowanków i wychowawców. Mimo różnych perturbacji wynikłych z „burz politycznych" zachowało ono w swojej ponad 70-letniej historii takie istotne cechy, jak służba ludziom oraz naturalność, której przecież wokół coraz mniej. Co byśmy nie powiedzieli, młodość zawsze jest ciekawa, wnosi spontaniczność, świeżość, ostrość widzenia i oceny. Nam zaś lat przybywa — jakże więc stronić od młodych? Praca z dziećmi i młodzieżą to jakby odnawianie własnej, minionej już młodości. To pobudza również do pisania. Ale tu mam niedosyt — od lat wyrzucam sobie, że nie dałem dzieciom żadnej książki. One owszem, recytują moje wiersze, śpiewają piosenki z moimi tekstami.. cóż, kiedy pisanie powieści dla nich przerwałem po paru rozdziałach chyba 10 lat temu. Może się do tego jeszcze zabiorę...

— Wróćmy do nagrody, do „Złotej Wieży Trybunalskiej". Za co otrzymuje się to zaszczytne wyróżnienie? Kim byli ci, którzy przed Tobą zdobyli tę nagrodę? Czym dla Ciebie jest „Złota Wieża Trybunalska"?

— Ta wyłącznie honorowa — może dlatego tak wysoko w Piotrkowie ceniona nagroda — „urodziła się" jedenaście lat temu. Co roku otrzymuje ją jeden mieszkaniec miasta za, jak to napisano w regulaminie — a) dorobek organizatorski w rozwoju i upowszechnianiu kultury, b) działalność naukową, popularyzatorsko-naukową i publicystyczną, c) działalność twórczą w zakresie literatury, historii, plastyki, architektury itd. Od kilku lat kapitułę decydującą o przyznaniu tego wyróżnienia stanowią dotychczasowi laureaci z udziałem prezesa Towarzystwa Przyjaciół Piotrkowa i prezydenta miasta. Po dziesięciu edycjach nagrody jedna z moich uczennic napisała pracę maturalną pt. *„Złota Wieża Trybunalska" jako wyraz moralnego uhonorowania twórczych piotrkowian"*. W treści tego tematu jest, jak sądzę, odpowiedź na Twoje pytanie, przynajmniej w odniesieniu do pierwszej dziesiątki laureatów. „Odgłosy" prezentowały ich sylwetki, może więc tylko przypomnę, że są to: *Kazimierz Budzyński* — nauczyciel-plastyk, *Tadeusz Nowakowski* — autor przewodników po Ziemi Piotrkowskiej i zasłużony działacz polityczno-społeczny, *Jerzy Kisson-Jaszczyński* — dziennikarz, *Michał Fidelus* — naukowiec i działacz Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, *Irena Kudyba* — twórczyni znanego harcerskiego zespołu artystycznego „Przygoda", *Aleksandra Matusiakowa* — Zasłużony Nauczyciel PRL i autorka opracowań o walce i martyrologii piotrkowskich uczniów i nauczycieli w okresie wojny i okupacji, *Władysław Hartman* — inżynier i prezes Towarzystwa Przyjaciół Piotrkowa, *Wincenty Stępień* — sędziwy „kompozytor zieleni miejskiej", *Mieczysław Strychalski* — nauczyciel i kombatant, autor pamiętników z walk w 1939 r. No i — ja... dla którego, powtarzam, „Złota Wieża Trybunalska" jest piękną niespodzianką oraz — jednak! — potwierdzeniem, że Piotrków stał się dla mnie „miastem sprawdzenia i serca".

— Na zakończenie naszej rozmowy proszę, abyś powiedział parę zdań na temat swoich zamierzeń twórczych. Czy nie zamierzasz przerwać swojego młodzieńczego romansu z poezją i nie zaczniesz darzyć dojrzałą miłością dostojnej prozy?

— Sytuacja współczesnych pisarzy, poza nieliczną ich grupą, polega na tym, że nie mogą oni poświęcić się wyłącznie twórczości. Muszą po prostu żyć z pracy w określonym zawodzie. To absorbuje nie tylko czas — przede wszystkim energię twórczą, niekiedy rozbija, rozmienia na różne potrzeby i konieczności. Tak jest i ze mną: praca nauczycielska, społeczna... Ale i pióro. W Wydawnictwie Łódzkim czeka na druk tomik wierszy złożony w ramach serii *„Arkuszy Sieradzkich"*. Pracuję nad opowieścią opartą o pamiętnik żołnierza pełniącego służbę w latach powojennych. Nazbierało mi się kilkanaście opowiadań oraz sporo nowych wierszy. Ale, mój drogi, kto i kiedy to wyda? A romansu z poezją, jak to nazywasz, nie przerywam, chociaż ciągnie mnie do prozy. Czas pokaże, czy coś z tego wyniknie. A czas — to jednak przemijanie, to niepokoje — te ogólne i te osobiste... Pozwól, że skwituję te refleksje napisaną ostatnio fraszką: „Marzenie pisarza: słońce, a nie — plaża".

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Republika Pinczowska

Pojawiła się znowu na półkach księgarskich — po dość długiej nieobecności — PIW-owska seria polskiej prozy współczesnej. Wprawdzie z regularnością i wyborem nie zawsze jest najlepiej, niemniej jednak od czasu do czasu spotykamy w niej coś interesującego, zdolnego na kilka wieczorów przykuć uwagę czytelnika.

Tym razem warto zatrzymać się nad powieścią Andrzeja Brauna pod chwytliwym i dającym do myślenia tytułem: „Rzeczpospolita chwilowa". W sferze bezpośredniej relacji opowiada ona o tzw Republice Pinczowskiej, to jest o obszarze wyzwolonym przez polskich partyzantów na przeciąg niecałego miesiąca (mniej więcej od połowy lipca do połowy sierpnia 1944 roku) w okolicy Pinczowa, Proszowic, Kazimierzy Wielkiej i kilku innych miast, znajdujących się w pobliżu Nidy. W sferze aluzji wykracza zdecydowanie poza wydarzenia roku 1944, każe Republikę Pinczowską traktować niemalże jako PARS PRO TOTO tych wszystkich problemów, które towarzyszyły wyzwalaniu Polski spod hitlerowskiej okupacji i rzutowały częstokroć na lata późniejsze.

Jako motto posłużył autorowi „Rzeczpospolitej chwilowej" fragment znanego wiersza Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej „Barwy narodowe". Równie dobrze funkcję tę mógłby spełnić napis widniejący na cokole pomnika poświęconego pamięci poległych i pomordowanych w obronie Skalbmierza, napis godny Dantego: „Pomnij ów dzień, dzień ognia, grozy i krwi" — zwłaszcza, że narracja powieści Brauna jest rekonstrukcją odległych w czasie zdarzeń, rekonstrukcją w znacznej mierze stylizowaną zresztą na dokument (por kronikę nauczyciela Pająka, zapiski Dowmunta, wspomnienia uczestników walk).

Trudno mówić o bohaterze tej powieści (można raczej powiedzieć, iż roi się ona od bohaterów), niemniej jednak wyodrębnia się postać, do której autor czuje zdecydowaną słabość: Rafael C., przedstawiciel pokolenia znanego w naszej literaturze pod nazwą pokolenia „Kolumbów", który „przeszedł wszystko, co było temu pokoleniu Polaków przeznaczone". Słabość autora wobec Rafaela C. uwidacznia się nie tylko w lirycznym potraktowaniu młodego człowieka, również w pewnych autobiograficznych rysach (urodzony w Łodzi, „poeta", etc.). Być może wynika to również z poszerzania konwencji dokumentaryzmu — w końcu w literaturze o wojnie rzeczowość należy do obowiązków pierwszych.

Istotne znaczenie w książce Andrzeja Brauna posiada więc konkret: topografia terenu, obraz potyczek i bitew toczonych przez partyzantów różnych ugrupowań z Niemcami oraz Ukraińcami z SS-Galizien, realia okupacyjnego życia odnotowywane są z dużą dokładnością. Konkretowi realiów w pełni odpowiada konkretność myślenia, wymierna nie tylko zresztą kategoriami TU i TERAZ, ale głównie racjami historycznymi, narodowymi. „Istniało bowiem na tej ziemi" — powiada narrator — „coś w rodzaju powszechnej opinii publicznej, która się mogła różnić w szczegółach, odmiennie wartościować osoby czy też pojedyncze intencje, lecz wyjątkowo jednomyślna była w sprawach historycznego znaczenia" (s. 24).

Można by, w pewnym skrócie — rzecz prosta, określić „Rzeczpospolitą chwilową" jako powieściową rekonstrukcję polskiej powszechnej opinii publicznej końcowego okresu II wojny światowej. Wynika z niej, iż ze wspomnianą jednomyślnością nie było wcale prosto, jednoznacznie. I tu dochodzimy do zalet powieści Brauna — myślę, że główną jej zaletą jest stosunkowo wnikliwe przedstawienie racji stron spierających się (czy też walczących) o przyszły kształt powojennej Rzeczypospolitej. Są to sprawy na ogół dobrze znane wbite w pamięć różnych pokoleń, nie tylko w pamięć pokolenia, do którego należy Rafael C. Są to sprawy, bez znajomości których trudno mówić o tożsamości narodowej — stąd zapewne zrodziła się w autorze chęć ich powieściowego przypomnienia. Tym bardziej, że Republika Pinczowska powstała w sposób spontaniczny, „decydowała sytuacja, nie rozkazy, rozstrzygał stan emocji i ducha, nie strategiczne czy polityczne plany" (s. 152). Właśnie owo samoczynnie wywołane powstanie, w którym uczestniczyły oddziały o różnej orientacji politycznej, było przecież w jakimś sensie potwierdzeniem narodowej jednomyślności w sprawach o historycznym znaczeniu.

„Rzeczpospolita chwilowa" prowokuje niekiedy do traktowania niektórych powieściowych postaci jako odpowiedników ludzi rzeczywiście istniejących i działających w rzeczywistości — jak się to powiada — pozaliterackiej ludzi znaczących w polskiej polityce, gospodarce czy kulturze. Ich dekonspiracja nie wydaje mi się jednak na tyle istotna, by kusić się w tym momencie o jej próbę. Postacie te ważne są bowiem jako reprezentanci pewnych postaw, jako głosiciele określonych poglądów w tych zwłaszcza momentach, gdy „język się wyzbył pewnych słów czy pojęć, zyskał nowe, przeważnie skróty lub zbitki, nie znanego przedtem żargonu" (s. 231).

Warto przyjrzeć się znamiennym dziejom powstania, które przeszło do historii jako Republika Pinczowska.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

A. Braun, Rzeczpospolita chwilowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982, s. 460, nakład 20.000 + 315 egz. cena zł 150,—

Opera moja miłość — mówi Bogusław Kaczyński

Na łamach naszej prasy, a także w radio i telewizji nader często pojawiają się głosy mówiące o spadku zainteresowania sztuką operową. Ale zarówno wysoka frekwencja, jaką szczycą się nasze teatry operowe, jak i wielka popularność telewizyjnego cyklu „Operowe qui pro quo" świadczą o czymś zgoła przeciwnym. Jak jest naprawdę?

— Prawda jest jedna: krąg miłośników opery nie tylko nie zmniejsza się, ale stale rośnie i to zarówno u nas, jak i na całym świecie. Czemu nasi publicyści i korespondenci co rusz wieszczą upadek a to mediolańskiej La Scali, a to nowojorskiej Metropolitan Opera — na to pytanie nie umiałbym odpowiedzieć. Ich dramatyczne doniesienia zdumiewają mnie jedynie, bo ilekroć oglądam przygotowane na tych scenach spektakle, jestem jednym z tak wielu widzów i słuchaczy, że wszystkich nas z trudem mieszczą wspaniałe sale tych teatrów.

Foto: Grzegorz Karłowski

Te twierdzenia o rzekomym kryzysie sztuki operowej dokumentowane są zwykle publikowanymi na łamach zachodniej prasy informacjami o trudnościach finansowych największych operowych scen.

— Ale to są dwie różne sprawy i nie można stawiać między nimi znaku równości! Na całym świecie rosną koszty utrzymania placówek operowych i wszędzie rodzi to określone trudności, ale trudności finansowych nie można nazywać kryzysem tej dziedziny sztuki, o której rozmawiamy. Zresztą nie martwmy się o ich finanse! Jak pani wie żadna z tych „katastrofalnie zagrożonych" scen nie splajtowała, a fakt, że na każdą z podobnych złowróżbnych wiadomości zbierają się społeczne komitety ludzi gotowych wspierać te teatry finansowo wcale niemałymi kwotami świadczy przeciwko twierdzeniom o spadku zainteresowania operą. W dawnej i nowszej historii opery spotykamy nazwiska ludzi, którzy oddawali jej nie tylko cały swój czas i serce, ale także majątek. Znakomity dyrektor La Scali Antonio Ghiringhelli nie brał za kierowanie tą sceną ani jednego lira. Był fabrykantem obuwia i z prywatnej kiesy zasilał jej finanse. Opera zawsze miała prawdziwych wielbicieli i szczerych, bezinteresownych entuzjastów. To oni właśnie utrzymają ją przy długim życiu i w doskonałym jak sądzę zdrowiu. Bogatych fabrykantów obuwia zakochanych w operze nie ma oczywiście zbyt wielu, ale jej dobrej kondycji najlepiej służą niewygasające uczucia licznej rzeszy miłośników jej piękna. Na całym świecie, zwłaszcza tam skąd dochodzą do nas te hiobowe, a nieprawdziwe w gruncie rzeczy wiadomości, dyrektorzy wielkich i małych scen operowych bynajmniej nie „organizują" widowni, a o tym, że nie są to teatry, które przyciągają publiczność tanimi biletami dobrze wiedzą nie tylko nasi turyści, ale i tamtejsi miłośnicy sztuki operowej, którzy często ustawiają się w długich kolejkach po naprawdę drogie bilety.

U nas sytuacja wygląda inaczej: do każdego biletu państwo dopłaca znaczne kwoty, a biura organizacji widowni skarżą się na nadmiar ciężkiej pracy, jaką muszą wykonać, by zapełnić widzami sale teatrów operowych.

— Powiedziałem tutaj, że prawda jest jedna, bo na całym świecie tak ona w istocie wygląda. U nas także miłośników, powiem więcej — wielbicieli opery jest wielu, ale nasza nieco odmienna sytuacja, jeśli pominąć wszystkie inne, ogólniejsze względy, jest „jedynie" skutkiem błędnej przynajmniej do niedawna polityki kulturalnej. Brakuje u nas sensownego programu działań upowszechnieniowych, z mniejszą kompetencją, ze znacznie uboższą znajomością problemów teatru operowego traktuje się tę dziedzinę sztuki. Popełnia się szereg zgubnych w skutkach potknięć kadrowych, błędów personalnych w obsadzie stanowisk dyrektorskich, a później tłumaczy się to wszystko... spadkiem społecznego zainteresowania operą. To chyba coś więcej niż przewrotność. To po prostu brak dobrej woli i zrozumienia wagi tych problemów. Jeśli na te akurat kwestie zwracam tu uwagę, to czynię to dlatego, że wydają mi się dla całej sprawy szczególnie istotne.

Wszystko zatem zaczyna się od ludzi.

— Czasem na nich, a czasem przez nich wszystko się kończy, choć przecież dzięki nim wszystko powinno się rozwijać. Dla nikogo już chyba nie ulega wątpliwości, że nic nigdzie nie dzieje się samo. Od ludzi zależy poziom i społeczny odbiór tej dziedziny sztuki, o której tutaj mówimy. Od ludzi, to znaczy od ich kompetencji, zapału i energii, od ich talentu, wytrwałości, czasem nawet uporu, od ich bezkompromisowości, od tego czy gotowi są oddać się tej sprawie bez reszty. Bo przecież nie kryzys sztuki operowej ani spadek zainteresowania nią sprawił, że po pierwszych błyskotliwych wręcz sukcesach, jakie w odbudowanym warszawskim Teatrze Wielkim i w zupełnie nowym łódzkim teatrze słusznie noszącym to samo zaszczytne miano odnosiły ich zespoły, przyszły dla nich lata gorsze, chude i mdłe. Zawinili tu ludzie i to nie tylko ci, którzy kierując tymi teatrami w krótkim czasie zaprzepaścili dorobek pierwszych dyrekcji, ale w większym chyba stopniu owi jak to się dziś mówi „decydenci", z których mocy następcami tamtych prawdziwych zapaleńców zostawali ludzie może nawet i nieźlej woli, ale z całą pewnością mniej kompetentni i bardziej spragnieni osobistych sukcesów niż sukcesów powierzonych im placówek i zespołów artystycznych. Obserwowałem to ze zgrozą. Dziś nieśmiałym optymizmem napawają mnie wyraźne już zmiany w sposobie traktowania tego problemu. Zmiany te dowodzą, że zrozumiano już w czym kryje się gwarancja powodzenia. Decyzje powierzenia dyrekcji warszawskiego Wielkiego Robertowi Satanowskiemu, a łódzkiego Sławomirowi Pietrasowi są nie tylko wyrazem szacunku dla wielkiego talentu artystycznego pierwszego z panów i szeroko znanych wybitnych zdolności organizacyjnych — drugiego. Dostrzeżono i właściwie oceniono wagę tego, co w obydwu tych osobowościach jest dla teatru operowego niezmiernie ważne, znaczenie elementu szlachetnego szaleństwa, owego absolutnego oddania się operze.

Więc może optymistycznie patrząc w przyszłość nie powinienem już mówić, że do tej pory zamiast zrozumienia i uznania dla odrobiny niezbędnego szaleństwa panował u nas bezmiar zupełnie zbędnej głupoty. Jeśli jednak wciąż do tego wracam to nie dlatego, że jakiś maniacki upór nakazuje mi powtarzać przy każdej okazji takie oceny przeszłości, ale przede wszystkim dlatego, że w moim przekonaniu pamięć owych błędów powinna nam towarzyszyć stale, choćby po to byśmy błędów tych nie popełniali nigdy więcej. Poza tym wiele jest jeszcze do zrobienia...

W innych dyrektorskich gabinetach?

— Przede wszystkim w sferze edukacji muzycznej i popularyzacji sztuki operowej.

Dochowaliśmy się głuchego społeczeństwa. W salach teatrów operowych niewiele widzi się młodzieży.

— Proszę pani, przez całe lata przymykaliśmy oczy na wyśmiewanie tego gatunku sztuki, nie protestowaliśmy gdy rodził się i dojrzewał snobizm na nafgrywanie się z opery, choć przez całe wieki swojego istnienia budziła ona najgłębsze ludzkie uczucia, najsilniejsze namiętności i najgorętsze emocje — proste, ale nigdy prostackie, rzekomo niewiarygodne, a przecież zawsze prawdziwe. Wciąż zdumiewam się jak można było patrzeć na to zło, na tą jeszcze niedawną (bo dziś już odchodzącą w przeszłość, oby bezpowrotnie) bezuczuciowość i lekceważenie przez młodzież tej sztuki, która wymaga takiego talentu, kunsztu i pracowitości! Nie my pierwsi stwierdzamy fakt głuchoty społeczeństwa. Ale na czym nasze społeczeństwo miało sublimować swoje upodobania muzyczne i rozwijać słuch?! Cenię i szanuję dobrą muzykę rozrywkową, lubię dobre piosenki, ale jak tu mówić o edukacji i popularyzacji, a szczególnie o zachowaniu koniecznych proporcji skoro średniego blasku gwiazdki estrady szczycą się kolejnymi longplayami, a gwiazdy tej wielkości i takiego blasku jak choćby Teresa May-Czyżowska nie nagrały dotąd ani jednej płyty. Radio i telewizja rozbrzmiewają tzw. muzyką młodzieżową (ostatnio przybrała ona nawet dumne miano muzyki młodej generacji) praktycznie od rana do wieczora...

...a z opracowań Ośrodka Badań Opinii Publicznej i Studiów Programowych wynika, że ze wszystkich programów muzycznych najbardziej podoba się telewidzom Pańskie „Operowe qui pro quo" i że Pana wieloodcinkowa opowieść o Janie Kiepurze stała się prawdziwym przebojem „Lata z radiem".

— No właśnie. Przyznaję to tak skwapliwie bynajmniej nie z próżności, ale dla podkreślenia jak bardzo i autentycznie sztuka operowa i kunszt wybitnych artystów interesują telewidzów i radiosłuchaczy. Otrzymuję od nich wiele listów. Ich treść nie tylko utwierdza mnie w tym przekonaniu, ale także potwierdza sens i celowość moich działań.

Prowadzi Pan swoje programy z niezwykłą pasją. Skąd ona się wzięła?

— Ja się z tą pasją urodziłem. Moje umiłowanie opery wynika z czegoś więcej niż z potrzeby estetycznej. To jest treść i cel mojego życia. Brzmi to może emfatycznie, ale tak jest naprawdę. Kocham tę dziedzinę sztuki tak bardzo, że wyzbyłem się wszelkiej wobec niej egoistycznej zachłanności. Chciałbym by kochali ją wszyscy i tylko o to staram się w swoich programach. To właśnie dlatego przedstawiam ją w pełnej krasie, w warunkach podkreślających i eksponujących jej moim zdaniem oszałamiającą urodę. Zabiegam o to, by „Panią Operę", tę pierwszą damę mojego serca widzowie oglądali we wspaniałych strojach, w pięknych wnętrzach, w blasku kandelabrów. Ten brylant wymaga oprawy. Realizuję więc swoje programy w zabytkowych wnętrzach pałaców i dworów, w pięknych ogrodach, wśród obrazów i rzeźb. Staram się przekazywać odbiorcom możliwie dużo informacji, które wydają mi się niezbędne dla przekonania ich do jej urody, dla lepszego jej poznania i zrozumienia. Mam do spełnienia szczególną i wielką misję.

Czy uważa Pan, że ma Pan również jakiś szczególny dar sprzyjający jej realizacji?

— Nie, raczej rzadką pasję. Mówię to bez skrępowania fałszywej skromności, bo wiem jak ta pasja jest silna i gorąca. Całe swoje życie poświęcam operze, więc te słowa nie są czczą przechwałką, tylko werbalizacją moich hołdowniczych uczuć dla opery, uczuć poddańczych, a nie triumfalnych. Mojej łatwości nawiązywania kontaktu z odbiorcą, o której wnioskuję z listów zawierających często także zupełnie prywatne zwierzenia z kłopotów ich nadawców, nie uważam darem, a już tym bardziej darem szczególnym. Taką łatwość ma przecież wielu ludzi.

Pańskie programy mają też przeciwników...

— Któż ich nie ma... Moi przeciwnicy, a z orientacji jaką w tej kwestii posiadam wynika, że są oni w zdecydowanej mniejszości, zarzucają mi, iż zbyt często sięgam do anegdoty, że mówię o drobiazgach, że z historii opery wyławiam ploteczki z życia operowych gwiazd. Zarzutów tych, przyznaję od razu, nie traktuję poważnie ani się nimi nie przejmuję. Jestem bowiem przekonany, że życie składa się z drobiazgów, że to one dodają mu koloru i smaku. Największa miłość składa się z tysiąca drobniutkich spraw i uczuć, a opera jest moim życiem i miłością. Mówiąc to samo bardziej konkretnym językiem, choć nie jestem przekonany bym musiał się usprawiedliwiać, przyznam, że te czasem anegdotyczne informacje, które przekazuję dobieram starannie, a fakt konstruowania mojego słowa wiążącego fragmenty arcydzieł operowych jest świadomie przyjętą przeze mnie metodą. Ukończyłem Wydział Teorii Muzyki warszawskiej PWSM, która dziś nosi piękną nazwę Akademii Muzycznej i bez najmniejszego trudu mógłbym z widzami i słuchaczami dzielić się posiadaną „poważną" wiedzą naukową, ale nie chcę uprawiać suchej dydaktyki. Pragnę przytaczanymi informacjami budzić emocje odbiorcy, bo najważniejszym aspektem sztuki jest jej emocjonalność. To że sztuka działa na uczucia budzi ciekawość i chęć jej poznania, a to jest moim celem i największym z życiowych zadań. Wiem na pewno, bo czytam to w listach, że te programy odrywają ludzi od ich codziennych kłopotów. Świat ułudy i czarownej bajki, w który wprowadzam widzów „Operowego qui pro quo" daje im oddech po codziennej bieganinie. Piękne głosy operowych gwiazd, piękne stroje i wnętrza oglądane w telewizji pozwalają nie słyszeć huku miasta i zapomnieć o wątpliwej urodzie mieszkań z betonu.

O tym, że wiedza w formie, w jakiej ją podaję jest potrzebna, że widzowie chcą ją gromadzić i mieć pod ręką najlepiej świadczy fakt, że to właśnie oni skłonili mnie do przygotowania książkowej wersji „Operowego qui pro quo". Jerzy Waldorff mówi, że muzyka łagodzi obyczaje. Podpisując się pod tym dodam, że moim zdaniem opera czyni życie piękniejszym. Będę ją sławił zawsze, do końca życia. W życiu pozagrobowym także. Niech pani tak właśnie to napisze. Nie tylko bowiem nie wstydzę się tych uczuć, ale i tych słów, którymi je wyrażam. Żaden kryzys sztuce operowej nie grozi. Nie zagraża jej też spadek zainteresowania odbiorców, bo wzajemne związki i zależności są tu nader silne. Nie tylko my jesteśmy jej potrzebni do życia. Ona nam także.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

Radiowa geografia muzyczna

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Tytuł brzmi może trochę dziwnie. Nie wszyscy jednak orientują się — jak mówią słowa piosenki — „skąd przychodzi muzyka", gdzie powstają nagrania, których często słuchamy z radiowej anteny i kto nadaje programy muzyczne Polskiego Radia. Właśnie o tych sprawach chciałbym dzisiaj napisać.

Reliktem poprzedniego podziału administracyjnego Polski na siedemnaście województw jest istnienie tyluż ośrodków radiowych w kraju; żadne z nowych miast wojewódzkich nie wzbogaciło się — jak dotąd — o własną rozgłośnię. W Warszawie, oprócz muzycznej „centrali" (składają się na nią m. in. Redakcja Muzyki Rozrywkowej PR, Redakcja Muzyczna Programu III oraz redakcje koordynujące programy II i IV), działa także Warszawsko-Mazowiecki Ośrodek Radiowo-Telewizyjny będący odpowiednikiem ośrodków regionalnych istniejących w innych dużych miastach. Oczywiście, Warszawa ma decydujący wpływ na oblicze ogólnopolskich programów jako że ich gros jest nadawane właśnie ze stolicy. Praktycznie cała muzyka w programie III płynie w eter ze studiów przy ul. Myśliwieckiej w Warszawie. Również i w pozostałych trzech programach możliwości przebicia się na antenę ogólnopolską rozgłośni regionalnych są raczej ograniczone i właśnie Warszawa kształtuje obraz muzyczny Polskiego Radia w zakresie muzyki rozrywkowej. Tutaj w dużej mierze koncentruje się też życie muzyczne kraju. Działają liczne orkiestry, z których największy chyba udział w powstawaniu nagrań piosenek i rozrywkowej muzyki instrumentalnej ma Orkiestra Studia S-1 pod dyrekcją Andrzeja Trzaskowskiego, ale zawiązują się też co jakiś czas, na jedną czy dwie sesje, okazjonalne składy side-manów, których nie powstydziłaby się żadna orkiestra. O zespołach typu big-band, combo, czy o grupach jazzowych, korzystających systematycznie z warszawskich studiów radiowych nie ma nawet co wspominać, tak jest ich wiele. Zresztą nagrania pochodzące z Warszawy częściej niż inne trafiają na antenę, są lansowane w programie ogólnopolskim przede wszystkim — może dlatego, że „bliższa ciału koszula".

Wśród krewnych Warszawy na prowincji są — rzecz jasna — bogaci i biedni. Najlepszym i bodaj jedynym przeglądem tych rozgłośni są programy nocne, które teraz nazywają się „...na muzycznej antenie" (w miejsce wykropkowane wstawia się nazwę miasta). Kiedyś nazywano to po prostu „Programem nocnym", a później „Nocą z melodią i piosenką". Początkowo audycja taka rozpoczynała się tuż po północy (godzina: zero jedenaście) i kończyła dopiero o szóstej rano. Potem jednak czas trwania audycji skrócono, a wraz z wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce zawieszono udział rozgłośni regionalnych w nocnym programie ogólnopolskim, zaś ten czas antenowy zmonopolizowała Warszawa nadając „Muzykę nocą". Tak było do niedawna. Dopiero od października bieżącego roku przywrócono „nocną antenę" rozgłośniom, tyle, że program zaczyna się pięć po pierwszej i trwa zaledwie trzy godziny — do czwartej rano.

Zresztą w przeszłości znacznie więcej było cyklicznych pozycji redagowanych na przemian przez różne rozgłośnie lokalne. Poza programami nocnymi (myślę tutaj o latach siedemdziesiątych) nadawano codziennie wieczorem (godz. 22, 23) „...na muzycznej antenie"; były też tego typu audycje w południe (np. „Melodie polskich kompozytorów" czy mający swoje dobre tradycje „Łódzki Kołowrotek Muzyczny").

Tak czy inaczej z obecnych programów nocnych zorientować się można, kto jest potentatem, a kto — outsiderem. Oczywiście w gronie regionalnych rozgłośni. Utarło się bowiem, że poszczególne rozgłośnie kierują się lokalnym patriotyzmem preferując własny dorobek nagraniowy, wykonawców z własnego terenu, twórców związanych z takim czy innym miastem. I tak: przeważającą część programu nocnego z Poznania stanowić będą piosenki solistów współpracujących z orkiestrą Zbigniewa Górnego, jeśli na antenie jest Kraków, to wiadomo, że usłyszymy utwory w wykonaniu Maanamu, Zauchy, Wodeckiego, Grechuty, Skaldów, Waweli itd. — wszystkich z Krakowa. Na tym tle wyróżnia się Łódzka Rozgłośnia Polskiego Radia — poza szefową Redakcji Muzycznej, panią Iloną Grzesiak, której oddać trzeba sprawiedliwość, że stara się preferować wszystko, co w muzyce rozrywkowej jest wkładem naszego miasta — gdyż słysząc sygnał „Łodzi na muzycznej antenie" zyskujemy pewność, że nowości z łódzkiego studia, nagrywającego przecież kilkadziesiąt utworów miesięcznie, ograniczone zostaną do maksimum trzech, czterech pozycji. A co puszcza się z Łodzi poza tym? Wszystkich spoza Łodzi i — do upadłego — Julio Inglesiasa. No cóż, „cudze chwalicie, swego nie zauważacie" — chciałoby się strawestować przysłowie.

Właściwie nagrań muzycznych dokonuje się we wszystkich ośrodkach radiowych w kraju, bo każda rozgłośnia regionalna wyposażona jest w studio nagrań. Ale zarówno ilość, jak i jakość produkcji jest dosyć zróżnicowana. Prym w tej dziedzinie — oprócz Warszawy — wiodą trzy ośrodki: Łódź, Poznań i Katowice. Wszystkie trzy posiadają własne orkiestry i może to właśnie jest powodem, że chętnie nagrywają tutaj różni wykonawcy, a i utworów instrumentalnych powstaje sporo. Zresztą i Warszawa nie zawsze mogąca nadążyć z nagraniami zleca niejednokrotnie ich wykonanie w Łodzi, Poznaniu czy Katowicach. Do tej elity rozgłośni dołączyły ostatnio Lublin i Opole. Nagrania lubelskie cieszą się dużym uznaniem (nagrywają tam m. in. Trojanowska, Budka Suflera, Vox) i chociaż redaktorzy Miszczak i Janiszewski nie dysponują własną orkiestrą na miejscu, to jednak pracujący na półprywatnych zasadach reżyser dźwięku — Andrzej Poniatowski (niegdyś perkusista grupy „Klan"), ma pełne ręce roboty. W Opolu działa jakby „nieoficjalna" orkiestra pod kierunkiem Edwarda Spyrki. I tam chwalą sobie wykonawcy nagrania, a wiele z nich zyskuje popularność (ostatnio nagrywali tam także Gayga i Pro Rock). Ambicje nagraniowe mają też inne regionalne rozgłośnie. Dość dużo nowych nagrań pochodzi z Krakowa (z tym, że nagrywa się tam częściej niż w radiowym studiu, w Teatrze Stu, który posiada bardzo dobrą aparaturę), Bydgoszcz chlubi się rejestrowaniem utworów grupy „Kombi", Białystok ma na swym koncie piosenki Janusza Laskowskiego, Gdańsk nagrywa własnych wykonawców i orkiestrę kierowaną przez Jana Tomaszewskiego. Ostatnio do tej grupy „nagraniowych ośrodków drugiego rzutu", dołączyły również Szczecin i Wrocław, które w swej działalności preferują tak modną obecnie muzykę rockową i stąd w ich studiach goszczą najczęściej młode grupy muzyczne. Nieco mniej niż dawniej nagrywa się obecnie w studiu rozgłośni kieleckiej, skąd pochodzą dawne nagrania „Orkiestry do użytku wewnętrznego" i „Arian". Mimo, iż jak zaznaczyłem na początku, jeśli chodzi o nagrywanie muzyki rozrywkowej w regionalnych rozgłośniach, nie ma w zasadzie na mapie Polski białych plam to jednak stwierdzić trzeba, że najmniejszym w tej dziedzinie dorobkiem poszczycić mogą się Koszalin, Olsztyn, Rzeszów i Zielona Góra. Ale wcale nie jestem pewny, czy już wkrótce słysząc na muzycznej antenie program z któregoś z wymienionych tutaj przed chwilą ośrodków nie spotkamy się z porcją własnych nagrań, bo przecież — wbrew pozorom — chętnych do nagrywania dla Polskiego Radia naprawdę nie brakuje.

Kronika kulturalna

Arkady Fiedler, jeden z najpopularniejszych pisarzy książek młodzieżowych, obchodził jubileusz 65-lecia pracy twórczej. Zbiegł się on z 88 rocznicą urodzin znakomitego podróżnika, który mimo sędziwego wieku nadal intensywnie pracuje. W roku przyszłym ukaże się w Wydawnictwie Poznańskim kolejna książka A. Fiedlera „Motyle mojego życia", w tym samym wydawnictwie autor „Dywizjonu 303" złożył książkę następną, napisaną wspólnie z synem Markiem pt. „Ród Indian Algonkinów". Ostatnio pisarz zakończył pracę nad książką „Zwierzęta mojego życia", którą wyda również poznańska oficyna edytorska. Z okazji jubileuszu pracy pisarskiej Arkademu Fiedlerowi serdeczne gratulacje i życzenia złożył minister kultury i sztuki.

W Wałbrzychu rozstrzygnięty został XIV Ogólnopolski Turniej Poetycki i Plastyczny o *„Złotą Lampkę Górniczą"*. Wśród laureatuów znaleźli się m.in. *Zenon Dunajczyk* z Pabianic (II nagroda i srebrna lampka górnicza) oraz *Marek Brzeziński* z Łodzi (III nagroda i brązowa lampka górnicza).

---

11 grudnia, na Małej Scenie Teatru Powszechnego w Warszawie odbyła się premiera sztuki *St. Brejdyganta „Wyzwolony"*. Spektakl reżyserował autor, scenografię zaprojektował *J. Banucha*, muzykę skomponował *J. Zawierski*. Grają: *M. Benoit, K. Kaczor, O. Łukaszewicz* i *G. Marzec*.

W Teatrze Wielkim w Warszawie — Sala im. Młynarskiego — 11 grudnia odbyła się prapremiera „Inge Bartsch" z muzyką *Henryka Czyża*, który także z *L. Janowiczem* jest autorem libretta. Przedstawienie wyreżyserował *L. Hellwig-Górzyński*. Choreografie przygotowała *M. Bochenek*. Scenografię zaprojektował *K. Pankiewicz*.

---

10 grudnia, w sali Muzeum Historii Miasta Łodzi zorganizowany został jubileusz 50-lecia pracy scenicznej popularnej artystki scen łódzkich i zasłużonej działaczki społecznej — *Heleny Wilczyńskiej-Woźniak*.

Dn. 19.XII.1982 r. w Dużej Sali Teatru Nowego odbędzie się premiera najnowszej sztuki współczesnego polskiego pisarza *Ireneusza Iredyńskiego* pt. *„Terroryści"*, w reżyserii *Jana Bratkowskiego*, ze scenografią *Krzysztofa Pankiewicza*.

Dramat rozgrywa się w scenerii południowo-amerykańskiej. Sztuka ukazuje cały mechanizm bezwzględnej walki o władzę. Iredyńskiego interesuje w „Terrorystach" zjawisko prowokacji, wiążącej się nieuchronnie z terroryzmem. Polityka i moralność nie mają ze sobą punktów stycznych — mówi dramaturg. W takim kontekście demokracja jest tylko formą mniej lub bardziej udanego kompromisu. Iredyński stawia jedno za drugim pytania, na które widz sam musi znaleźć odpowiedź. I są to pytania interesujące każdego współcześnie żyjącego człowieka.

Grają: *Mirosława Marcheluk, Wojciech Pilarski, Janusz Kubicki, Jacek Pawlak, Wojciech Droszczyński i Marek Lipski.*

W Katowicach wręczono doroczne plakiety tygodnika „Poglądy", przyznawane twórcom zasłużonym dla rozwoju kultury i sztuki. Tegorocznymi laureatami są: *Józef Musiał*, autor książek z najnowszej historii Śląska, *Albin Siekierski* — prozaik i dramaturg oraz *Jerzy Zitzman* — organizator teatrów lalkowych na Śląsku, znany plastyk.

WOKÓŁ TEATRU

Między kiczem a eksperymentem

Zdaniem Jerzego Panasewicza („Odgłosy" nr. 32), przyszłość teatralnej Łodzi rysuje się raczej mglisto. Gdzieś w połowie zeżlony Panasewicz pisze: **„Pogódźmy się tedy wreszcie z faktami, choćby bardzo nawet miały być niemiłe, przestańmy bajać o ambicjach tradycjach i wieloletniej pracy nad wychowaniem teatralnego widza, bo rzeczywistość skrzeczy, publiczności nie ma, a co gorsza, tak naprawdę — przynajmniej na przedstawieniach trudniejszych — niemal nigdy nie było".** Fakt. Z którym zgodzić się trzeba, podobnie jak z paroma innymi, nie tyle przez Panasewicza stwierdzanymi, ile dobitnie czytelnikowi uświadamianymi. Gdy przeto powziąłem postanowienie napisania tego artykułu, to nie z zamiarem polemizowania ze znanym krytykiem i serdecznym kolegą, lecz z chęci zwrócenia uwagi na sprawy, o których Panasewicz wprawdzie napomyka, aliści poświęca im miejsca nieco mniej, niżliby należało.

To prawda, że najistotniejszym problemem, przed rozwiązaniem którego stoją łódzkie — a chyba nie tylko — teatry, jest kwestia systematycznie od paru lat malejącej frekwencji. Teatr to nie film, który nawet w dużej sali kinowej można oglądać samotnie. Do pustych krzeseł grać się nie da, choćby to było „Wyzwolenie" Wyspiańskiego. Gdy nie ma widza — nie ma teatru. Nie ma go nawet wówczas, gdy widzów jest dziesięciu, albo i dwudziestu — powinno ich być o wiele, wielowięcej. Jeśli do kina przyjdzie piętnaście osób, mechanik puszcza w ruch aparaturę, a sam zaczyna rozwiązywać krzyżówkę. Jeśli na sali teatralnej znajdzie się piętnaście osób, wszyscy — wraz z aktorami — mogą spokojnie pójść do domu. Co zrobić, żeby takie przypadki nie zdarzały się w ogóle, bądź możliwie najrzadziej?

Otóż nie jest to — moim zdaniem — takie znów trudne. Wystarczy właśnie zapomnieć o ambicjach. A wówczas będzie można zrezygnować nawet z — wspomnianego przez Panasewicza — obnażonego biustu aktorki, który wszakoż nadal jest dla znacznej części publiczności dość silnym magnesem. W ckliwej szopce pt. „Betlejem polskie" Lucjana Rydla wszyscy są ubrani po szyję, a ludziska walili do Teatru Powszechnego, niczym pszczoły do miodu. W żenującej pod każdym względem — od tworzywa poczynając, na realizacji kończąc — ostatniej premierze Teatru Muzycznego („Gdzie jesteś piękna Galateo?" Andrzeja Mariana Trzosa) o nagości wiele się mówi w tekście, na scenie jednak panie są skąpo, ale równocześnie dość godnie ubrane. I chociaż oferuję się tam publiczności przedniej jakości bubel teatralny, ta dopisuje i nie narzeka. Są to przykłady najświeższe, ale i z przeszłości można by wiele podobnych wydobyć. Nawet Kazimierzowi Dejmkowi zdarzyło się przed paroma laty wpuścić na scenę Teatru Nowego kicz pt. „Awaria" Haliny Dobrowolskiej, cieszący się w sumie ogromnym powodzeniem.

Nie sądzę, by trzeba było poświęcić nazbyt wiele czasu na wyszukanie w repertuarze sztuk, które dyrektorom teatrów zapewniłyby w miarę spokojny sen także w rygorach reformy gospodarczej. Pod warunkiem, że traktowaliby siebie wyłącznie jako szefów przedsiębiorstw mających za zadanie przynosić zysk, albo przynajmniej zmniejszać tzw. planowany deficyt, czyli z kiesy państwowej wyciągać trochę mniej pieniędzy. Gdyby jednak w środku nocy, któremuś z dyrektorów przypomniało się, że jest równocześnie twórcą określonych dóbr kulturalnych — jeśliby skromność nie pozwoliła mu samego siebie nazwać artystą — powinien ubrać się i pójść na długi spacer. O śnie już by nie było mowy. Nadarzyłaby się natomiast okazja do zastanowienia się nad odpowiedzią na niełatwe, acz najistotniejsze pytanie: co zrobić, żeby zapewnić frekwencję nie dopuszczając równocześnie do obniżenia poziomu artystycznego teatru poniżej jakiegoś przyzwoitego minimum?

Oczywiście — jest i na to sposób. Dość pokrętny — jeśli idzie o uzasadnienie — acz przynoszący przynajmniej częściowe rozwiązanie dylematu. Najprościej mówiąc: obok „Betlejem polskiego" grać bardzo piękne, świetnie wystawione acz przeznaczone raczej dla koneserów „Zdziczenie obyczajów pośmiertnych" Bolesława Leśmiana. Przykłady z dwóch różnych scen, ale dające najwyraźniejszą egzemplifikację odpowiedzi na wyżej postawione pytanie. Zresztą, tego typu rozwiązanie podszeptuje również Jerzy Panasewicz proponując grać „Wielkanoc" („**spektakl ambitny i interesujący**") raz w miesiącu „dla honoru domu". A w pozostałe dni? Powiada J. Panasewicz: **„repertuar bardziej popularny, chociażby utwory przeznaczone dla dziecięcego czy młodzieżowego widza".**

To ostatnie rozumiem całkowicie. Ale co znaczy **„repertuar bardziej popularny"?** Mogę się domyślić odpowiedzi: taki, na jaki ludzie chodzą. A na jaki chodzą? I na to pytanie odpowiedzi nie znam, ani się też jej nie domyślam. Podejrzewam też, iż nie zna jej i nie domyśla się nikt, albo prawie nikt. Można bowiem przytoczyć konkretne przykłady pozycji repertuarowych, cieszących się szczególnie wysoką frekwencją, ale nie uda się wyodrębnić zakresu repertuarowego, przyciągającego widzów do teatru. Ileż to razy frekwencyjne pewniaki okazywały się niewypałami i odwrotnie — sztuki trudne i ambitne osiągały niebywałe powodzenie. W dziedzinie gustów wymagań i oczekiwań publiczności, teatry niezmiennie błądzą po omacku, kierując się jedynie mniej lub bardziej wyczuloną intuicją swych kierowników artystycznych. Na marginesie warto sobie przypomnieć, co mówiło się i pisało, gdy Skuszanka i Krasowski zakładali teatr w nowej Hucie i jakie to później przyniosło efekty.

W doborze **„repertuaru bardziej popularnego"** kryje się też poważne niebezpieczeństwo stałego obniżania wymagań, a co za tym idzie również poziomu teatralnej produkcji. To zaś — moim zdaniem — prowadzi wprost do samobójstwa teatru. Widz bowiem — wbrew pozorom — bardzo nie lubi, gdy się go przez długi czas traktuje jak nierozgarniętego dzieciaka, proponując jedynie rzeczy lekkie łatwe i przyjemne. Bogdan Husakowski — o którym całkiem słusznie pisze Jerzy Panasewicz, że **„niemal samotnie broni honoru teatralnej Łodzi"** — powiedział kiedyś, iż przez ostatnie lata teatr nasz zapomniał o przynależnej mu funkcji ludycznej. Wlazł na koturny i z ich wysokości spoglądał na otaczającą go rzeczywistość. Jest wiele prawdy w tym stwierdzeniu. Jednakże ludyczność nie może równać się szmirze i kiczowi. Zabawa też powinna mieć swój poziom, dzięki któremu może kształtować gusty i smak uczestniczących w niej ludzi. I nie koniecznie musi to być „Panna Lili i jej dwaj mężowie". Gdyby się dobrze sprawie przyjrzeć okazałoby się, że nie tak znów wielu jest zwolenników idiotycznych „gabinetów śmiechu" z wybrakowanymi lustrami.

Zgadzam się z Jerzym Panasewiczem, że **„teatralną piramidę (...) trzeba zacząć budować od dołu...". A więc „od dziecięcego widza, który powinien znaleźć coś dla siebie nie tylko na scenach lalkowych, ale również w teatrach dramatycznych i muzycznych, Wielkiego nie wyłączając. Na dalekosiężne efekty trzeba będzie czekać wprawdzie lata całe, ale rzecz opłacalna jest też doraźnie, bo mimo finansowych kłopotów rodzice być może sami przyoszczędzą coś na kulturze, ale dziecku nie odmówią przyjemności pójścia do teatru".** Sam od lat z uporem maniaka powtarzam, że sztuki trzeba się uczyć jak tabliczki mnożenia. Tylko, że sztuka jest znacznie trudniejsza i nie tak oczywista jak mnożenie jednej liczby przez drugą. Naukę tę więc prowadzić należy rozsądnie, z taktem, delikatnością i dużym wyczuciem oraz znajomością psychiki ucznia, czyli ewentualnie przyszłego teatromana. Tymczasem nie czyni się tego w ogóle, co jest błędem niewybaczalnym. Cóż bowiem oferują nasze teatry dramatyczne młodym widzom? „Czarodzieja", „Krasnoludki, krasnoludki", „Koziołka Matołka". Czyli — jeśli idzie o rodzaj i gatunek — niemal dokładnie to samo co „Pinokio" i „Arlekin". Tymczasem wydaje mi się, iż jedynie zmiana planu — z lalkowego na żywy — tudzież zastosowanie paru czy parunastu chwytów formalnych, nie stanowi istotnej zmiany, która mogłaby zachęcić młodego człowieka do odmienienia przyzwyczajeń, jeśli takowe w ogóle są. Prawie żaden z teatrów nie wykazuje w tej dziedzinie nadmiernej inwencji i chęci staranniejszych poszukiwań repertuarowych. Temat to jednak ogromny i należałoby mu poświęcić odrębny artykuł, co też być może kiedyś uczynię. Tym bardziej, że niezbyt mi odpowiada lansowana przez wielu — uważana za słuszną także przez J. Panasewicza — idea odrębnej sceny dla młodego widza. Obawiałbym się, że stałaby się ona sceną lektur szkolnych, co byłoby wręcz fatalne.

Wróćmy jednak do „normalnych" teatrów i nękających ich problemów. Otóż cały czas zajmowałem się dotąd — idąc w miarę wiernie tropem myśli Jerzego Panasewicza — kwestią repertuaru czyli tworzywa, z którego spektakl powstaje. Tymczasem równie istotnym — jeśli nie wręcz ważniejszym — jest sposób jego realizacji, oblekania go w ostateczny kształt sceniczny. Chyba nie będzie przesadą, jeśli powiem, że żyjemy w czasach kultu fachowości. W każdej dziedzinie. Dyletantyzm mógł ewentualnie ujść płazem jeszcze pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu. Dziś dyletant jest człowiekiem przegranym. Wcześniej czy później. Jeśli to drugie — będzie przegranym do cna. Także w teatrze. Aż dziw że tak wielu nie zdaje sobie z tego sprawy. Z wyjątkiem widza. To jasne — nie każdego. Ale bardzo licznych. J. Panasewicz pisze: **„...obliczono, że autentycznych, przygotowanych do odbioru również trudniejszych spektakli teatromanów mamy w Łodzi gdzieś od 3 do 6 tysięcy."** A czy obliczono kiedyś ilu mamy amatorów takich pomyłek teatralnych jak „Gdzie jesteś piękna Galateo?" Z pewnością więcej, niż tych „autentycznych przygotowanych teatromanów", ale ilu? 10, 20, 30 tysięcy? A reszta? Otóż jestem przekonany, że reszta chciałaby chodzić po prostu na dobre sztuki. Dobre pod każdym względem. Zarówno, jeśli idzie o tworzywo, jak i jego kształt teatralny. Dobre, to znaczy zrobione fachowo, niekoniecznie będące szczytem artyzmu, ale reprezentujące sobą robotę rzemieślniczą na odpowiednio wysokim poziomie. Taką, jakiej przez lata dopracował się m. in. zachodni film komercyjny w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Nie chcę przez to powiedzieć, że należy rezygnować z artystycznych poszukiwań, z ambicji twórczych, z przecierania nowych ścieżek. Trzeba jednak w tym wszystkim zachować właściwe proporcje. Gdyby teatry objęli Szajna, Kantor i Grotowski nasz Wydział Kultury i Sztuki poszedłby z torbami po trzech miesiącach. Eksperymenty — zwłaszcza formalne — nie zdobywają szerokiego poklasku.

Czyżbym więc przeczył samemu sobie i opowiadał się na koniec za repertuarem popularnym? Nie. Choćby dlatego, że nie wiem co to znaczy repertuar popularny. Wydaje mi się natomiast, że widza zainteresuje w teatrze wszystko, albo prawie wszystko, jeśli będzie naprawdę dobrze, rzetelnie zrobione. „Zemstę" można grać ubierając jej bohaterów we fraki i krynoliny, bądź w stroje plażowe, tylko po co? Widz chciałby — jak przypuszczam, choć przecież pewności żadnej nie mam — zobaczyć tę komedię taką jaką sobie ją wymarzył imć pan Fredro. Widz chce usłyszeć ze sceny wiersz dobrze mówiony, chce zobaczyć ładnie zakomponowane i rozwiązane sytuacje zgraną z czasem akcji scenografię. Słowem — widz chce zobaczyć **dobrą, fachową** robotę, a nie amatorszczyznę. Rozpaczliwy telegram ze starej teatralnej anegdoty „Wracać natychmiast, reżyser ma pomysły" ma zdumiewający walor aktualności.

To samo dotyczy zresztą nie tylko inscenizacji lecz również tekstu. Wystawiony parę lat temu na scenie Teatru Nowego „Egzamin" Jana Pawła Gawlika cieszył się ogromnym powodzeniem. Po prostu widownia zaakceptowała dobrze napisaną i fachowo zrealizowaną sztukę. Warto z takich faktów wyciągnąć wnioski.

Kiedyś ludzie teatru winą za niską frekwencję obarczali telewizję. Obecnie argument ten raczej odpadł. Telewizja odkurza leżące na samym spodzie starocie, a teatralne widownie nadal świecą pustakami. Kogo więc teraz winić? Coś mi się zdaje, że jest to pytanie najbardziej krępujące dla samych teatrów. Nic się jednak na to nie poradzi — trzeba poszukać na nie odpowiedzi. Jeśli będzie uczciwa, stanie się równocześnie wskazówką w jakim kierunku należy iść, by dojść do upragnionego widza.

JERZY M. FIEDOSIEJEW

PROSTO Z KINA

Mój radziecki film

Minął listopad, minęły niepostrzeżnie „Dni filmu radzieckiego". Nie pomogły wielkie reklamowe zapowiedzi. Nie wszystkich też przekonała różnorodność tematyczna premier: od historycznego fresku z czasów Rusi Kijowskiej — „Jarosław Mądry", poprzez rewolucyjny kryminał o naczelniku rozprawiającym się z grasującą w okolicy bandą białogwardzistów — „Ten szósty", do kameralnego dramatu małżeńskich oczekiwań i spełnień — „Portret żony artysty".

Przeciętny kinoman nie ma najlepszej opinii o filmach naszego wschodniego sąsiada, co zrobiono jednak, by wpłynąć na zmianę takiego nastawienia publiczności?

Nic lub prawie nic. Zasady repertuarowego doboru nie zmieniają się od lat, a nieliczne arcydzieła (są takie), liczniejsze filmy dobre i bardzo dobre (też są) z braku właściwych krytycznych rekomendacji giną w morzu nijakości.

Dla autentycznych fanatyków kina, nie mających kinematograficznych fobii gratka była to nie lada. Na naszych ekranach można było prześledzić proces kształtowania się artystycznej osobowości, od pierwszego do ostatniego filmu (!) jednego z najoryginalniejszych twórców współczesnego kina — **Andrieja Tarkowskiego.** W czasie organizowanych przeglądów **(o tych wiem w Białymstoku i Łodzi) oczywiście** niezawodne kino Stylowy, bez względu na koszty własne, propagujące wartościowe obrazy (w Białymstoku pokazano wszystkie pięć, w Łodzi tylko 4 — bez „Stalkera" — dlaczego?), nakręcone przez reżysera w ciągu 20 lat filmy — „Dziecko wojny", „Andriej Rublow", „Solaris", „Zwierciadło", „Stalker".

Tylko kto je obejrzał? Jednostki. Starcza palców obu rąk, żeby zliczyć widzów na poszczególnych seansach. Nie ulega wątpliwości, że nie jest to łatwa w odbiorze twórczość, która zyska masowy poklask, ale szkoda, że warte obejrzenia obrazy znikają z ekranów odrzucone, niechciane. Mnie jest tym bardziej przykro, gdyż w tej doborowej „piątce" mieści się mój ulubiony radziecki film — „Andriej Rublow". Chcę napisać o nim parę słów, może kogoś one przekonają, choć to tylko słowa, słowa, słowa.

Średniowiecze w powszechnym odczuciu to czasy ciemnoty i upadku. Krótka zadyszka ludzkości między monumentalnymi osiągnięciami człowieczej myśli i dłoni okresu starożytności i renesansu. Tarkowski **„...kreśląc wizerunek średniowiecznego artysty, odkłamuje skutecznie stereotypowe prawdy. W filmie pada istotne dla każdej epoki pytanie o społeczny sens sztuki. Rublow postanawia zerwać z dotychczas obowiązującą, apokaliptyczną konwencją malowania „Sądu Ostatecznego". W świecie pełnym zła nie można dążyć do jego pomnażania, lecz dać przekonującą wizję dobra, sprawiedliwości, miłości.**

Poszukiwacz humanistycznych wartości co krok przeżywa rozczarowanie — do okrutnej rzeczywistości, do ludzi, do samego siebie. „...trwa rzeź. Brat zdradza brata, włodzimierskiego kniazia, ale nie jest to starcie dobra i zła, nawet takie, w którym dobro ponosi klęskę: zdradzony też był okrutnym człowiekiem, całując w cerkwi brata w usta, rozdeptywał mu stopę butem. Zdrada zrodziła się z upokorzenia. Zło powstaje ze zła. I w końcu dobry mnich-artysta sam zabija siekierą człowieka, później odbywa pokutę milczenia. Milcząc nie broni się przed fałszywym oskarżeniem (o donos), nie broni się przed grożącą mu kaźnią — samosądem".

Czy artysta ma moralne prawo „gnębić" swą sztuką ludzi biednych i upokorzonych? Czy nie powinien raczej dawać im nadziei, wiary, choć sam jest ułomny i nie bez winy? Czy może zrezygnować z artystycznego powołania tylko dlatego, że on — człowiek ugiął się pod naporem wszechogarniającego zła? Ważkie pytania o sens sztuki, sens twórczego działania wkomponowane są w uniwersalistyczną, choć osadzoną w średniowiecznych realiach, przypowieść o losie artysty. Nie jedyny to portret twórcy w filmie Tarkowskiego.

Pojawia się motyw oślepienia artysty przez zazdrosnego mecenasa-władcę, tylko dlatego by ten nie mógł swą sztuką służyć innemu. Na leśnej drodze odbywa się krwawa rozprawa — ludzie kniazia wyłupują oczy rzeźbiarzom — muratorom. W scenie pokazującej łatwość, powszedniość takich czynów zawiera się porażająca widza doza okrucieństwa.

Pojawia się w pierwszej scenie filmu artysta podejmujący heroiczną próbę urzeczywistnienia swych marzeń. Wznosi się w górę, uczepiony wypełnionego gorącym powietrzem „balona" ze skóry. Duma, pycha pobrzmiewa w jego głosie, gdy krzyczy: Latam! Latam!" Za chwilę wywyższenia trzeba drogo zapłacić, wzlot musi się zakończyć upadkiem — „balon" rozbija się, spadając na ziemię.

Pojawia się artysta, który w zachowaniu maksymalnej wierności metodzie, wypracowanemu sposobowi tworzenia widzi istotę swego działania. Syn gisera, choć będzie niestrudzony w poszukiwaniu właściwego tworzywa, choć będzie wierny każdemu szczegółowi, nie zgłębi ojcowskiej tajemnicy odlewania dzwonów. Poniesie klęskę. **„Dzwon wzniesiony z najwyższym trudem dźwięczy głucho, tajemnica okazała się fałszywa. W ostatniej scenie filmu postarzały Andriej Rublow pociesza załamanego chłopca: trzeba pracować, trzeba szukać prawdziwej tajemnicy".**

PAWEŁ STRZELECKI

Cytaty pochodzą z artykułu Andrzeja Osęki „Traktat o artyście" zamieszczonego w 7 numerze „Kina" z 1980 roku.

Gibraltar

Konflikt który ma przyszłość

Najdłuższy konflikt dyplomatyczny w Europie — tak można określić trwający już ponad dwa wieki spór między Hiszpanią, a Wielką Brytanią o Gibraltar. Spór, który wielekroć wchodził w ostre fazy, obecnie, po konflikcie falklandzkim, jakby ostygł.
Ale sukcesy Brytyjczyków na Malwinach wytrąciły Hiszpanów z toru tylko na krótkim dystansie.
Likwidacja kolonii brytyjskiej na skalistym cyplu, jak stwierdza prasa hiszpańska jest sprawą prestiżu i honoru całej iberyjskiej republiki, spór więc wcześniej czy później musi być rozwiązany na jej korzyść.

Dokończenie ze strony 1

zyjczyków pracujących w Gibraltarze.

Mimo że blokada przyniosła Andaluzji pewne straty (ograniczenie turystyki, utrata pracy dla kilku tysięcy ludzi) nie to jednak najbardziej się liczyło — miała ona stanowić głównie spektakularną formę protestu przypominającą o prawach Hiszpanii do tego terytorium.

Skały gibraltarskie, które zawsze były naszpikowane armatami, otacza 25 milowy pas drogi; zamyka on terytorium o powierzchni 5,8 km kw. Kiedyś cypel ten, z racji swego położenia na drodze do Indii, miał szczególne znaczenie dla Anglii. Odegrał też pewną rolę w drugiej wojnie światowej — stąd w 1942 r. gen. Dwight Eisenhower rozpoczął inwazję na Afrykę Północną. Po zakończeniu wojny Brytyjczycy pozostawili tu garnizon wojskowy, który później, jako ważny punkt „obrony" Sojuszu Atlantyckiego", został poważnie rozbudowany. Dziś groźnie wyglądające na swych stanowiskach armaty to tylko pozorni strażnicy Cieśniny Gibraltarskiej. W rzeczywistości bowiem nie one stanowią o znaczeniu Gibraltaru. W tunelach wykutych przez saperów na głębokości 300 metrów i połączonych asfaltowymi drogami, znajdują się wielkie magazyny broni i amunicji, punkty dowodzenia, szpitale i schrony przeciwatomowe. Cypel usiany jest również instalacjami elektronicznymi, które służą głównie kontrolowaniu żeglugi w cieśninie i u wybrzeży Afryki Północnej.

Wojskowi i ich rodziny stanowią znaczną część mieszkańców enklawy. Wśród 20 tys. Gibraltarczyków (takimi uznaje się urodzone tu osoby), około 7 tys. to właśnie wojskowi wraz z rodzinami. Ponadto przebywa w Gibraltarze 3,6 tys. Marokańczyków. Ten skład etniczny tylko z pozoru jest tak prosty, faktycznie bowiem miasto stanowi tygiel narodowościowy: Gibraltarczykami są z pochodzenia Genueńczycy, Maltańczycy, Żydzi, Arabowie, Portugalczycy, Hiszpanie i Brytyjczycy. W tej wieloskładowej mieszance etnicznej bardziej się liczy interes, niż przynależność narodowa. Brytyjczycy nadali Gibraltarowi lukratywny statut miasta-portu wolnocłowego, już choćby więc z tego względu mieszkańcy Gibraltaru darzą większą sympatią Londyn niż Madryt. Zjednoczone Królestwo daje też pracę (w bazach i urzędach) większości zatrudnionych tu osób. Zaś bezpośrednie dotacje rządu brytyjskiego dla Gibraltaru wynoszą, w ostatnich latach, przeciętnie 700 funtów szterlingów na jednego mieszkańca. Można by i wspomnieć, że duży garnizon wojskowy dostarcza niemałych dochodów setkom barów i restauracji. Mniejsze już dochody czerpie Gibraltar z turystyki: — kierujący ruchem w wąskich uliczkach policjanci w mundurach londyńskich bobbies nie stanowią takiej atrakcji dla Brytyjczyków, jaką mogliby stanowić dla Hiszpanów.

Gibraltar, który jest zarazem krajem, miastem, twierdzą i portem międzynarodowym, nie ma żadnej znaczącej produkcji jak i rolnictwa. Cypel porasta dzika roślinność oraz drzewa figowe, oliwkowe i pomarańczowe, nadające mu tropikalny wygląd. Na przeszkodzie w rozwoju gospodarki stoi głównie brak wody; nie ma tu naturalnych źródeł. W związku z tym urządzono na piaszczystych skarpach żelbetonowe zbiorniki wyłapujące wodę deszczową. Zainstalowano też specjalne urządzenia do odsalania wody dla celów sanitarnych i dla straży pożarnej.

Według legendy Anglicy tak długo utrzymają się na Gibraltarze, jak długo nie zginie ostatnia z żyjących tam na wolności małp. Podczas drugiej wojny, Winston Churchill tak bardzo przejął się tą hiszpańską legendą, że polecił wciągnąć gibraltarskie małpy na listę płac armii brytyjskiej. Od tego też czasu mają one zapewniony wikt wojskowy, a wyznaczony żołnierz dwa razy dziennie podaje im pokarm (obecnie na stanie pułku gibraltarskiego jest 40 małp).

Obok legendy jest i gibraltarskie porzekadło. Mówi ono: gdy Wielka Brytania kicha, Gibraltar dostaje kataru. O prawdziwości tego zdania ludność tej „politycznej wyspy", jak określa się kolonię, mogła się przekonać wielokrotnie.

Mimo iż Gibraltar oficjalnie posiada status dominium brytyjskiego — władzę sprawuje gubernator mianowany przez królową, któremu podlega Rada ministrów — to jednak wszystko co wiąże się z przyszłością skalistego cypla, wcale nie jest dla Gibraltarczyków takie jasne i pewne. Są też oni szczególnie wrażliwi na wszelkie odcienie stanowiska brytyjskiego w kwestii ich losu. Każde posunięcie dyplomatyczne Londynu dotyczące Gibraltaru może wywołać skrajne reakcje: albo słowa dziękczynne albo słowa wyrażające histeryczne obawy.

Wahadło nastrojów mieszkańców Gibraltaru daje o sobie znać zwłaszcza od czasu śmierci gen. Franco, gdy nastał przychylny klimat dla negocjacji Madrytu z Londynem. Pierwszy premier rządu hiszpańskiego, Adolfo Suarez, wystąpił z koncepcją nadania Gibraltarowi uprzywilejowanego statusu, który z jednej strony miał pozwolić Brytyjczykom na utrzymanie ich bazy wojskowej, a ludności na zachowanie paszportów brytyjskich, z drugiej zaś strony pozwoliłby na integrację tego terytorium z Hiszpanią. Rozmowy dyplomatyczne z Anglikami na ten temat rozpoczęły się w 1977 r., nie przyniosły jednak efektu, uzgodniono tylko, że Hiszpania przywróci ma połączenia telefoniczne z Gibraltarem.

Anglicy w wygodny dla siebie sposób pomijają w rozmowach z Hiszpanami swe interesy polityczne, strategiczne i prestiżowe związane z Gibraltarem, natomiast w uderzający sposób akcentują swoją wolę obrony interesów mieszkańców enklawy. Asem atutowym w tej grze są dla Zjednoczonego Królestwa wyniki referendum przeprowadzonego wśród ludności Gibraltaru. — Tradycje polityczne, powiązania gospodarcze, związki kulturowe i personalne powodują, że ludność ta czuje się związana z nami i chce podlegać koronie brytyjskiej, — twierdzą Brytyjczycy. Ani więc słowa o kolonialnym relikcie, ani zdania o znaczeniu strategicznym Gibraltaru. Gdy jednak Hiszpanie napomkną, że Gibraltar stanowi anachronizm kolonialny brytyjscy dyplomaci przypominają, że również Madryt ma taką kolonię — jest nią hiszpańska enklawa w Maroku, Ceuta, której sytuacja jest mniej więcej taka sama jak Gibraltaru.

Dwa lata temu, przed planowanym wstąpieniem Hiszpanii do NATO, a następnie do Wspólnego Rynku, zaistniała konieczność złagodzenia sporu hiszpańsko-brytyjskiego Państwa wchodzące w skład tych organizacji uznały bowiem, że jest nie do pomyślenia, aby Sojusz Atlantycki zakładający jedność oraz Traktat Rzymski i praktyki EWG, które wymagają całkowitego otwarcia krajów, mogły być łamane przez nowego partnera. Rozpoczęła się więc ponowna negocjacja brytyjsko-hiszpańska. Skończyło się jednak na sprecyzowaniu stanowiska przez obydwie strony i mglistej zapowiedzi Madrytu przywrócenia połączeń z Gibraltarem.

Anglicy wiedzą, że Hiszpanom szczególnie zależy na ich poparciu w staraniach o członkostwo EWG (Francja i Włochy obawiają się konkurencji ze strony hiszpańskich win, owoców i oliwy), cierpliwie więc wyczekiwali na inicjatywy Madrytu. W międzyczasie nie zawahali się też zaprosić króla Juana Carlosa na ślub księcia Karola, powiadamiając jednocześnie, że młoda para spędzi miodowy miesiąc... na Gibraltarze. Król, oczywiście, odwołał swoją wizytę. Ten zgrzyt nie mógł jednak na długo wstrzymywać Hiszpanów z sugestiami podjęcia nowych rozmów. Ale wstępny ich warunek, stawiany przez Anglię — zniesienie blokady, nie był dopełniony. Kiedy też w sierpniu br. ostatni termin przywrócenia połączeń z Gibraltarem stał się fikcją, Londyn w zawoalowany sposób postawił ultimatum: nie do pomyślenia jest akces Hiszpanii do Wspólnego Rynku jeśli jej granica z Gibraltarem będzie zamknięta.

„Konflikt brytyjsko-hiszpański ma wielką przyszłość" — niedawno powiedział premier rządu gibraltarskiego, Joshua Hasan I chyba ma rację. Hiszpanie, którzy popierali Argentynę w konflikcie z Wielką Brytanią o Malwiny, chcieli ostatnio nieco odczekać. Odczekać aż bardziej wygaśnie święcący swój triumf brytyjski nacjonalizm". Brytyjczycy nie są teraz w odpowiednim nastroju psychicznym do negocjacji" — powiedział jeden z dyplomatów hiszpańskich.

Warunkiem odblokowania Gibraltaru powinno być, zdaniem Madrytu, specyzowanie stanowiska Londynu w kwestii jego możliwych ustępstw. Trudno teraz, gdy po sukcesie na Malwinach — Falklandach Wielka Brytania usztywniła swe pozycje w kwestii obrony pozostałości kolonialnych, żądać od niej rezygnacji z Gibraltaru. Interesujące jest więc co obiecała Madrytowi za zniesienie blokady Gibraltaru, które właśnie zostało dokonane. Jeszcze przed wyborami socjaliści zapowiadali, że w przypadku zwycięstwa przeprowadzą referendum na temat przynależności kraju do NATO i jeśli wynik będzie negatywny, wycofają swój kraj z Paktu Atlantyckiego (szesnastym członkiem paktu została Hiszpania w maju br.); tymczasem zostały zamrożone negocjacje z NATO w sprawie powiązania Hiszpanii ze strukturą tej organizacji.

Fakt jednak, że socjaliści w Madrycie zastanawiają się również nad statusem czterech baz amerykańskich na terytorium Hiszpanii, wywoływały niepokoje nie tylko w Waszyngtonie, ale i w Londynie. Mogło to oznaczać, że Madryt rozpocznie kampanię międzynarodową na temat likwidacji, przede wszystkim bazy brytyjskiej na Gibraltarze i przywrócenia swych suwerennych praw do tego terytorium. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że taka kampania zyskałaby wielkie wsparcie na forum międzynarodowym, zwłaszcza na forum ONZ, i że Wielka Brytania, która wygrała na Falklandach, ale znalazła się pod pręgierzem opinii krajów Trzeciego Świata, tym razem miałaby znacznie trudniejszy orzech do zgryzienia.

Hiszpanie podróżując setki kilometrów wzdłuż południowej części swego wybrzeża nie tracą widoku wielkiej skały połączonej wąskim przesmykiem z lądem nad którym powiewa obca flaga. Ten obszar zależny uraża ich dumę i honor. Można więc oczekiwać, że socjaliści będą skłonni do ugody z Brytyjczykami, ale w sposób bardziej stanowczy i szerzej angażujący opinię międzynarodową będą chcieli odebrać koronie brytyjskiej jedną z ostatnich ale jakże cenną perłę w ich koronie. Konflikt brytyjsko-hiszpański rzeczywiście ma wielką przyszłość.

HENRYK SROCZYŃSKI

Lewa ręka też dobra

Na fresku w Kaplicy Sykstyńskiej Bóg ukazuje Raj prawą ręką. Jest więc prawdą, że dla Michała Anioła — artysty leworęcznego (podobnie jak Leonardo da Vinci) — ręką boską mogła być tylko ręka prawa. Ta druga, lewa — po łacinie „senestra" (stąd właśnie wywodzi się francuskie słowo „sinistre" — złowrogi, co mówi samo za siebie!) — cieszyła się nazbyt złą opinią...

Jeżeli w dawnych czasach nawet ludzie genialni mieli tego rodzaju kompleks wobec swej leworęczności, to co musieli wycierpieć zwykli, przeciętni mańkuci?! W każdym razie dla większości ludzi byli tymi, którzy piszą „złą ręką", a więc tymi, którzy się mylą...

Z czasem wiele się zmieniło: dziś nad leworęcznymi nie ciąży już przekleństwo. Po pierwsze dlatego, że wielu z nich zostając mistrzami sportu lub gwiazdami sztuki podbiło serca tłumów, a po wtóre, i to przede wszystkim, ponieważ w ostatnich latach naukowcy zgromadzili całą masę obserwacji, które pozwalają wyróżnić człowieka leworęcznego i stwierdzić, że nie jest on wyłącznie — jak uważano dotąd — odwróconym odbiciem praworęcznego.

Najnowsze odkrycia w tej dziedzinie pochodzą z pracowni prof. Normana Geschwinda z Harvardu. Odkrycia te na pierwszy rzut oka nie wydają się zresztą zbyt pocieszające, ponieważ dowodzą, że ludzie leworęczni są znacznie bardziej niż praworęczni podatni na niektóre choroby i niedomagania, w tym na epilepsję, opóźnienie rozwoju umysłowego, alkoholizm jąkanie się i oczywiście dysleksję. Do tej, i tak już okrutnej listy Geschwind nie waha się dorzucić migreny i schorzeń typu autoodpornościowego (kiedy to reakcje obronne organizmu zwracają się przeciw samemu organizmowi).

Norman Geschwind i jego współpracownik w tych badaniach, Peter Behan z Uniwersytetu Glasgow wybrali dla swych doświadczeń osobników odznaczających się bardzo wyraźnymi cechami bądź leworęczności, bądź też praworęczności — po 253 osoby w każdej grupie. Następnie przeprowadzono szeroko zakrojone badania porównawcze wśród ogółu mieszkańców Glasgow. Stwierdzono wówczas, że w grupie leworęcznych choroby typu autoodpornościowego, a zwłaszcza choroba Hashimoto (rzadkie schorzenie gruczołu tarczycowego) występują dwa i pół raza częściej, niż w grupie praworęcznych.

— Oczywiście nasunęło się wówczas pytanie — mówi prof. Geschwind — o przyczynę owej zbieżności między tego rodzaju schorzeniami, a faktem leworęczności. Mogliśmy naturalnie założyć, że zjawisko to ma podłoże czysto psychologiczne i jest spowodowane stresami, które wiążą się z utrudnionym zdobywaniem sprawności, lecz uważałem, iż taka teoria byłaby nie do przyjęcia.

Tak więc według prof. Geschwinda, odpowiedzi na to pytanie należy szukać gdzie indziej. Najprawdopodobniej w działaniu jednego z hormonów — testosteronu, o którym dowiedziano się niedawno, że ma powiązanie z systemem samoobrony organizmu, a ponadto — że wywiera wpływ na działalność mózgu (tym właśnie tłumaczy się różnice w psychice mężczyzn i kobiet, bowiem testosteron to hormon typowo męski). Związanie leworęczności z organizacją działania mózgu jest hipotezą kuszącą. W każdym razie niemal jest pewne, że to procesy biochemiczne przyczyniają się do odrębności leworęcznych i do ich podatności na niektóre schorzenia. W związku z tym nasuwa się inne pytanie: czy należy czynić starania, aby leworęczni się zmienili? Wśród lekarzy nikt już nie uważa za właściwe sprzeciwianie się leworęczności i zmuszanie mańkutów, aby preferowali swą prawą rękę. O ile jednak pisanie lewą ręką nie jest już ani grzechem, ani ułomnością, o tyle istnienie właściwego leworęcznym ryzyka patologicznego skłania do pozostawienia sprawy po nowemu: jeżeli nie należy sprzeciwiać się leworęczności, to czy nie powinno się podjąć starań o zapobieżenie zagrożeniom patologicznym, wynikającym z faktu, że osobnik jest leworęczny?

— W zasadzie — wyjaśnia prof. Geschwind — można by na przykład zapobiegać zaburzeniom w zdobywaniu sprawności, ale wówczas powstałoby ryzyko ograniczenia liczby ludzi o wyjątkowych uzdolnieniach. W rzeczywistości bowiem — co jest nader interesujące — patologia zaburzeniowa u leworęcznych jest o tyleż patologią wyższości co niższości, ponieważ wśród osobników nią dotkniętych zdarza się wielu wybitnie utalentowanych.

Cały problem widać tu jak na dłoni: pod wieloma względami ludzie leworęczni stanowią prawdziwą elitę w licznych dziedzinach. O ile na przykład w stosunku do ogółu ludności jest ich niespełna 10 proc., o tyle — jak wykazały badania przeprowadzone w Ameryce — wśród odbywających studia muzyczne stanowią 15 proc., zaś wśród studiujących architekturę — 13 proc. (ale tylko 4 proc. wśród naukowców). Rozpiętość jest jeszcze bardziej zadziwiająca w niektórych dyscyplinach sportowych. Dotyczy to zwłaszcza szermierki. Piętnastoosobowa delegacja francuskich szermierzy na Olimpiadę w Moskwie liczyła — ni mniej, ni więcej — tylko osiem osób leworęcznych. Finał we florecie mężczyzn rozgrywali między sobą wyłącznie leworęczni: trzech florecistów ze Związku Radzieckiego, jeden Polak, jeden Rumun i jeden Francuz. W ekipach na inne zawody proporcje były podobne: ponad połowę szermierzy francuskich, którzy uczestniczyli w rozgrywkach 1968 r. w Meksyku, również stanowili zawodnicy leworęczni.

Jeszcze bardziej spektakularne są sukcesy leworęcznych w tenisie. Z wyjątkiem Szweda, Bjoerna Borga, niemal wszyscy wielcy tenisiści są leworęczni (John Mc Enroe, Jimmy Connors, Guillermo Vilas, Roscoe Tanner). Uderzający szczegół: im wyższa klasa światowa, tym większy odsetek stanowią tenisiści leworęczni. Gdy przyjrzymy się danym z 1981 roku, stwierdzimy, że wśród czterech pierwszych było 75 proc. leworęcznych, wśród pierwszej dwudziestki — 25 proc., wśród setki najlepszych — 16 proc. (wobec 10 proc. wśród ogółu ludności).

W obliczu takich liczb nie można oczywiście mówić o przypadku. Cechy prawdopodobieństwa ma założenie, że zarówno w tenisie jak i w szermierce zawodnik leworęczny, dzięki swym ciosom zadawanym z nieoczekiwanej strony, bardziej zaskakuje przeciwnika niż zawodnik praworęczny. Jednakże mało jest naukowców przychylających się do poglądu, że wyjaśnia to całkowicie przyczynę sukcesów odnoszonych przez leworęcznych. Natomiast badanie mózgu dostarcza wyjaśnienia znacznie bardziej przekonującego.

Mózg ludzki jest asymetryczny: lewa półkula nie stanowi odpowiednika półkuli prawej, i odwrotnie. U większości ludzi lewa półkula rządzi mową. Wiadomo o tym od ponad stu lat, dokładnie od momentu, gdy francuski chirurg, Paul Broca stwierdził uszkodzenie lewej półkuli mózgu u chorej, zwanej „Tan", ponieważ potrafiła wyartykułować tylko jedno słowo. Podczas gdy półkula lewa dominuje nad prawą w tym, co dotyczy funkcji związanych z mową i intelektem prawa dominuje nad lewą w kwestiach wrażliwości i percepcji przestrzeni. Krótko mówiąc, myślimy lewą stroną mózgu, a wzruszamy się— prawą stroną. Lewa półkula umożliwia np. ścisłe interpretowanie faktów, ale nie zrozumienie dowcipu. Jak to wyjaśnia z humorem neuropsycholog amerykański, Howard Gardner „wyobraźmy sobie, że oglądamy film z braćmi Marx; na grę słów Groucho reagować będzie tylko lewa półkula, natomiast półkula prawa, wrażliwa na niuanse i podniety estetyczne, będzie mogła ocenić sztuczki Harpo.

Podczas gdy prawie wszyscy praworęczni mają ośrodek mowy usytuowany po lewej stronie, od 20 do 30 proc leworęcznych ma go po prawej stronie. Większość leworęcznych ma więc mózg praworęcznego, z jedną tylko, ale nader istotną różnicą: w ich przypadku prawa półkula, wyspecjalizowana w percepcji przestrzeni i form, jest równocześnie tą, która kontroluje aktywną rękę (ponieważ układ nerwów przewodzących bodźce ruchowe jest odwrócony, lewa ręka poruszana jest przez prawą półkulę).

W porównaniu z praworęcznymi mamy tu do czynienia ze swego rodzaju skróconym obwodem, bowiem wszystko, co dzieje się od momentu, gdy gracz dostrzega ruch przeciwnika, do momentu, gdy nań odpowiada, przebiega wyłącznie w obrębie jednej półkuli (prawej), podczas gdy u praworęcznego musi najpierw nastąpić zwrot ku półkuli lewej, aby mogła wykonać odpowiedni ruch. W rezultacie powstaje różnica między czasem, jakiego potrzebuje na ripostę osoba praworęczna. Jest to różnica minimalna, ale przy bardzo wysokim poziomie współzawodnictwa może się okazać decydująca. Taka jest w najogólniejszych zarysach teoria, sformułowana przez dwóch naukowców francuskich — Guya Azemara i Pierre Simoneta. Mamy tu oczywiście do czynienia z jedną spośród wielu hipotez, wyjaśniających przyczyny wyższości leworęcznych w niektórych dyscyplinach sportowych. Sformułowano też wiele innych teorii, lecz wszystkie one kładą akcent na jednym i tym samym: na podziale zadań między dwiema półkulami mózgu. Wyjątkowość systemu organizacji działania mózgu u leworęcznych pozwala również wyjaśnić przyczyny dysleksji i jąkania, na które cierpią oni tak często.

W tym właśnie kontekście poszukiwania prowadzone przez prof. Geschwinda nabierają pełnego znaczenia. Jego zdaniem, działanie hormonu męskiego — testosteronu — hamuje rozrastanie się prawej półkuli mózgu. Ponieważ to właśnie ona rządzi lewą ręką, wyjaśniałoby to, dlaczego leworęczni pojawiają się znacznie częściej wśród mężczyzn. Ponieważ testosteron osłabia również czynność grasicy, która odgrywa zasadniczą rolę w systemie odpornościowym, wyjaśniałoby to także sprawę występowania u leworęcznych zaburzeń tego systemu.

Należy tu dodać, że poziom syntezy testosteronu jest w znacznej mierze zdeterminowany genetycznie. Jak wykazała ostatnio cała seria nader przekonujących prac, właśnie w genetyce należy szukać wytłumaczenia, dlaczego ktoś jest leworęczny lub cierpi na dysleksję. Wszystko to wydaje się spójne. Łamigłówka biologiczna zaczyna nabierać kształtów i być może wkrótce świat leworęcznych nie będzie krył w sobie żadnych tajemnic. Wówczas nie będzie trzeba oglądać ich w lustrze — wystarczy w tym celu mikroskop...

YVES CHRISTIEN
(Le Figaro Magazine)

Miejskie dzieje Dąbrowic

Dąbrowice — dawniej miasto, obecnie wieś — leżą przy starym trakcie biegnącym z Łęczycy i Kutna, przez Krośniewice, do Włocławka, w odległości 21 km na północ od Kutna.

Początki osady nie są znane. Na dawne jej powstanie może wskazywać wezwanie miejscowego kościoła parafialnego, któremu patronują św. Wojciech i św. Stanisław. Według starego podania pierwszy kościół (drewniany) w Dąbrowicach ufundowała żona Mieszka I — Dąbrówka. Nie należy jednak do tego podania przywiązywać większej wagi, gdyż powstało ono zapewne jako rezultat przypadkowego skojarzenia nazwy miejscowości z imieniem rzekomej fundatorki dąbrowickiego kościoła. Pierwsze źródłowe wiadomości pisane, dotyczące Dąbrowic, pochodzą z połowy XV stulecia i stwierdzają istnienie miasta przed rokiem 1455.

Jakkolwiek Dąbrowice otrzymały prawa miejskie przed wspomnianym wyżej rokiem 1455, to jednak w źródle z roku 1479 nazwano je wsią. Jest to z pewnością pomyłkowe podanie funkcji gospodarczej i charakteru formalno-prawnego tej miejscowości, gdyż inne dane z drugiej połowy XV i początków XVI wieku (1458, 1484, 1504 r.) stale mówią o Dąbrowicach jako o mieście, a nie o wsi.

Po pożarze, który w końcu XV stulecia zniszczył Dąbrowice prawie zupełnie i zahamował na pewien czas rozwój miasta, król Zygmunt I Stary odnowił w roku 1507 przywileje miejskie nadane tej miejscowości przez poprzednich władców Polski. Dał też przywilej na odbywanie targów i trzech jarmarków w roku. Przywileje te, potwierdzone przez następnych naszych monarchów przyczyniły się do odbudowy miasta i jego rozwoju. Dąbrowice, należące od średniowiecza do drugiego rozbioru Polski do ówczesnego powiatu i województwa łęczyckiego, w ciągu XVI i w pierwszej połowie XVII wieku stały się dość zamożnym miastem, zaliczanym do znaczniejszych na terenie naszego regionu. Niemały wpływ na rozwój miasta miało korzystne jego położenie przy nadmienionym na wstępie tej informacji starym i ożywionym trakcie.

Obszar Dąbrowic obejmował w XVI stuleciu 47 łanów. Do tego dochodziły 4 łany wójtowskie i tyle samo plebańskich. W 1564 roku miasto posiadało 85 domów objętych podatkiem, zaś na początku XVII stulecia 200 domów zamieszkanych. Znajdowały się tu ratusz, kościół parafialny, szkoła i szpital (schronisko dla starców i kalek), przy którym w roku 1611 wzniesiono kościół św. Ducha. Miasto miało charakter rolniczo-rzemieślniczo-handlowy. Obok mieszkańców zajmujących się rolnictwem, którzy stanowili zdecydowaną większość ludności Dąbrowic, rewizje i księgi poborowe (podatkowe) wymieniają po 2 kołodziejów, szewców, krawców, kuśnierzy, rzeźników, 1 kowala oraz 12 piwowarów i 11 szynkarzy.

Miasto znacznie ucierpiało w czasie wojen szwedzkich, toczonych w połowie XVII wieku (1655—1660) i pierwszej połowie XVIII stulecia (1700—1721). W okresie „potopu" Dąbrowice zostały zniszczone niemal doszczętnie. Lustracja przeprowadzona w roku 1661 wykazała istnienie zaledwie 10 domów. W roku 1673 Dąbrowice liczyły tylko 274 mieszkańców trudniących się rolnictwem. Rzemiosło było reprezentowane jedynie przez 2 krawców, 1 kuśnierza i kowala. Kiedy miasto zaledwie zaczęło dźwigać się ze zniszczeń, wtedy następna wojna ze Szwedami, tzw. północna, dała się ponownie poważnie we znaki.

Wojny szwedzkie i polityka szlachty wobec miast doprowadziły do tego, że wiele naszych miast popadło w ruinę i stagnację. Tak też było z Dąbrowicami. Co prawda dla podniesienia ich z upadku król August III w roku 1753 odnowił i potwierdził posiadane przez to miasto przywileje, ale poprawa następowała stosunkowo wolno. W połowie lat sześćdziesiątych XVIII wieku (1764—1765) w Dąbrowicach znajdowało się 113 domów zamieszkanych oraz zabudowania wójtowskie, wiatrak i browar. Pod koniec tegoż stulecia było tutaj 158 budynków drewnianych, a wśród nich ratusz, szkoła i dwa kościoły, zaś ludność miasta, która nadal utrzymywała się głównie z rolnictwa, liczyła 913 osób. Obok rolnictwa zajmowano się także rzemiosłem — płóciennictwem, szewstwem, garncarstwem, garbarstwem oraz furmaństwem, handlem zbożem i zwierzętami inwentarskimi. W mieście znajdowały się 3 browary, gorzelnia i 3 karczmy. W 1827 r. ilość domów w Dąbrowicach wzrosła do 201, a liczba mieszkańców do 1 460, zaś w 1860 roku było tu 187 domów i 1 608 mieszkańców, w tym pewien procent ludności obcej narodowości — 225 Żydów i 49 Niemców. Również i w tym czasie mieszkańcy trudnią się rolnictwem, handlem bydła, koni, świń i zboża oraz niektórymi rodzajami rzemiosła. Ziemia miejska była podzielona na przeszło 200 wąskich i długich działek, stąd też ich wykorzystanie jest utrudnione i niewłaściwe, a plony z nich uzyskiwane niewysokie.

W roku 1870 kończy się kariera Dąbrowic jako miasta, bowiem w tym czasie tracą one — podobnie zresztą jak i szereg innych miejscowości — prawa miejskie. Jak podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" z roku 1880 (t. I. s. 232), Dąbrowice posiadały wtedy murowany kościół parafialny, sąd i urząd gminny, szkołę elementarną oraz dom schronienia dla starców i kalek.

Dziś Dąbrowice pełnią rolę zaplecza handlowo-usługowego dla pobliskiej okolicy. Zachowała się tu — wzdłuż głównej drogi i leżącego przy niej prostokątnego rynku — parterowa, drewniana i kalenicowa zabudowa z drugiej połowy XIX stulecia, dawny murowany ratusz z połowy tegoż wieku i murowany kościół parafialny w stylu neogotyckim, zbudowany w roku 1813 na miejscu wcześniejszego. Jednopiętrowy ratusz, wzniesiony na planie prostokąta, posiada przybudówkę, czworoboczną wieżę, dwutraktowy układ wnętrz i czterospadowy dach. Kościół wyposażony jest w szereg wartościowych zabytków ruchomych, a m.in. w rzeźby z XV wieku, obrazy z XVI—XVIII stulecia oraz 3 obrazy malowane przez Ludwika Jabłońskiego w 1874 roku, znajdujące się w ołtarzach bocznych.

W Dąbrowicach istnieje szkoła-Pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego, zbudowana w 1961 roku i nosząca imię wybitnego działacza polskiego ruchu robotniczego, współzałożyciela PPR i pierwszego sekretarza KC tej partii — Marcelego Nowotki.

HENRYK SZUBERT

Geniusz w świecie ekstremów

W listopadzie br. mija 101 rocznica urodzin F. M. Dostojewskiego. Jego twórczość miała — i ma nadal — ogromny wpływ na rozwój światowej literatury. Odczytywany wciąż na nowo, fascynuje i wzbudza podziw. Wiele z jego utworów doczekało się ekranizacji, wiele przeniesiono na scenę teatralną. I choć był pisarzem rosyjskim, na stałe przeniknął do światowej kultury i do świadomości czytelników na wszystkich szerokościach geograficznych.

Na początek przytoczę kilka wypowiedzi wybitnych pisarzy europejskich.

HERMAN HESSE: *„Skończył się świat Goethego, nastał świat Dostojewskiego. Nie proponujemy tu żadnych ocen; Goethe ani jest „większy" ani „mniejszy" od Dostojewskiego. Po prostu orientacja dzisiejszego świata jest inna, świecą nam inne gwiazdy i w krótkim naszym życiu trzymamy się tych, które świecą bliżej nas i obiecują ciepło".*

PAUL CLAUDEL: *„Bardzo się nim zachwycam. Odczułem jego wpływ, jak odczuwa uczeń wpływ nauczyciela. Nie licząc Rimbauda, miałem czterech innych nauczycieli: Ajschylosa, Vergiliusza, Homera i Szekspira".*

VIRGINIA WOOLF: *„Powieści Dostojewskiego to wrzące wiry wodne, samumy, które z łoskotem i świstem wsysają w siebie. Są w całości utworzone z materii duszy. Mimo woli nas zalewają, przygniatają, a my ślepniemy, zachłystujemy się, jednocześnie doznając zachwytu, graniczącego u zawrotem głowy".*

SOMERSET MAUGHAM: *„Dostojewski, podejrzewam, nie interesował się nikim, oprócz siebie samego, a innymi tylko wówczas, kiedy dotykali go wewnętrznie... Zadowalał się dość wąskim wachlarzem charakterów i te charaktery powtarzają się w kolejnych jego powieściach".*

ALBERT CAMUS: *„Wszyscy bohaterowie Dostojewskiego pytają o sens życia. Tym są nam współcześni — nie boją się śmieszności. Współczesne poczucie świata tym się różni od klasycznego, że pierwsze żyje problemami metafizycznymi, drugie — moralnymi. W powieściach Dostojewskiego problem jest stawiany z takim napięciem, że wymaga jedynie decyzji ostatecznych. Istnienie albo wieczne, albo fałszywe".*

ANDRÉ MALRAUX: *„Jednym słowem w geniuszu Dostojewskiego nabiera dla mnie znaczenia to, że miał on czelność stać się jedynym człowiekiem wiary, dla którego wiara i prawda niekoniecznie pokrywają się ze sobą, niekoniecznie zlewają w jedno".*

HEINRICH BÖLL: *„Jako chrześcijanin i autor, nigdy nie chował się pod skrzydłami jakichkolwiek przyjętych lub narzuconych systemów. On i stworzone przezeń obrazy były bezbronne, otwarte na zgrozę, absurd, obcość nie w znaczeniu geograficznym a metafizycznym, w znaczeniu, w jakim syn człowieczy pozostawał obcym".*

O Dostojewskim napisano wiele. Właściwie nie było znaczącego pisarza lub krytyka, który pominąłby milczeniem jego wpływ na literaturę XX wieku. Wielu wprost przyznawało się, że czerpią inspirację lub pozostają pod wpływem myśli autora *„Biesów"*. Pisać o Dostojewskim, to tak, jakby przy pomocy świecy usiłować oświetlić słońce. Dlatego niniejszy szkic powstawał w głębokiej pokorze, wspieranej świadomością, że porywam się na coś niezwykłego, co przerasta moje możliwości. Stąd więcej będzie mowy o człowieku a mniej o pisarzu, więcej o pracy a mniej o filozofii.

Początkowo Dostojewski nie fascynował mnie zupełnie. Kiedy jako podrostek uczęszczający do rosyjskiej szkoły w Północnym Kazachstanie po raz pierwszy zetknąłem się z książkami Dostojewskiego, nie zrobiły one na mnie większego wrażenia. Były rozwlekłe, zagmatwane i nudne. Dopiero w kilka lat później, już w kraju, odkryłem Dostojewskiego dla siebie po raz drugi.

Nie była to sprawa prosta. No bo jak się zachwycać opasłym tomem, w którym nie ma pejzaży, nie ma obrazów i metafor? Od pierwszego zdania spada na człowieka lawina myśli, idei, zostajesz porwany przez wir namiętności, rzucony w odchłań uczuć i zmysłów. Dostojewski jakby się śpieszył, odrzucał to, co utrudnia akcję, co ją może zatrzymać. Stąd tyle w jego książkach banalnych porównań, postacie mówią dużo, rozwlekle, zapuszczają się w niekończące się dywagacje, właściwie są to nieraz monologi ciągnące się przez kilka stron, co jest jawnym zaprzeczeniem naturalnego sposobu mówienia. Dlatego też i kompozycja powieści jest chwilami poplątana, trochę niespokojna, postacie pojawiają się, wydaje się, że są to główni bohaterowie, ale wnet zostają porzuceni, na ich miejsce są już inni, mało znaczące zdarzenia ciągną się przez wiele stronic, zdarzenia ważne, zasadnicze bywają traktowane zaledwie krótkim tekstem. A wszystko to nosi ślady niedbałości, niedopracowania, niechlujstwa. Jakby piszący był gnany jakąś wewnętrzną siłą zmuszającą go do wyrzucenia z siebie nagromadzonej ekspresji, wylania na papier rozsadzających go myśli.

Takie bywa pierwsze wrażenie. Zresztą w Rosji, gdzie w modzie były wieczory autorskie, na których pisarze czytali swoje utwory, Dostojewskiego przyjmowano podobnie. Małego wzrostu, o twarzy chorobliwie białej, w workowatym ubraniu, o głosie słabym, przerywanym atakami kaszlu, zjawiał się na estradzie. Tylko oczy płonęły wewnętrznym ogniem, jakby chciały przepalić każdego z siedzących na sali na wylot. Kiedy rozpoczynał czytać, miało się wrażenie, że sala za moment zaśnie. Ale trwało to krótko. Bo już po chwili słuchających przenikały dreszcze, audytorium porażone treścią utworu zapominało i o wyglądzie pisarza i o jego bezbarwnym głosie, i o wszystkich niedostatkach kompozycyjnych powieści. Bo oto zamiast klasycznych pejzaży, roztaczały się przed słuchającymi pejzaże ludzkich charakterów, lub — jak wolą inni — pejzaże duszy ludzkiej.

W swoich notatkach zapisał: *„Cała rzecz jest w charakterach"*. Dlatego swoich bohaterów stawia w sytuacjach ekstremalnych, kiedy należy dokonać wyboru, podjąć ostateczną i jedyną decyzję. Współczesna literatura ma dość rozległy teren na którym bohaterowie potrafią się sprawdzić, odsłonić swoje słabości lub wykazać się szaleńczym heroizmem. Najostrzej znalazło to odbicie w powieściach wojennych, gdzie śmierć i życie istnieją na równych prawach, a ludzie są poddawani, nieznanym w innych warunkach, ciążeniom. Natomiast bohaterowie Dostojewskiego nie przebywają ani na polach

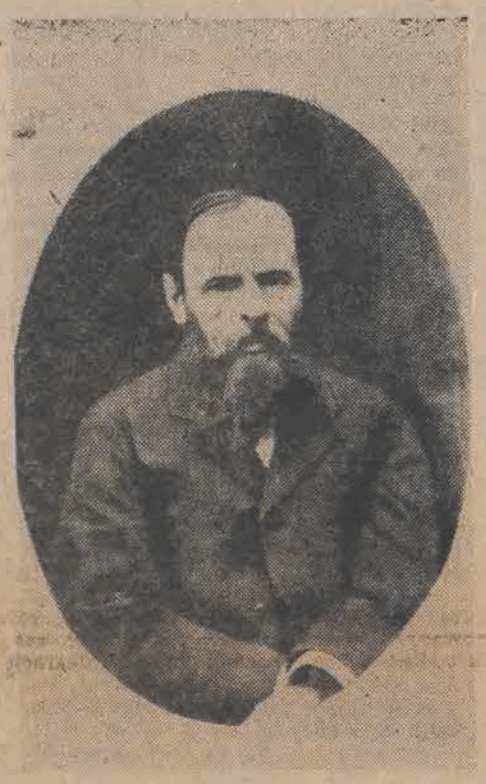

bitewnych, ani nie odbywają niebezpiecznych wypraw do biegunów nie uczestniczą w gigantycznych katastrofach, nie lecą na inne planety. Nic z tych rzeczy. Jego bohaterowie przeżywają ekstremalne sytuacje w sferze ducha, w swoim wnętrzu. I te ekstremalne przeciążenia powodują niezwykłe rozdarcie, męczarnie, zmuszają do poszukiwań, wyrzeczeń, prowadzą do obłędu i zbrodni. Bowiem dla Dostojewskiego życie jest najbardziej ekstremalną sytuacją, z której nie każdemu udaje się wyplątać zgodnie z naukami Chrystusa.

Jak wspomniałem, o Dostojewskim napisano wiele. Wśród książek o nim są także rozprawy traktujące o jego chorobach (gruźlica, epilepsja), o jego słabości (ruletka), o jego niezrównoważeniu duchowym, o poglądach, które jakże często były ze sobą sprzeczne i wzajemnie się wykluczały. Szeroko jest znany fakt uczestnictwa Dostojewskiego w spisku Pietraszewskiego, a później udział w publicznym wykonaniu wyroku na placu straceń w Petersburgu, w dniu 22 grudnia 1849 r. (M. W. Pietraszewski organizował w latach 1844-48 tajne koła młodzieży propagujące ideę republikańską, utopijny socjalizm i głoszące te hasła wśród chłopstwa i żołnierzy. Po aresztowaniu dwudziestu jeden uczestników skazano na karę śmierci — wśród nich Dostojewskiego — zamienioną na placu straceń na katorgę. Przeżycie to nie pozostało bez wpływu na psychikę, a później na twórczość Dostojewskiego (vide kaźń w powieści *„Idiota"*).

Minęło trzydzieści jeden lat i Dostojewski po raz drugi przeżywa spotkanie ze śmiercią. Oto na tym samym placu straceń 22 lutego 1880 r. zostaje powieszony 24-letni zamachowiec, Hipolit Małodecki. Dostojewski mówi o swojej kaźni: *„Zimno! Było bardzo zimno! To najwaźniejsze. Przecież zdjęto z nas nie tylko płaszcze, lecz i surduty... A mróz dochodził do dwudziestu stopni."* Ze wspomnień świadków: *„Dostojewski nie zbladł, szybko wszedł na szafot, bardziej był niecierpliwy niż przybity"* *„Nous serons avec le Christi"* (Będziemy razem z Chrystusem) — miał powiedzieć do współtowarzysza niedoli, na co tamten odpowiedział: *„Un peu de poussière"* (Staniemy się garstką popiołu). *„Niemożliwe, aby nas stracili"* — powiedział Dostojewski do innego ze skazańców. Po odczytaniu wyroków w tłumie rozległy się okrzyki: *„Feldjeger jedzie!"* Dobosze uderzyli w bębny: ułaskawienie! Po trzydziestu jeden latach Dostojewski ponownie przygląda się szafotowi, na którym zawisnął Małodecki. Dlaczego? Przecież już raz opisał wykonanie wyroku w *„Idiocie"*. Sądzę, że wyjaśnienie tego faktu możemy odczytać z jego notatek. *„Są wyższe moralne przyczyny"* — podkreśla. Zgodnie bowiem z estetyką Dostojewskiego potworność jest równa *„całej reszcie"*. Śmierć jest niczym innym jak zjawiskiem estetycznym. A rok 1880 jest rokiem, w którym Dostojewski kończy *„Braci Karamazow"*...

Dostojewski każdą swoją kolejną książką wstrząsał sumieniami współczesnych. Często wywoływał kontrowersje, był atakowany, lecz nigdy jego dzieło nie pozostawało obojętne. Ta sytuacja trwa do dziś, choć w naszych czasach wstrząsnąć sumieniami jest niezwykle trudno. Myślę, że sprawia to uniwersalność dzieła Dostojewskiego. Schopenhauer uważał, że talent umie trafić w cel, w który nie mogą trafić zwykli śmiertelnicy, natomiast geniusz trafia do celu, którego zwykli śmiertelnicy zazwyczaj nawet nie dostrzegają. Dostojewski widział te ukryte przed innymi cele. Stąd dziś czytamy go na nowo, choć odczytujemy prawdy na stałe przynależne rodzajowi ludzkiemu. Dwa odwieczne mity, mit o miłości i mit o śmierci Dostojewski wzbogacił mitem o wskrzeszeniu. Umierające ziarno wypuszcza pęd, daje nowe życie.

Jaki był? Istnieje wiele zapisków, są pamiętniki i dzienniki jego żony Anny i jego córki Luby, wspomnienia lekarza rodziny Dostojewskich, przyjaciół, służącego... W sumie jest tych dokumentów 190. Wiele o autorze *„Biesów"* można wyczytać z *„Dzienników"* pisarza, bardzo wiele z jego notatek opublikowanych w tomie bardzo wnikliwej i niezwykle ważnej serii *„Litieraturnoje nasledstwo"*. Wyłania się z nich człowiek niezwykły, choć schorowany i mało efektowny. O wyglądzie zewnętrznym już wspominałem. Mimo to dwudziestojednoletnia Anna Snitkina wychodzi za mąż za pięćdziesięcioczteroletniego pisarza. Miłość? Wyrachowanie? Myślę, że przede wszystkim fascynacja. Anna przeżyła męża o trzydzieści dziewięć lat i jej zawdzięczamy wiedzę o dniach powszednich pisarza. A dni te nie zawsze były słoneczne.

W notatkach pisarza roi się od cyfr. Całe kolumny z drobiazgowym wyliczaniem ile i komu jest winien, ile otrzymał od wydawcy, ile zapłacił za papier, za szycie arkuszy, za oprawę... Pieniądze są najboleśniejszą z trosk. Wierzyciele nie chcą czekać, wydawcy dopominają się o rękopisy. A do tego euforyczne ciągoty do ruletki, zgrywanie się do ostatniej kopiejki, zaciąganie nowych pożyczek i nieustająca wiara, że tym razem koło fortuny zatrzyma się na obstawionym kolorze... Dla ratowania budżetu żona zorganizowała coś w rodzaju dzisiejszej księgarni, w której sprzedawano książki Dostojewskiego, pilnowała terminów wydawniczych. Życie z pisarzem nie należy do łatwych, życie z geniuszem wymaga nadzwyczajnego taktu, inteligencji, samozaparcia.

Dostojewski bezgranicznie kochający Rosję i oddany władzy carskiej, krytykujący papiestwo i jezuitów, szczycący się miłością dworu i Pobiedonosc wa, słowianofil i zagorzały monarchista, na wieść o powstaniu styczniowym w Polsce, zanotował: *„Polska wojna jest wojną dwóch chrześcijaństw, to początek przyszłej wojny prawosławia z katolicyzmem, innymi słowy, słowiańskiego geniusza z europejską cywilizacją"*. Nie ma potrzeby dodawać, po której stronie w tej wojnie widział siebie.

Przez całe życie wierzył w cara — oswobodziciela, który da ludowi wolność, zaprowadzi równość, ogłosi braterstwo. A w swojej miłości do prostych ludzi Dostojewski jakże często złorzeczył i odrzucał religię, która stanowiła przecież istotną część jego filozofii życiowej. Był, jak powiada Lew Tołstoj, *„samą walką"*, człowiekiem, który *„umarł w najbardziej gorącym procesie wewnętrznej walki dobra ze złem"*. Był naturą złożoną, niejednorodną, kompilacją różnych poglądów, przekonań i czynów. Nerwowy i histeryczny, pochopny w ocenach ludzi i zdarzeń, stawał się często obiektem ataków tak lewicy, jak i prawicy.

Umarł nagle, powalony krwotokiem z płuc. Jego pogrzeb przekształcił się w manifestację. Ale i tu nie obeszło się bez nieporozumień: trumnę odprowadzało całe duchowieństwo Petersburga, gdyż cerkiew prawosławna uznawała w nim swojego obrońcę, ale w pochodzie szli studenci i gimnazjaliści (ci ostatni mieli zakaz brania udziału w pogrzebie) i na pytania staruszek: *„Kogo chowają?"*, odpowiadali demonstracyjnie: *„Katorżnika!"*

EUGENIUSZ IWANICKI

W kręgu fantastyki

Huśtawka Pustelnika

WIKTOR KOŁUPAJEW

17

Sven posadził wirolot prawie na stopniach ganku Centralnej. Oza ze zdziwieniem rozglądała się, nie decydując się na wyjście z maszyny Henry zeskoczył na trawę i pomógł jej zejść na ziemię. Jaskrawe słońce, miękka trawa, w trawie — jaskrawe kwiaty, a nad tym wszystkim cieniste korony drzew. Oza z zachwytem szepnęła:

— Czytałam, że coś takiego jest, że się zdarza. Ale nie wyobrażałam sobie, że to jest takie cudowne.

Henry objął ją ramieniem i poprowadził po stopniach w górę. Sven zawiesił na ramieniu dwa blastery i pospieszył za nimi.

Na korytarzu prowadzącym do działu łączności spotkali Erli'ego.

— Cieszę się, Henry! — Podał rękę kobiecie — Dzień dobry, Oza!

— Jestem Seona. Przecież Oza umarła.

Erli ze zdziwieniem spojrzał na Henry'ego i, zdaje się, wszystko zrozumiał. Henry stał ze spuszczoną głową i trzymał Ozę za rękę.

— No dobrze, mamy mało czasu. Chodźmy do centrum łączności. Musimy postanowić, co robić dalej.

Sven wszedł do centrali łączności przed innymi i uprzedził Evę, że kobieta chce, aby ją nazywać Seoną. Kiedy weszli pozostali, Eva wstała im na spotkanie i powiedziała po prostu:

— Dzień dobry, Seona!

— Dzień dobry.

— Mam na imię Eva. To jest Erli. No, a pozostałych już znasz.

— Eva. To bardzo ładne imię. Co mam teraz robić?

— Seona, spodoba ci się widok z okna — powiedział Henry. — Jestem pewien. — Ostrożnie odprowadził ją do okna i posadził w fotelu. — Spójrz, jak tam pięknie! I nie ma żadnych pełzaków ani woreczków.

Oza usiadła w fotelu i ucichła z zachwytem wyglądając przez okno.

Erli przez radio wywołał Trajkowa. Na razie nic istotnego u niego nie zaszło i Erli poprosił, aby pozostał na miejscu, ale za pośrednictwem radia też brał udział w ich naradzie.

Następnie każdy krótko opowiedział, co widział, jakie myśli i przypuszczenia przychodziły mu do głowy, przy czym szczególną uwagę zwracano na najdziwniejsze, najbardziej niezrozumiałe momenty.

— Minęło pięć godzin od momentu, kiedy wylądowaliśmy na Pustelniku — rzekł Erli — Wszystko jest tu dziwne i niezrozumiałe, ale jestem pewien, że każdy ma jakąś hipotezę, przypuszczenie... Kto wypowie się pierwszy?

— Minęło siedem i pół godziny — poprawił go Sven.

— Nie, minęło pięć godzin — gestem powstrzymał go Erli. — To łatwo ustalić. Więc kto pierwszy?

— Ty, Erli, zacznij.

— Nie, ja będę ostatni. Zacznij ty, Henry.

Wirt milczał przez kilka sekund, a potem powiedział:

— Nie wiem dlaczego umarli Ezra i Jumm, i jakie skutki pociągnęła za sobą ich śmierć. Ale na bazy wdarła się selwa. Był jakiś huragan, który zniszczył urządzenia zabezpieczające i budynki. Reszty dokonała selwa. Tak w każdym razie zdarzyło się na drugiej bazie. Przypuszczam, że i na pozostałych zaszło to samo.

— Jednocześnie? — spytał Erli.

— Nie sądzę — odpowiedział Henry — Huragan obejmował chyba bazy po kolei.

— Huragan na całym Pustelniku? — zdziwił się Sven. — Mało prawdopodobne. Tu nigdy nie było nawet silnego wiatru!

— Zd naszej pamięci rzeczywiście nie było. łem, co utworzyło się wokół Centralnej Zwa- Ale niemniej jednak huragan z całą pewnością miał miejsce — sprzeciwił się Erli. — Widziały o wysokości setek metrów. Huragan szedł z północy i, sądząc po tym zwalisku, burza była straszna i mogła przenieść się o wiele tysięcy kilometrów na południe. A huragan mógł powstać o wiele tysięcy kilometrów od Centralnej. Dlatego przypuszczenie, że bazy zostały zniszczone przez huragan, wydaje mi się, wiele wyjaśnia. Chociażby to, że w przeciwnym wypadku ludzie mogliby przedostać się do Centralnej wirolotami. A jednak nikt tego nie zrobił. Huragan był. To jest fakt. Niejasne jest tylko, dlaczego powstał. Co jeszcze możesz dodać, Henry?

— Nic więcej. Huragan i selwa. Nikt nie był na to przygotowany.

— Dobrze, Sven, ty.

— Od Centralnej do drugiej bazy naliczyłem cztery bariery energetyczne. W drodze powrotnej, przy przechodzeniu przez każdą z nich, jakby nas wypluwało, zupełnie jak korek z wody. Bariery najwidoczniej ekranują fale elektromagnetyczne i dlatego bazy nie mogły połączyć się z Centralną.

— Łączność urwała się zaraz potem, kiedy coś stało się w sztabie, gdzie byli Ezra i Jumm — wtrąciła Eva. — Dlatego kiedy zeszłam tu i próbowałam z kimkolwiek się połączyć, już nikt mi nie odpowiadał.

— Wygląda na to, że bariery energetyczne powstały równocześnie z początkiem huraganu, albo nawet trochę wcześniej — powiedział Sven.

— Raczej jednocześnie — rozległ się z głośnika głos Nikołaja. — Inaczej zdążyliby ewakuować się na Centralną. Ale coś im przeszkodziło. Huragan?

— Tak. Słyszałam, jak Ezra, kiedy jeszcze żył, żądał, by wszyscy natychmiast wracali na Centralną.

— To znaczy, że był wydany rozkaz natychmiastowej ewakuacji? Dlaczego wcześniej o tym nie mówiłaś. Znaczy, że niektórzy spodziewali się, że nastąpi katastrofa!

— To było, kiedy wychodziłam ze sztabu.

— A zatem sygnał o natychmiastowym powrocie otrzymali równocześnie — stwierdził Sven. — A huragan szedł z północy. To dlaczego nie zdążyły się ewakuować bazy położone najbliżej Centralnej, zwłaszcza południowe? Nie można przecież przypuszczać, że huragan powstał wszędzie równocześnie.

— Nie, nie można. Widziałem zwały tylko od strony północnej. To znaczy, że huragan szedł z północy.

— W takim razie, należy przypuszczać, że szybkość jego rozprzestrzeniania się wynosiła kilka tysięcy, a nawet kilkadziesiąt tysięcy kilometrów na godzinę! Jakoś nie bardzo mogę w to uwierzyć.

— A jednak będziesz musiał, Sven — powiedział Erli. — Tylko w ten sposób można wytłumaczyć, dlaczego mimo otrzymania sygnału do natychmiastowego powrotu, nie zdążyli jednak wylecieć.

— Ale przecież nic nie może tłumaczyć takiej szybkości rozprzestrzeniania się huraganu!

— Zgoda. Ale mimo wszystko trzymałbym się tej wersji. Więc zaraz po tym, jak Ezra wysłał na bazy sygnał natychmiastowego powrotu, powstały ekrany energetyczne, rozpoczął się huragan i wkrótce selwa wdarła się na wszystkie bazy. Co możesz jeszcze powiedzieć, Sven?

— Nie rozumiem jednej rzeczy. Ale to dotyczy już nas. Lecieliśmy prawie sześć godzin. Opowiadałem, co robiliśmy na drugiej bazie. Tego nie można zrobić w ciągu pół godziny.

— Czasem człowiek robi w ciągu godziny tyle, ile kiedy indziej nie zrobiłby w ciągu doby... — zaczął Erli, ale Sven przerwał mu.

— Dobrze. Zapiszmy to do rozdziału zjawisk nie wyjaśnionych. I jeszcze. Dopóki tam byliśmy, słońce przez dwie godziny nie ruszyło się z miejsca ani o jedną sekundę kątową.

— Sekundy byś nie zauważył.

— Ja tylko tak. Innymi słowy, ono nie ruszyło się z miejsca.

— Słońce tam nie zachodzi przez półtora roku — cicho powiedziała Oza nie odwracając głowy i wciąż patrząc przez okno. — Przecież wam mówiłam.

Wszyscy zamilkli.

— Sven — powiedział wreszcie Henry. — Lepiej powiedz, że to ci się tylko wydawało. Tak będzie lepiej.

— Weźmiemy to pod uwagę — zakończył Erli. — Ale na razie to niczego nie wyjaśnia. I samo też niczym się nie tłumaczy. Co jeszcze, Sven.

— Na razie nic.

— Erli, przyznaj się. Uważałeś, że coś jest ze mną nie w porządku, kiedy mówiłam o Ezrze i Jummie.

— Tak, nie wierzyłem, że coś takiego może się rzeczywiście zdarzyć.

— Może Sven i Seona mówią prawdę. Może to im się wcale nie wydawało?

— Bardzo was proszę... — cicho odezwał się Henry.

— Eva, teraz ty.

— Po tym jak zobaczyłam szczątki Ezry i Jumma i zostałam sama, kilka razy ich spotykałam. Chodzą po Centralnej. Szczególnie często pojawiają się w pomieszczeniu działu łączności, to znaczy tutaj.. Dziś nawet strzelałam do nich. Nerwy mi nie wytrzymały. Pocisk przeszedł przez Ezrę, przebił drzwi i ścianę korytarza, a on spokojnie odszedł. Erli też ich widział.

— Tak, widziałem ich. Ale nie umiem wytłumaczyć, co to takiego. Wszystko już, tak Eva? Niech teraz mówi Nik.

— Sprawdzałem akumulatory i zobaczyłem obcych obok piątego akumulatora. Teraz też tam są. Widzę ich wyraźnie. Wygląda na to, że coś montują. Myślę, że nie mają nic wspólnego z ludźmi, którzy tu wcześniej mieszkali. Oni wszyscy są bardzo smagli i szczupli, każdy ma na plecach jakąś broń. I jeszcze mają wszędołaz. Jest niepodobny do naszego łazika. Ma dwie wieże i z każdej strony sterczy po kilka luf.

— Co myślisz o tym wszystkim.

— Przypuszczam, że to jacyś przybysze. Na Pustelniku nie ma rozumnego życia. Nie ma nawet ssaków. To znaczy, że oni skądś przybyli, skądś przylecieli. Może to ci, którzy tu byli przed nami? Wyczekują, kiedy wszyscy ludzie rozjadą się na bazy, tworzą między bazami bariery energetyczne, żeby przerwana została łączność radiowa. Jeżeli są w stanie stworzyć takie silne pola siłowe, to mogą wywołać i niesłychany huragan, który zniszczył bazy. Dalej już działa selwa. Planeta jest czysta i nagle my przylatujemy, kiedy oni już siebie uważają za gospodarzy. I teraz znowu coś planują. Może chcą wysadzić akumulatory? Wtedy na setki kilometrów dookoła nic nie pozostanie. Taką mam śmieszną hipotezę.

— Hipoteza jest ciekawa. Ale dlaczego nie mieliby nas zniszczyć w prostszy sposób? Po prostu rozstrzelać ze swojej broni?

— Nie wiem. Może jest ich za mało i boją się nas? Może nie znoszą widoku krwi? Zrobiłem tylko przypuszczenie.

— Tak, Nik, do twojej hipotezy pasuje najwięcej faktów. Ale nie wszystkie. Pozostaje Ezra i Jumm, nieruchome słońce i różnice we wskazaniach zegarków.

— Erli, ale przecież tu mogą zachodzić dwa różne procesy, nijak ze sobą nie powiązane — powiedziała Eva. — Różnica we wskazaniach zegarków może być spowodowana czymś innym.

— No, a to, że w pomieszczeniach głównego pulpitu wszystko zmieniło się w proch? Na około dziesięć — dwadzieścia metrów w obie strony od umownej linii równika. Przecież tam wszystko wygląda tak, jakby w ciągu tych kilku dni minęło kilka wieków. Sprawdziłem wszystko aż do samej granicy strefy chronionej. To też nie pasuje do hipotezy Nika.

— Przecież nie roszczę sobie pretensji do monopolu na rację...

— Rozumiem, Nik.

— Może jednak tutaj zachodzą dwa równoległe zjawiska? — powiedziała Eva.

— Tak, trzeba będzie tak na razie założyć. Zbija mnie tylko z tropu fakt, że zaszły jednocześnie. Powinny być w jakiś sposób ze sobą powiązane. ■

Jarry — autor „Króla Ubu"

Alfred Jarry powojennemu pokoleniu raczej się już z niczym nie kojarzy. Emocje opadły dawno i „Król Ubu" nie budzi dziś zgorszenia. Stąd też, do młodego przede wszystkim pokolenia adresuję tę garść informacji na temat autora zamieszczonego obok opowiadania, a przede wszystkim głośnej ongiś sztuki „Ubu Król, czyli Polacy".

Alfred Jarry urodził się w 1873 roku w prowincjonalnym francuskim miasteczku, w rodzinie drobnomieszczańskiej. Uczęszczał do gimnazjum w Rennes. Wtedy to właśnie, w 1888 roku, mając piętnaście lat zaledwie wraz z grupą kolegów z klasy napisał Króla Ubu. W zamierzeniu miała to być satyra na nielubianego profesora historii. W tymże roku odbywa się premiera w prowincjonalnym teatrze marionetek.

Powołany do służby wojskowej, Jarry traktuje ją jako dalszy ciąg szkoły. Kiedy na przykład polecono mu zamieść podwórze, pytał: „Panie sierżancie, oczywiście zamiotę, ale w którą stronę?". W końcu udaje mu się uzyskać (nie wiadomo, niestety, jakim sposobem) diagnozę: „imbecilitas praecox", czyli mówiąc po naszemu „wariackie papiery" i tym samym służbę wojskową opuszcza.

W Paryżu uczęszcza na wykłady filozofa Henri'ego Bergsona (1859—1941), twórcy teorii filozoficznej, której głównym założeniem jest stwierdzenie, że intelekt nie jest zdolny do poznawania rzeczywistości. Neguje też Bergson pojęcie czasu obiektywnego, wprowadzając w jego miejsce czas subiektywny, oddzielny dla każdego człowieka. Jego zdaniem, należy oderwać się od świata rzeczy i pojęć, by móc w pełni wykorzystać własne możliwości twórcze i stać się panem własnego losu.

Być może właśnie pod wpływem Bergsona stworzył Jarry (podobno) nową gałąź filozofii zwaną „patafizyką". Nie dysponuję, niestety, żadnymi bliższymi informacjami na temat jej założeń.

Dziedzicząc po zmarłych rodzicach pewną sumkę, wydaje ulotny miesięcznik poetycki. Jest już wówczas poetą znanym w kręgach młodych.

W roku 1896 na scenie teatru de l'Oeuvre zostaje po raz pierwszy (i za życia autora jedyny) wystawiony „Ubu Król". Pierwszy, bo faktycznej premiery w teatrze marionetek, o której nikt prawie wówczas nie słyszał, swobodnie możemy nie liczyć. Pod względem materialnym teatr Oeuvre ledwo wegetował, ale każda premiera była wydarzeniem literackim, skupiała elitę intelektualną ówczesnego Paryża. Sztuki szły tam zaledwie po parę razy i ponieważ musiały być to zawsze sztuki niezwykłe, teatr cierpiał na chroniczny brak repertuaru. W takim kłopocie dyrektor l'Oeuvre przypomniał sobie, że pomocnik jego sekretarza, młody człowiek, nazwiskiem Alfred Jarry, od dawna namawiał go na wystawienie swojej sztuki. I tak oto doszło do wystawienia Króla Ubu.

Alfred Jarry zmarł w 1907 roku mając zaledwie 34 lata. Tego silnie zbudowanego chłopca zjadły wreszcie absynt i gruźlica. Wyczerpany trudnościami finansowymi i nadużywaniem alkoholu zmarł Jarry w Hospital de la Charite na zapalenie opon mózgowych na tle gruźliczym. Do ostatnich chwili nie wypadł z roli, podtrzymując legendę, jaką wokół siebie wytworzył. Na godzinę przed śmiercią, przyjaciel, lekarz, spytał go, czy by sobie czegoś nie życzył. Jarry odpowiedział, że owszem — wykałaczki. Przyjaciel wyszedł i wrócił po chwili z pękiem wykałaczek. Jarry wziął jedną, pobawił się nią i umarł.

Człowiek umarł, ale pozostała wspaniała legenda kogoś niepospolitego. I został przede wszystkim Król Ubu.

Jarry — wedle legendy — pijał ocet zmieszany do połowy z absyntem, a mieszaninę tę zaprawiał... kroplą atramentu. W ubiorze kojarzył skrajną ekscentryczność z niebywałym niechlujstwem. Włosy — niezbyt schludnie utrzymane — spływały mu na ramiona. Dolna część jego garderoby pochodziła od kostiumu cyklisty (Jarry był zapalonym wielbicielem jazdy na welocypedzie), do tego pantofle z łyka, czasem damskie trzewiczki na nogach, by uwydatnić urodę drobnych stóp. Koszulę nosił wyciętą z kartonu, a na niej namalowany tuszem czarny krawat. W takim stroju zjawiał się Jarry na zebraniach literackich i towarzyskich, gdzie przyjmowano go z honorami, jakimi w owej epoce darzono talent. Bawiono się z nim i zapraszano go bardzo często.

Manią Alfreda Jarry'ego była namiętność do igraszek z bronią palną. Mania ta w połączeniu z permanentnym zamroczeniem alkoholowym czyniła go niebezpiecznym dla otoczenia. Opis takiej sytuacji i popłochu z nią związanego możemy znaleźć w powieści Gide'a „Fałszerze", gdzie Jarry wprowadzony jest z imienia i nazwiska.

Mieszkanie Jarry'ego — poddasze, na którym mimo niewielkiego wzrostu zaledwie mógł się wyprostować — też otoczone było legendą. Z okna strzelał Jarry z pistoletu do słowików, które przeszkadzały mu spać. Pokój jego zdobił ogromny kamienny phallus, dar Ropsa.

„Czy to odlew?" — miała spytać pewna oszołomiona dama, która pewnego dnia nieopatrznie odwiedziła mansardę naszego bohatera.

„Nie, pani, to zmniejszenie" — odpowiedział skromnie Jarry.

Czym zatem był ów Ubu, który wyniósł Jarry'ego do grona tytanów epoki? Nie czuję się powołany do oceny utworu, do wypowiadania się na temat jego pożytywnej, bądź też negatywnej wartości. Stąd jedynie kilka zdań o samej sztuce.

„Ubu Król, czyli Polacy", nie jest wbrew pozorom pastiszem na Polskę i Polaków. Wprawdzie akcja Króla Ubu rozgrywa się w Polsce, a straszny Ubu nosi nawet pewien czas polską koronę, jednak chodzi tu o Polskę czysto abstrakcyjną, o urojenie, fantazję, kraj, którego nie ma na żadnej mapie.

„Rzecz dzieje się w Polsce, to znaczy nigdzie" — powiedział Jarry w przemówieniu, które wygłosił przed słynną premierą w 1896 roku Nie ma się jednak co obrażać. Trudno. Taka była przecież wówczas nasza sytuacja.

Jest rok 1896, heroiczna epoka „teatrów awangardy" w Paryżu. Wystawienie sztuki poprzedzał zawczasu rozgłos przyszłego skandalu. Stąd, atmosfera na sali była naładowana elektrycznością, groziła wybuchem. Podniesiono kurtynę. Firmin Gremier, młody, ale już ceniony aktor Paryskiego Odeonu, później głośny organizator „teatru międzynarodowego", grający główną rolę, wychodzi na scenę z głową upodobnioną do stożka, w cudacznej masce podobnej do świńskiego ryja, lub — co dopiero później uzyskało właściwą wymowę — do maski gazowej i w zbroi z kartonu. Obok niego utalentowana Luise France — tłusta, bydlęca, pospolita.

Pierwsze słowo, jakie pada ze sceny, to „merde"... Niby nic. Owszem, dzisiaj, ale wówczas! Żeby to jeszcze „merde", ale i tego nie uszanowano. Autor przekształcił je fantazyjnie na „merdre", w której to formie skandaliczne słowo jeszcze wielokrotnie pojawia się w tekście sztuki. Zdaje się, że to „r" podziałało na publikę szczególnie drażniąco. Po paru pierwszych zdaniach dialogu zaczął się tumult i krzyki. Jedni z oburzeniem demonstracyjnie opuszczali salę, stawali na krzesłach i coś krzyczeli, gestykulowali...

Zacytuję może te kilka pierwszych kwestii sztuki:

„— Grrrówno!

— Ładnie, mości Ubu! Straszliwe z ciebie chamidło.

— Iżbym cię nie zakatrupił, mościa Ubu.

— Nie mnie, Ubu, ale kogo innego trzeba by zakatrupić.

— Na moją zieloną świeczkę, nie rozumiem.

— Jak to, Ubu, ty jesteś zadowolony ze swego losu?

— Na moją zieloną świeczkę, grrrówno, mościa pani, jużci, że jestem zadowolony. Jeszcze by nie: pułkownik dragonów oficer przyboczny króla Wacława, kawaler polskiego orderu Czerwonego Orła i były król Aragonii, czegóż, pani, chcieć mogę więcej? (...)"*)

Tak właśnie zaczęła się pierwsza scena sztuki, tego nowego „Makbeta". Scena, podczas której sam wielki Courteline — znakomity humorysta — wlazł zgorszony na krzesło i krzyczał:

„Czy nie widzice, że autor ma was w dupie?!".

Wiele by jeszcze można powiedzieć zarówno o samej sztuce, jak i o jej autorze Jednak rozmiary tej tak zwanej „notki o autorze" dawno już przekroczyły i to jak wydaje się dosyć znacznie normy przyzwoitości przyjęte w prasie dla tego rodzaju tekstów. Mam nadzieję, że udało mi się nieco przybliżyć młodym czytelnikom sylwetkę pisarza. Prezentowane obok opowiadanie nie jest może najwyższego lotu, i dosyć znacznie odbiega od tego do czego w fantastyce jesteśmy przyzwyczajeni, ale publikujemy je ze względu na osobę autora „Króla Ubu".

M. D. ■

*) Jarry Alfred, Ubu Król, czyli Polacy. Tłumaczenie: Tadeusz Żeleński (Boy); Towarzystwo Wydawnicze „Rój", Warszawa 1936 r.

Jak zbudować machinę czasu

ALFRED JARRY

1. NATURA MEDIUM

Koncepcja machiny czasu, to jest urządzenia służącego do eksploracji, czyli podróży badawczych po obszarach Czasu, nie jest trudniejsza niż koncepcja machiny przestrzeni, to jest dajmy na to, statku kosmicznego zarówno gdy przyjmiemy, że Czas stanowi czwarty wymiar Przestrzeni, jak gdy uznamy go za miejsce zupełnie, ze względu na jego treść, odmienne.

Normalnie określa się Czas jako miejsce wydarzeń, dokładnie tak samo jak Przestrzeń jest miejscem ciał. Lub też określa się Czas jako następstwo, podczas gdy Przestrzeń (a dotyczy to wszelkich rodzajów przestrzeni jak przestrzeń euklidesowa, czyli trójwymiarowa, przestrzeń czterowymiarowa rozumiana jako przecięcie kilku przestrzeni trójwymiarowych, przestrzenie Riemanna które, jako kuliste, pozostają zamknięte gdyż okręg stanowi prostą geodezyjną na powierzchni kulistej o tym samym promieniu, przestrzenie Łobaszewskiego w których płaszczyzna pozostaje otwarta, jak też każda przestrzeń nieeuklidesowa, która można poznać po tym, że nie pozwala ona na zabudowanie dwóch podobnych figur tak jak przestrzeń euklidesowa) rozumie się jako jednoczesność.

Każdy jednoczesny segment Czasu rozprzestrzenia się i, dzięki temu można się w nim przemieszczać za pomocą machin poruszających się w Przestrzeni. Teraźniejszość rozprzestrzenia się w trzech wymiarach. Gdybyśmy przenieśli się w dowolny punkt przeszłości lub przyszłości, to punkt ten będzie istniał i będzie się rozprzestrzeniał w trzech kierunkach tak długo, jak długo będziemy tam pozostawać.

I na odwrót. Przestrzeń, czyli Teraźniejszość ma trzy wymiary w Czasie: przestrzeń przebytą czyli przeszłość, przestrzeń nadchodzącą czyli przyszłość, oraz teraźniejszość właściwą.

Przestrzeń i Czas są współmierne. Eksploatację wszechświata, jako poszukiwanie wiedzy o punktach w Przestrzeni możemy prowadzić jedynie poprzez Czas: zaś do ilościowego pomiaru Czasu wykorzystujemy odstępy Przestrzeni na tarczy chronometru.

Mając tę samą naturę, Przestrzeń i Czas mogą być uważane za różne stany fizyczne tej samej substancji, albo też za różne rodzaje ruchu. Nawet jeżeli uznamy je za różne formy myśli, to widzimy Przestrzeń jako upakowany, sztywny system zjawisk podczas gdy stało się już banalnym, poetyckim porównaniem rozumieć Czas jako płynący strumień czegoś w rodzaju cieczy będącej w jednorodnym, prostoliniowym ruchu. Wówczas wszelka wewnętrzna przeszkoda na drodze przepływu poruszających się cząstek tej cieczy, wszelki wzrost lepkości, jest niczym innym jak świadomością.

☆

Ponieważ Przestrzeń jest utwierdzona wokół nas, w celu jej eksploracji musimy się w niej poruszać za pomocą wehikułu Trwania. W kinematyce Trwanie gra rolę zmiennej niezależnej, której funkcję stanowią współrzędne rozpatrywanych punktów. Kinematyka jest to geometria w której wydarzenia nie mają ani przeszłości, ani przyszłości, a fakt że dokonujemy takiego rozróżnienia dowodzi, że przemieszczamy się przez nie.

Poruszamy się w kierunku Czasu ciągle z tą samą prędkością stanowiąc sami część Teraźniejszości. Gdybyśmy mogli pozostać bez ruchu w Przestrzeni absolutnej podczas gdy Czas upływa, gdybyśmy mogli się zamknąć wewnątrz Machiny izolującej nas od Czasu (nie licząc niewielkiej i normalnej „prędkości trwania" którą będziemy posiadać ze względu na bezwładność), to przed naszymi oczyma przechodziłyby kolejno wszystkie chwile przyszłe i przeszłe tak samo jak nieruchomy obserwator panoramy ma złudzenie szybkiej podróży poprzez szereg pejzaży. (W jednym z dalszych rozdziałów dotyczącym wrażeń podczas obserwacji czasu z wnętrza Machiny dowodzi się, że Przeszłość leży poza Przyszłością).

2. TEORIA MACHINY CZASU

Machina mająca na celu odizolowanie nas od Trwania, czy też od akcji Trwania (od stawania się starszym lub młodszym czyli od fizycznego wpływu jaki na bezwładne ciało wywiera następstwo ruchów) musi zapewnić nam „przezroczystość" dla tych zjawisk fizycznych, umożliwić im przenikanie przez nas bez zmieniania i bez przemieszczania nas samych. Izolacja taka będzie dostateczna (w istocie skonstruowanie czegoś bardziej skutecznego jest niemożliwe), jeżeli Czas, podczas wyprzedzania nas, będzie nam nadawał nieznaczny impuls, na tyle duży, aby skompensować opóźnienie naszego powszedniego trwania zachowywanego dzięki bezwładności. To zmniejszenie prędkości wynikałoby z działania porównywalnego z lepkością cieczy względnie z tarciem w dowolnym mechanizmie.

Tak więc, być nieruchomym względem Czasu znaczy przechodzić bezkarnie wskroś wszelkich ciał, ruchów i sił, których miejsce będzie punktem wybranym przez Badacza na miejsce odjazdu jego Machiny Absolutnego Spoczynku czyli Machiny Czasu. Można by też sobie wyobrazić, że się jest przemieszczanym wskroś tych wydarzeń tak, jak pocisk przelatujący przez pustą ramę okienną bez jej uszkodzenia, albo jaklód, który scala się po przecięciu go drutem, albo jak organizm nie wykazujący żadnych obrażeń po nakłuciu wyjałowioną igłą.

☆

Musi więc Machina Badacza Czasu:

1. Być doskonale sztywna, czyli, innymi słowy, doskonale podatna tak, aby przenikała najgęstsze ciała stałe równie łatwo jak nieskończenie rozrzedzony gaz.

2. Mieć ciężar umożliwiający jej pozostawanie bez ruchu w Przestrzeni, a jednocześnie pozostawanie w stanie wystarczająco niezależnym od dobowego ruchu ziemi, co ma pozwolić na zachowanie niezmiennego położenia względem Przestrzeni Absolutnej i, w wyniku tego, mimo swego ciężaru, Machina nie może ulegać zapadaniu się w przypadku, gdy zapadnie się podtrzymujący ją grunt, co może się podczas podróży wydarzyć.

3 Być niemagnetyczna tak, aby nie miał na nią wpływu (później wykażemy dlaczego) obrót płaszczyzny polaryzacji światła.

☆

Istnieje takie idealne ciało, które spełnia pierwszy z tych trzech warunków: jest to Eter Świecący. Stanowi on doskonale elastyczne ciało stałe ponieważ ruch falowy rozchodzi się w nim z dobrze znana prędkością. jest on przenikalny dla wszelkich ciał, a także przenika sam wszelkie ciała bez dających się pomierzyć efektów, gdyż Ziemia ciąży w nim niby w próżni.

Jednakże, i tu leży jedyne podobieństwo do ciała okrągłego czyli eteru arystotelesowskiego, nie jest on ze swej natury ciężki oraz, ponieważ obraca się jako całość, określa on obrót magnetyczny odkryty przez Faradaya.

☆

Mamy teraz taką, powszechnie znaną maszynerię, która stanowi doskonały model eteru świecącego i spełnia podane wyżej trzy warunki.

Przypomnijmy krótko jaka jest budowa eteru świecącego Jest to doskonały układ cząsteczek materii oddziaływujących wzajemnie na siebie za pomocą sprężyn nie posiadających masy. Każda molekuła stanowi mechanicznie obwiednię sprężyny śrubowej, której końce przymocowane są do końców molekuł sąsiednich. Każde popchnięcie czy pociągnięcie molekuły skrajnej powoduje wibrację idącą przez cały układ identycznie, jak przesuwające się do przodu czoło fali świetlnej.

Struktura tego układu sprężyn jest analogiczna do obiegu bez obrotu nieskończenie rozciągliwej cieczy przez nieskończenie małe otworki, lub też do układu składającego się ze sztywnych prętów i szybko obracających się kół zamachowych osadzonych na wszystkich lub na niektórych z tych prętów.*

Układ sprężyn różni się od eteru świecącego jedynie tym, że ma ciężar i nie obraca się jako całość identycznie, jak by to był eter pozbawiony siły magnetycznej.

Jeślibyśmy stopniowo zwiększali prędkość obrotu kół zamachowych, czy też zwiększali napięcie sprężyn, to okres drgań elementarnych stawałby się coraz krótszy, a amplituda coraz mniejsza. Taki charakter zmienności tych ruchów przypomina coraz bardziej charakterystykę układu doskonale sztywnego, utworzonego z punktów materialnych poruszających się w Przestrzeni i obracających się zgodnie z dobrze znanym prawem obrotu ciała sztywnego, którego momenty bezwładności względem trzech osi zasadniczych są sobie równe.

Konkludując, element sztywności doskonałej przedstawiany jest przez żyrostat lub żyroskop.

Każdy zna te kwadratowe lub okrągłe ramki, wewnątrz których znajduje się koło zamachowe obracające się szybko wokół wewnętrznej osi. Dzięki temu obrotowi żyrostat zachowuje równowagę w każdym położeniu. Jeżeli przemieścić nieco środek jego ciężkości poza pion punktu podparcia, to będzie on się w dalszym ciągu obracał w azymucie nie tracąc równowagi — nie spadając. Azymut jest to kąt zawarty między południkiem a płaszczyzną wyznaczoną przez prostą pionową i pewien punkt stały, na przykład gwiazdę.

Gdy ciało obraca się wokół osi zawierającej punkt wędrujący zgodnie z dobowym ruchem ziemi, to kierunek tej osi względem Przestrzeni absolutnej pozostaje niezmienny. W wyniku tego, dla obserwatora unoszonego bez jego świadomości przez ten ruch dobowy, oś ta wykonałaby równomierny obrót wokół osi Ziemi, identycznie, jak teleskop paralaktyczny stale wycelowany na jakąś gwiazdę na horyzoncie.

Trzy szybko obracające się żyroskopy, o osiach równoległych do trzech głównych kierunków w przestrzeni spełniałyby warunek sztywności sześciennej. Badacz siedzący w machinie byłby mechanicznie odizolowany w takiej kostce absolutnej sztywności, zdolnej do przenikania przez każde ciało bez jego naruszenia tak samo, jak eter świecący.

Stwierdziliśmy właśnie, że Machina zachowuje w Przestrzeni absolutnej położenie niezmienne, acz zrelatywizowane względem dobowego ruchu Ziemi tak, aby można było zachować punkt odniesienia umożliwiający określenie przebytego czasu.

W końcu, jak to podano w opisie poniżej, Machina nie zawiera żadnych części magnetycznych.

3. OPIS MACHINY CZASU

Machina składa się z hebanowego korpusu podobnego do stalowej ramy roweru. Hebanowe człony łączone są za pomocą spajanych uchwytów miedzianych.

Trzy torusy (koła zamachowe) żyrostatu leżące w trzech wzajemnie prostopadłych płaszczyznach przestrzeni euklidesowej wykonane są z hebanu okutego miedzią i osadzone na osiach sporządzonych z ciasno zwiniętej taśmy kwarcowej (taśmę kwarcową wykonuje się w taki sam sposób jak drut kwarcowy) i obracających się w kwarcowych panwiach.

Kołowe obręcze czy półkoliste jarzma żyrostatów są wykonane z niklu. Pod siedzeniem, nieco z przodu, znajdują się akumulatory silnika elektrycznego. Machina nie zawiera żelaza za wyjątkiem miękkiego żelaza elektromagnesów.

Ruch obrotowy przekazywany jest na trzy koła zamachowe za pomocą przekładni zapadkowych i napędów łańcuchowych z drutu kwarcowego, sprzężonych z trzema kołami zębatymi, z których każde leży w tej samej płaszczyźnie, co odpowiadające mu koło zamachowe Przekładnie łańcuchowe sprzężone są wzajemnie za pośrednictwem zębatych kół stożkowych i osi napędowych oraz połączone są one z silnikiem. Potrójny hamulec działa jednocześnie na wszystkie trzy osie.

Za każdym obrotem koło przednie uruchamia dźwignię połączoną z układem kół pasowych i czterech tarcz z kości słoniowej zainstalowanych oddzielnie lub współśrodkowo, które wskazują liczbę dni w jednostkach, tysiącach milionach i setkach milionów. Oddzielna tarcza pozostaje w sprzężeniu z dobowym ruchem Ziemi poprzez dolny koniec osi żyrostatu poziomego.

Do regulowania prędkości obrotowej silnika służy dźwignia z rękojeścią z kości słoniowej o ruchu wzdłużnym czyli równoległym do Machiny Czasu. Druga dźwignia służy do zmniejszania prędkości Machiny za pośrednictwem drążka przegubowego. Wykazano dalej, że powrót z przyszłości do teraźniejszości odbywa się przez zmniejszenie prędkości Machiny, zaś podróż w przeszłość wymaga nadania Machinie prędkości jeszcze większej niż w przypadku podróży w przyszłość (dla stworzenia jeszcze doskonalszego stanu nieruchomości trwania). Do zatrzymania się w dowolnym punkcie Czasu służy odpowiednia dźwignia blokująca potrójny hamulec.

Gdy Machina znajduje się w spoczynku, dwie z obręczy żyrostatów pozostają w położeniu stycznym do powierzchni Ziemi Podczas pracy, ponieważ kostka żyrostatyczna nie może zostać porwana w obrót, albo przynajmniej pozostaje w ruchu obrotowym określonym przez stałą parę sił, Machina balansuje swobodnie w azymucie na końcu osi żyrostatu poziomego.

4. DZIAŁANIE MACHINY CZASU

Dzięki zjawisku żyrostatu Machina staje się przejrzysta dla kolejnych okresów czasu. Machina nie pozostaje w trwaniu, ani nie kontynuuje swego istnienia, lecz raczej przechowuje swoją zawartość poza Czasem osłaniającym ją od wszelkich zjawisk. Gdy Machina wykonuje w Przestrzeni ruchy oscylujące lub gdy nawet Badacz ustawiony jest w pozycji do góry nogami, widzi on odległe przedmioty normalnie i stale w jednym położeniu, bowiem skoro wszystkie obiekty bliskie są przejrzyste nie ma on punktu odniesienia.

Ponieważ nie doświadcza on trwania, podczas podróży nie ma upływu czasu, jak długo by ona nie trwała, nawet gdyby zatrzymał się poza Machiną. Powiedzieliśmy, że nie doświadcza on upływu czasu za wyjątkiem rozumienia go w sensie tarcia lub lepkości co stanowi interwał praktycznie równoważny temu, który przebyłby on nawet bez wsiadania do Machiny.

Z chwilą uruchomienia zaczyna się poruszać stale w kierunku przyszłości. Czas Przyszły stanowi normalne następstwo wydarzeń: jabłko wisi na gałęzi — spadnie. Czas Przeszły jest odwróceniem porządku: jabłko spada — z gałęzi. Czas Teraźniejszy nie istnieje — to drobny ułamek zjawiska, drobniejszy od atomu. Fizyczny wymiar atomu wynosi, jak wiadomo, $1{,}5 \times 10^{-8}$cm. Jak dotąd jeszcze nikt nie pomierzył ułamka sekundy słonecznej równego Teraźniejszości.

Podobnie jak ciało poruszające się w Przestrzeni musi być mniejsze od zawierającego je medium, Machina nasza aby mogła poruszać się w trwaniu, musi być krótsza co do trwania niż Czas, zawierające ją medium, czyli musi być bardziej nieruchliwa w potoku następstw zdarzeń.

I teraz, nieruchliwość Machiny w Czasie jest wprost proporcjonalna do prędkości obrotu jej żyrostatów w Przestrzeni.

Jeżeli oznaczymy przyszłość literą „t", to prędkość w przestrzeni, czyli powolność trwania potrzebna do eksploracji przyszłości będzie miała wielkość czasową „V" taką, że:

$$V < t$$

Za każdym razem gdy V zbliża się do zera, Machina schodzi do Czasu Teraźniejszego.

Ruch ku Przeszłości polega na percepcji odwrócenia zjawisk. Widzi się jabłko wznoszące się na gałąź, ożywającego nieboszczyka, pocisk wpadający w lufę działa. Wiadomo dobrze, że ten aspekt wizualny następstw jest teoretycznie osiągalny przez wybiegnięcie przed falę świetlną, a następnie podróżowanie z prędkością równą prędkości światła. W przypadku Machiny Czasu działanie jest odwrotne: to ona przenosi badacza poprzez rzeczywistą trwanie, a nie udaje się w pościg za obrazem zachowanym w Przestrzeni. Tutaj badacz musi jedynie uzyskać takie przyspieszenie przy którym na wskaźniku prędkości (należy pamiętać, że prędkość żyrostatów i powolność w trwaniu Machiny, to jest prędkość następstwa zjawisk w odwrotnym kierunku są synonimami) odczytamy:

$$V < -t.$$

A dalej będzie on podróżował z prędkością o równomiernym przyspieszeniu, które można regulować niemal całkowicie zgodnie z newtonowskim wzorem ciążenia. Przeszłość uprzednią względem $-t$ można oznaczyć jako $-t$ i, aby ją osiągnąć należy uzyskać na tarczy przyrządu wskazanie odpowiadające:

$$V < (< (-t)).$$

5. CZAS OBSERWOWANY Z MACHINY CZASU

Warto zauważyć, że dla Machiny Czasu istnieją dwie Przeszłości: przeszłość uprzednia względem naszej teraźniejszości, którą moglibyśmy nazwać przeszłością rzeczywistą oraz przeszłość stworzona przez Machinę podczas jej powrotu do naszej Teraźniejszości i która w efekcie oznacza odwrócenie Przyszłości.

I teraz, ponieważ Machina może osiągnąć Przeszłość jedynie po przejściu przez Przyszłość, musi ona przekroczyć pewien punkt symetryczny względem naszej Teraźniejszości, punkt zwrotny między przyszłością a przeszłością, który można określić dokładnie jako Czas Teraźniejszy Uroojony.

W ten sposób, dla Badacza siedzącego w Machinie, Czas stanowi krzywiznę albo lepiej, zamkniętą powierzchnię krzywą, analogiczną do Eteru Arystotelesowskiego. Z bardzo podobnych powodów w innym dziele (Doktora Faustrolla Badania i Wnioski, Księga VIII) stosujemy termin Eternite (wieczność). Nie mając Machiny Czasu obserwator widzi mniej niż połowę rzeczywistego obszaru Czasu, podobnie jak niegdyś przyjmowano, że Ziemia jest płaska.

Z działania Machiny Czasu można łatwo wyprowadzić definicję Trwania. Ponieważ polega ono na redukcji t do 0, oraz 0 do —t, powiemy:

Trwanie jest to transformacja następstw w odwrócenie następstw. Czyli, innymi słowy:

POWSTAWANIE PAMIĘCI.

Przekład: ALEKSANDER RODZIEWICZ

* Por. William Thomson (Lord Kelvin) „O żyrostatycznym niedynamicznym charakterze budowy eteru". (C. R. 1899 Proc R Soc. Ed. 1890) — przypisek autora.

— Zawsze włóczysz się po tanich knajpach.

Rys. Jarosław Szymański

kolumna ajencyjna

KOLUMNA DZIEWIĘTNASTA
(poniekąd przedświąteczna)

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

FRASZKI Z RÓŻNYCH SZUFLAD

Tadeusz Fangrat

ŁAGIEWNIKI

Rzymek
łódzkich pielgrzymek

Roman Gorzelski

MALARZ MODERNISTA

Sama
Rama

Ryszard Przymus

WARUNEK

Ceni krytykę
jeśli spotyka
działalność jego
poprzednika.

Paweł Dorejko (student UW)

KAWALERIA

Dawniej szable i rapiery,
dzisiaj teczka na papiery.

BIAŁA LILIA

Wygląd twój jest tak
niewinny
że aż antykoncepcyjny

„Andrzejki" z Conoverem

W czym się chodzi? Co się nosi? — Takie dręczące pytania zadawaliśmy sobie wybierając się na imprezę z okazji sześćdziesięciolecia jazzu w Polsce do Muzeum Historii Miasta. Drugie pytanie, które nas dręczyło, ale jakby mniej, brzmi. — Skąd organizatorzy wiedzieli, że akurat 29 listopada 1982 roku, należy obchodzić sześćdziesięciolecie jazzu polskiego? Czy może właśnie w andrzejkowy wieczór 1923 r., pijany klezmer z orkiestry Golda i Petersburskiego na dansingu w „Adrii" pomylił nuty i musiał zaimprowizować swoją solówkę? A może bawił tego wieczora w naszym kraju przejazdem Murzyn z Nowego Orleanu i na imieninach Jedrusia wykonał nagle „Sto lat" swingując absolutnie?

Co się nosi okazało się zaraz przy wejściu. Powitał nas bowiem dyrektor Szram (wytarte dżinsy, biała płócienna bluza, biała muszka z kolorowym wzorkiem). Ku naszemu zdumieniu tekst powitania powtarzano w językach obcych zupełnie — z wyjątkiem francuskiego były to wszystkie języki przyjęte na obradach ONZ. Poczuliśmy się światowo jakby, chociaż wystroiliśmy się zupełnie niepotrzebnie w szare ubrania i białe koszule, jak prowincja jaka albo jeszcze gorzej.

Następnie poszliśmy do bufetu, gdzie spotkaliśmy znanego artystę grafika i przedstawiciela stołecznej gazety, zajętych konsumpcją (kanapki z szynką (sic!), wódeczka, białe wino). Przy bufecie okazało się co noszą panie. Najbardziej podobał nam się kostium niedużej brunetki — czarny, przezroczysty kombinezon z lśniącymi elementami. Bielizna — co było widać gołym okiem — również czarna. Gdybyśmy śmieli podejrzewać, że to nie jest własny, za obcą walutę nabyty strój niedużej brunetki, posądzilibyśmy ją o wypożyczenie kostiumu ze spektaklu „Uprowadzenie z Seraju".

Następnie odbył się spektakl muzyczny, jak wyczytaliśmy w programie była to muzyczna trawestacja „Zamku" Kafki. W bufecie dostrzegliśmy znów znanego grafika i przedstawiciela, a także prezesa SD PRL w Łodzi (ciemny garnitur, biała koszula, ciemny krawat). Po spektaklu zapytaliśmy parę znanych koneserów — Panią red. G. i jej męża inż. G., czy byli na Kafce. Nie — odpowiedzieli jednocześnie — na koncercie, podobało nam się!

To był Kafka — odparliśmy z minami znawców...

Być może — odparł nieco zmieszany inż. G.

To samo pytanie zadaliśmy w bufecie artyście grafikowi Krzysztofowi R. (Czarny, smokingowy garnitur, muszka).

Odpowiedzi nie przytaczamy, bowiem nie miała bezpośredniego związku z wydarzeniami.

Było otwarcie Polskiego Archiwum Jazzowego — otworzył kustosz, dziennikarz i jazzman Andrzej W. (Klubowa granatowa marynarka, jasne spodnie). Dosłownie to on otworzył szafę, z której wyszedł saksofonista altowy (czarny sweter) i odegrał „Swanee River".

Na kolejnym koncercie stwierdziliśmy, ku naszemu zdziwieniu, że oprócz estrady zainstalowano tam również prezydium. W prezydium zasiadali m.in. weterani jazzu, pianista Witold A. i kontrabasista Zbigniew H. W bufecie spotkaliśmy przedstawiciela instancji, kogoś z prywatnej inicjatywy i reżysera Feriduna E. (Czarna welwetowa bluza, takież spodnie).

W bufecie spotkaliśmy redaktora „beja" z „Expressu" — szara marynarka z tweedu, ciemne spodnie.

W trakcie kolejnego koncertu odbyły się — zupełnie nieprzewidziane scenariuszem — tańce. Wówczas wszedł na salę sam Willis Conover (marynarka w kratkę, granatowa apaszka). Przytomnie zaprosiła go do tańca pani Danuta O. (wieczorowa sukienka w kolorze śliwek. Gatunku śliwek nie rozpoznaliśmy).

Co się okazało proszę Państwa? Otóż okazało się proszę Państwa, że sam wielki Willis Conover nie umie tańczyć! Jako znani królowie parkietów przyjęliśmy to z pewnym niesmakiem.

W bufecie rozpoznaliśmy komentatora jazzowego Andrzeja J. (Jasna wełniana marynarka) i aktora Andrzeja K. (lat czterdzieści, błękitna koszula i takaż apaszka).

Potem jeszcze był koncert z okazji dwudziestolecia Zbigniewa Namysłowskiego (fioletowa wiatrówka, takież spodnie ze sztruksu).

W bufecie spotkaliśmy reżysera filmowego Andrzeja R. z małżonką (niesłychanie gustownie ubrana, szczegółów nie pamiętamy) i zastępcę dyr. wydziału, Urszulę R., ubraną dokładnie tak samo.

Główne atrakcje były po północy. W bufecie spotkaliśmy Grafika Andrzeja G., Z podobnych jak my przyczyn opuszczał imprezę...

MLECZNI BRACIA AJENTA

Eugeniusz Iwanicki

Klasztor dla ateistów czyli rozważania pana T.

*

T. spotkał znajomego, który zaczął się uskarżać, że zakupione przezeń książki, są niezwykle ciężkie.

— Cóż pan chce — powiedział T. — Tyle myśli naraz!

*

— Zaszczyty — powiedział B. — są nagrodą za uczciwie wykonaną pracę.

Obecny przy tym T. uśmiechnął się w zadumie i rzekł:

— Czasem niewykonanie czegoś bywa największym zaszczytem.

*

Wszystko już było — powiedział ktoś bardzo uczony, kto z trudem obronił pracę habilitacyjną. — Dziś nikogo już nie można zadziwić.

— Przepraszam — wtrącił T. — A gdyby wybudować klasztor dla ateistów?

AUTOWYWIAD

Aczkolwiek bez zapału publikujemy kolejną część AUTOWYWIADU, w którym — jak sam tytuł wskazuje — rozmawiamy ze sobą samym na interesujące nas tematy.

WYWIADOWCA: Więc na czym to stanęliśmy?

AJENT: Przed tygodniem stanęliśmy na włażeniu na Mount Everest na golasa, teraz zaś stanęliśmy na poezji. Miałem coś powiedzieć.

WYWIADOWCA: A co niby?

AJENT: To, co opowiem, jeżeli pan przestanie przerywać. Otóż siedzieliśmy...

WYWIADOWCA: Siedzieliście?! A jak długo?

AJENT: Niedługo, bo siedzieliśmy na wykładzie ze starocerkiewnego, nie zaś tam, gdzie pan myśli.

WYWIADOWCA: Wcale nie myślę...

AJENT: Zauważyłem. Otóż na tym mianowicie wykładzie urządziliśmy konkurs poetycki. Jurek T., zaczął od rymujących się końcówek fleksyjnych, do których spróbował dopisać resztę wiersza. My ułożyliśmy wierszyk poniekąd tradycyjny, natomiast Jarosław Marek...

WYWIADOWCA: Jaki Jarosław Marek?

AJENT: Jarosław Marek jest jeden i proszę nie zadawać głupich pytań. Ten od Hiszpanów, powiedzmy.

WYWIADOWCA: TEN?!

AJENT: Ten właśnie. Otóż Jarosław Marek napisał swój pierwszy w życiu wiersz, taki oto:

Domy
Zgrzybiałe Prostytutki,
Ludzie

(dwa brzydkie słowa, które ze względu na młodzież opuszczamy)

Ratunku!

WYWIADOWCA: Strasznie pan pruderyjny, bo ja znam te słowa.

AJENT: Młodzież też zna i nawet używa. Ale wypada udawać, że dbamy o czystość mowy naszej ojczystej

WYWIADOWCA: Amen.

AJENT: No właśnie. Mój wiersz był, rzecz jasna, najlepszy, Jurka vel Jasia interesujący ze względu na obraną metodę twórczą, ale pierwszą nagrodę i tak wziął Jarosław

WYWIADOWCA: A to niby dlaczego?

AJENT: A to dlatego, że siedział pośrodku. Tworzyliśmy jednocześnie jury, każdy głosował za swoim utworem. Jarek jednak oświadczył, że jako przewodniczący ma dwa głosy. Tak go to zachęciło, że został prawdziwym poetą

WYWIADOWCA: I na zdrowie.

AJENT: Jak dla kogo Jurek vel Jasio załamał się bowiem, schandryczył i nawet doktoryzował w ramach ogólnej frustracji. Co do mnie, sam pan widzi, zostałem ajentem. Z czego morał.

WYWIADOWCA: że trzeba siadać pośrodku, rzecz jasna.

AJENT: I to właśnie chciałem udowodnić.

CDN

Nasi ponuracy

Posiadamy obecnie aż dwóch — że się tak wyrazimy — nadwornych rysowników, obydwaj są jednak ostatnio w wisielczym humorze i raczą nas makabreską. Mówi się trudno: bawmy się na ponuro!

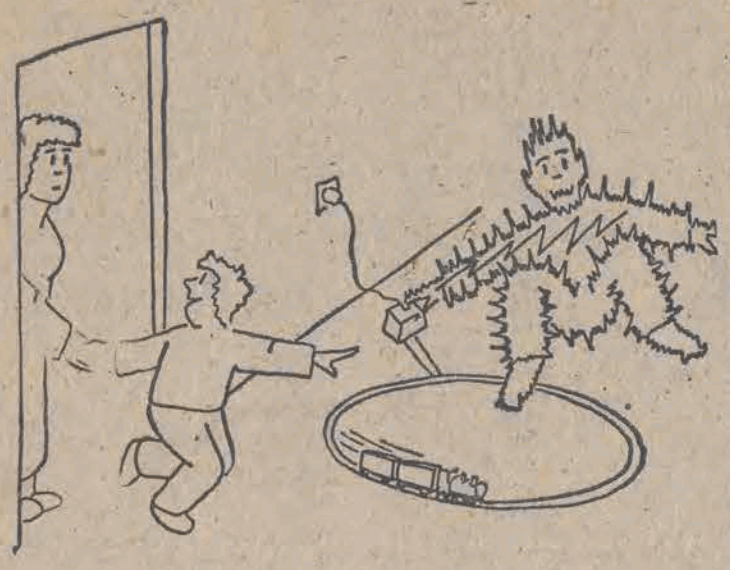

— Mama, zobacz, tata naprawił mi kolejkę!
Rys. JAROSŁAW SZYMAŃSKI

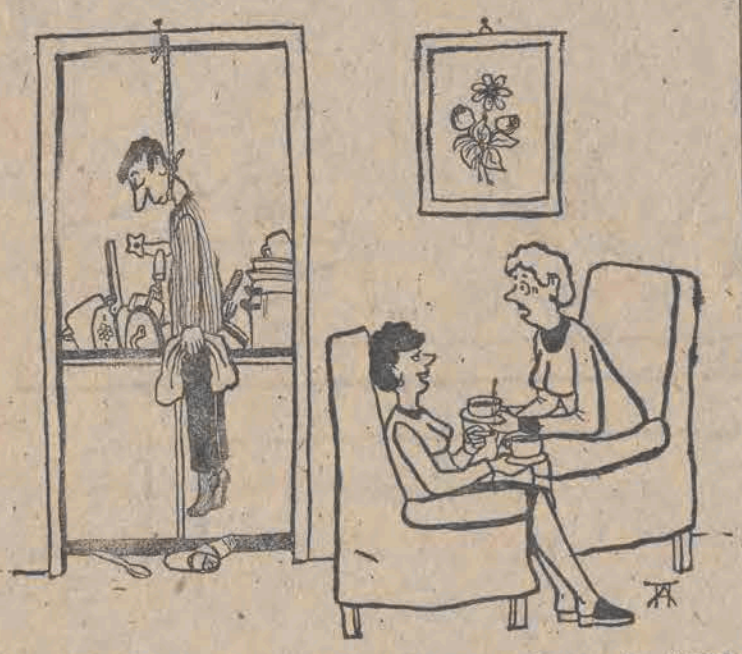

— Nie zwracaj na niego uwagi, on zawsze chwyta się różnych sposobów, żeby tylko uniknąć zmywania...
Rys. ANDRZEJ ADAMOWICZ

DO AJENTA

Zwracamy uwagę Obywatela, że poziom Kolumny Ajencyjnej obniża się, miast wzrastać, a drwiny z czytelników i tanie żarciki bynajmniej nie przysparzają dobrej opinii naszemu pismu.

Co gorsza niektórzy członkowie zespołu Kolumny Ajencyjnej pojawiają się w redakcji w stanie określanym potocznie jako stan wskazujący, z czego będziemy zmuszeni wyciągnąć konsekwencje.

ZA KOLEGIUM
(podpis nieczytelny)

OD AJENTA

Zwracam uwagę Kolegium, że przy obecnych trudnościach materiałowych prowadzenie Kolumny Ajencyjnej stało się zajęciem deficytowym, a nawet upokarzającym, zmuszeni jesteśmy bowiem wręcz żebrać, żeby ktoś coś napisał, a potem tłumaczyć się, dlaczego za to coś płacimy takie nic... W tej sytuacji publikowany obok rysunek kol. Adamowicza będzie można już wkrótce opatrzyć nowym podpisem: — Nie zwracaj na niego uwagi, to po prostu kolejny facet próbuje wymigać się od robienia Kolumny Ajencyjnej.

Dodaję, iż zarzut przychodzenia personelu w stanie wskazującym nie polega na prawdzie; prawdą jest natomiast, że niekiedy nasz personel nie jest w stanie przyjść w ogóle.

AJENT

SUPER–UKŁADANKA

Nasza SUPER-UKŁADANKA polega, przypominamy na ułożeniu z czterech kawałków zdjęć opublikowanych w poprzednim numerze i z czterech kawałków zdjęć opublikowanych w tym numerze, jednego tylko zdjęcia przypominającego bodaj najświetniejszy ze spektakli wrocławskiego Teatru Pantomimy.

Niektóre kawałki są powtórzone, inne całkiem zbędne rozrywka jest jednak prosta, nie wyczerpująca intelektualnie, ewentualnych laureatów — jeżeli jeszcze będą w dodatku wiedzieli z jakiego niby spektaklu pochodzi to zdjęcie czekają niespodzianki. Może przyjemne, może nie życie nie składa się jednak z samych tylko słodkości...

NR 37 (1290) ROK XXV 17 GRUDNIA 1982 R.

1

Szaleństwo na trzy pedały

Zachciało mi się mieć prawo jazdy. Diabli wiedzą po co, bo samochodu nie posiadam i w dającej się przewidzieć przyszłości nic nie wskazuje na to bym miała go mieć. Rodzona firma też nie za bardzo skłonna rozdawać talony, wujów zamorskich nie posiadam, nic to.

Domowa magnificencja przyglądała mi się jakby litościwie i czegoś długo grzebała w „Poradniku zdrowia psychicznego"... musi jakiś referat miał przygotować, albo co?...

Nie zrażając się brakiem zrozumienia duszy kobiecej, wymagane papiery złożyłam, zapłaciłam co należne. I zaczęło się!

Najpierw zgromadzono wszystkich kursantów i wytłumaczono nam, iżbyśmy nie mieli nadziei na doścignięcie Niki Laudy, albowiem... debilnie nam z oczu patrzy. No ale jeśli, skoro życzymy sobie za te 10 kafli marnować czas i nerwy znakomitych fachowców, to trudno — wola boska.

TYDZIEŃ I

Po wielu ćwiczeniach złapałam wreszcie sens pstrzenia ulic tymi kolorowymi malunkami, co to żółty trójkąt w dół, albo niebieski kwadrat z facetem szwendającym się po ulicy.

Pilnie studiuję literaturę silnie fachową.

Nareszcie przyszedł piękny poranek, gdy usiadłam za kołkiem. Pan Stefeczek — mój mistrz i anioł stróż — zapalił silnik i powiada — jedziemy! Jak to jedziemy, a gdzie suchy trening i po co zaraz rozwalać tę bramę? A w ogóle tego... po cholerę te trzy pedały, przecież nogi mam tylko dwie i to kółko jakieś takie do niczego, furt skręca w lewo. *Zupełnie nie rozumiem dlaczego wajcha* w podłodze nie daje się wyrwać, przecież szarpię ile wlezie i nic.

Pan Stefeczek, poczciwie wygląda, tylko jakby ciut blady, może niezdrów? Ale nie ja!! Trzymajta się dobrze ludzie blisko murów i bram! Jadę!! Zaraz na wstępie nauczyłam moresu jakiegoś typa, co wyjechał mi nagle Bóg wie skąd. Ja w gaz, on po hamulcach, no i stuknął główką w przednią szybę. I dobrze, niech nie myśli, że jak duży, czerwony i z przegubem, to się będzie panoszył.

TYDZIEŃ II

Pan Stefeczek zrozumiał w końcu, że ze mną można tylko łagodnie i bez nerwów, żadne tam „...no i gdzie się pchasz, w ząbek czesana, przecież on miał pierwszeństwo..."

Idzie jak po maśle. Powoli przywykłam i do tej oszalałej maszynerii i nawet jakby łapię sens. Tylko czemu mój cicerone tak często kurczowo trzyma się fotela?

Na lekcjach teorii, mąż uczony wielce, wbija nam do głowy, kto to jest pan dyrektor skrzyżowania i co mu wolno, a nam nie. Ćwiczymy murzynki. Na przerwach, zemocjonowani kursanci toczą dialogi „...ja po gazie, wrzucam czwórkę, a tu mi jakaś lala na pasach marudzi. Więc ja jej kulturalnie — a co — miejsce robię, hamuję, a ona — głupia czy co? — stepować zaczyna jak Vondraczkowa. Pewnie artystka, kroki do numeru sobie ćwiczy — myślę — więc wołam przez okno O'le ! I gazu..."

TYDZIEŃ III i IV

Zgłębiamy zawiłość skrzyżowań okrężnych i ulic jednokierunkowych. Na miłość boską jak ci ludzie mogą wszystko spamiętać w czasie jazdy?

Pan Stefeczek trzyma się dzielnie, choć dzisiaj znowu — nie wiedzieć czemu — zwisał bezwładnie jakby, przez boczne okienko. Gorąco mu pewnie, a że trochę zarzuciło? Na zakrętach to się czasem zdarza i nie powinien się tak emocjonować. I ta pani też w końcu dotarła na chodnik bez szwanku.

PÓŁMETEK

Przerabiamy testy. Cudaczne jakieś, niby toto proste jak konstrukcja cepa, a człowiek wciąż się gubi. Pewnie te plastykowe matryce do sprawdzania się powyginały. Zaczęli akurat grzać, leży gdzieś blisko kaloryfera, to i nie dziwota, że trochę krzywe.

Zaczynam widzieć trochę dalej niż do końca maski. Ulice niektóre już rozpoznaję i nawet znaki drogowe też.

TYDZIEŃ VI

Pan Stefeczek dał dzisiaj dowód, że żywi głębokie zaufanie dla moich umiejętności szoferskich. Żonę rodzoną odważył się posadzić z tyłu i do domu wieźć kazał. Chwalić Boga, dożyją złotych godów.

Na lekcji dostałam trzy na szynach za odpowiedź na pytanie: „Co należy zrobić jadąc przez wieś?" Na co ja — że trzeba włączyć wycieraczki... no i czemu oni się tak śmiali?

TYDZIEŃ VIII — EGZAMINOWY

Przyszedł najpierw jakiś facet i zagaił, że on nam życzy wszystkiego najlepszego oraz, żebyśmy we własnym (finansowym) interesie zdali egzamin najlepiej w pierwszym podejściu. Tu, dla przestrogi, przytoczył nam opowieść o pewnym gościu, który wszedł do annałów historii firmy. Najpierw ciułał pół życia na własne auto, bo już wszyscy sąsiedzi w klatce mieli. Dzieci morzył margaryną (to było jeszcze za drugiej Polski), żona ganiała w konfekcji z Pedetu. Kupił wreszcie wyśnioną „Syrenkę" i... drugie pół życia usiłował pokonać własne beztalencie motoryzacyjne. Podchodził do egzaminu 19 (dziewiętnaście!!) razy i w końcu dał sobie spokój, bo „Syrenkę" zupełnie zżarła rdza.

Zdolna jestem! Testy zdałam bezbłędnie, bez żadnych ściąg, choć na lekcjach doprowadzałam instruktora do białej gorączki.

Na koniec, prześwietna komisja życzyła sobie sprawdzić moje kwalifikacje za kierownicą pojazdu samochodowego. *Poszło gładko, objechałam* kawałek miasta i usłyszałam: dziękuję, zdała pani. Jeszcze tylko wręczenie różowej tekturki, uściśnięcie prawicy i... płyń po morzach i oceanach świata... tee, chciałam powiedzieć — szerokiej drogi! I w tym momencie złapałam samochodowego feblika, nosić mię zaczęło i tak bym jechała i jechała gdzieś w dzikie pola... A tu ani kawałka samochodu, znajomi zaczęli do pracy przyjeżdżać tramwajami, no nic, tylko przyjdzie zczeznąć z tęsknicy. Umyśliłam więc zamieścić w miejscowej prasie, anons następujący: „Zamienię męża na samochód. Transakcja tylko notarialnie"... i czekam.

Felietonik ów dedykuję wszystkim tym, którzy z anielską cierpliwością i żelaznym spokojem przypatrywali się mym wyczynom na drogach, a mimo to nie porzucili tak niewdzięcznej pracy instruktora.

JOLANTA RAJDOWICZ

2

Zdarzenia i zwierzenia

Kowboj i logika

Niedawno minister obrony Stanów Zjednoczonych Weinberger — powiedział publicznie, a nie u cioci na imieninach, że Polską rządzi rosyjski generał w polskim mundurze.

Widziałem kiedyś w telewizji charakterystyczną buźkę pana Weinbergera i też mógłbym powiedzieć coś równie głupiego, choć może nie aż tak bardzo...

Nie w tym rzecz jednak, aby licytować się w inwektywach. Rzecz natomiast w tym, że warto sobie uświadomić, iż kalifornijska ekipa Reagana wprowadza do międzynarodowych obyczajów styl bycia, język i frazeologię z bardzo Dzikiego Zachodu. Wyzwiska, inwektywy, pogróżki, brutalne żądania — brak logiki i brak elementarnych reguł przyjętych w stosunkach międzynarodowych przez cały cywilizowany świat — oto styl bycia całej ekipy — począwszy od gwiazdora — skończywszy na statyście.

Nie mogę stwierdzić, że Ameryką rządzi kowboj, w garniturze prezydenta, bo nie widziałem żadnego westernu z Reaganem. Co by nie powiedzieć o naszej polityce zakupów, to sprowadzaliśmy do Polski jedynie wybitne westerny. Nie mogę więc nic powiedzieć o kunszcie aktorskim prezydenta, choć jako reżyser słynnego show o Polsce wypadł raczej miernie.

Natomiast o Reaganie jako prezydencie wypowiedzieli się już dostatecznie jasno jego poprzednicy — Nixon i Carter i to na łamach zachodniej — także amerykańskiej — prasy.

Reagana chyba w ogóle gubi brak logiki, co zdaje się być wspólną cechą niektórych aktorów, to go zresztą łączy także z częścią polskich ulubieńców publiczności.

Najpierw próbował zablokować budowę gazociągu syberyjskiego uderzając dotkliwie nie tyle w Związek Radziecki — choć także — co w swoich... sojuszników w zachodniej Europie. Musiał się z tego wycofać.

Potem potraktował Polskę jak bananową republikę w Ameryce Południowej nakazując rządowi polskiemu zawieszenie stanu wojennego i uwolnienie internowanych. Kiedy jednak — wbrew nadziejom Reagana — sytuacja w Polsce zaczęła się stabilizować i zaistniały warunki do zawieszenia stanu wojennego, a większość internowanych wróciła do domu — pan Weinberger oświadcza, że — słuchajcie uważnie — „zniesienie stanu wojennego w Polsce nie ma żadnego znaczenia".

Więc co ma znaczenie?

Dziecko by wiedziało. Znaczenie dla interesów amerykańskich w Europie ma właśnie stan napięcia w Polsce, otwarte nagle rynki zbytu na Zachodzie dla amerykańskiego węgla i cały kompleks „przetargowy", jaki rodzi gorąca atmosfera w Polsce.

Ale amerykańska pszenica płynie bez zakłóceń do portów radzieckich, mimo tej frazeologii, bo inaczej Reagan straciłby miliony głosów amerykańskich farmerów.

Ten brak logiki albo raczej perfidna logika własnego interesu, każe się nam wszystkim zastanowić nad czystością i brudem intencji ekipy kowboja z Białego Domu. Co znaczy dosłownie „cowboy" można sprawdzić w każdym słowniku angielsko-polskim.

JERZY WILMAŃSKI

3

Lewym okiem

Parkingi nie strzeżone

Wiele się mówi o jednej z cech naszego społeczeństwa: o zawiści. Jak wiadomo — polska dzielnica piekła obywa się bez diabłów, bo i tak zawistni współpotępieńcy nie pozwolą nikomu wygrzebać się ze smoły. Tadeusz Breza napisał pokaźnych rozmiarów powieść p.t. „Zawiść", stanowiącą gruntowne filozoficzne studium tego uczucia. Nie pamiętam już kto powiedział, że w Polsce szewc zazdrości rodakowi, że został arcybiskupem. To prawda, że nie lubimy gdy się komuś powiodło, choćby to powodzenie było najdalsze od terenu naszego własnego działania i absolutnie mu nie zagrażało. Zawiść — czyli bezinteresowna zazdrość.

Jeżeli jednak zawiść jest uczuciem człowieka, któremu coś się nie udało, któremu się nie wiedzie — w stosunku do bliźniego cieszącego się doraźnym lub dłuższym powodzeniem, a więc jest niejako uczuciem z dołu w górę — to przecież ma ona także swój biegun przeciwny, naładowany równym potencjałem niechęci, nieżyczliwości, szpetnego sobkostwa: arogancję.

Arogancja to również dobitny rys sarmaty. Niech no się tylko komuś zacznie powodzić — jakie od razu miny, jakie gesty, jaki sposób bycia! Najsilniejszym katalizatorem wydaje się przy tym władza. Najmarniejszy okruch przewagi „decydenckiej" już wydyma pogardliwie wargi pomazańca, już „pan nie wie, kto ja jestem", już kategoryczne żądanie przywilejów choćby bardzo śmiesznych, maleńkich, głupiutkich, ale zwiększających różnicę pomiędzy tym co mówi, a tym czego akurat musi słuchać. Co krok arogant zderza się z zawistnikiem, czasem maskują się konwencjonalnym słówkiem, uśmiechem, ukłonem — a w głębi serca warczą na siebie wzajem, przyczajeni, zawistni, aroganccy. Za to maskowanie każą sobie przy najbliższej okazji tym więcej zapłacić: bomby z opóźnionym zapalnikiem.

Gdziekolwiek jestem, widzę i czuję obecność takich przyczajonych ładunków. Weźmy dla przykładu maleńki wycinek społecznej rzeczywistości: samochodziarzy. Sam należę do większości niezmotoryzowanej, chociaż bowiem bywały okresy kiedy mogłem sobie pozwolić na kupno skromnego wozu, nie uważałem tego za potrzebę ważniejszą od innych. Myślę więc, że mam prawo nie podejrzewać siebie o zawiść w stosunku do tych, którzy zadają szyku swoimi czterema kółkami. Tylko że nie lubię, kiedy tego szyku jest za dużo i kiedy przybiera formy aroganckiego panoszenia się.

Samochody — a właściwie ich posiadacze — rozpanoszyli się wszędzie. Samochody stoją na chodnikach zawężając je tak, że w ogóle pieszy przecisnąć się nie mogą pomiędzy ścianą domów a ścianą karoserii — na przykład na ulicy Traugutta przy Piotrkowskiej. Są setki takich punktów w mieście, gdzie pieszy musi zejść na jezdnię, często w błoto, kałuże i śnieg, żeby ominąć jego ekscelencję Malucha, przypartego zadem do ściany. Czasami odwrotnie: nie można zejść na jezdnię i przejść na drugą stronę, bo parkujące wozy stoją ciasno przytulone jeden do drugiego. Na nowych osiedlach, pomiędzy luźno stojącymi blokami miejsca jest dużo, ale i tak utarł się fatalny zwyczaj ustawiania wozów tak, że połową stoją na trawnikach; mogę w każdej chwili pokazać połamane, ledwie że zasadzone, drzewka, poniszczone klomby i zieleńce. Jeszcze jeden wróg zieleni w naszym mieście: parkujący samochód. Tak maltretowanej, niszczonej, zamienianej w brud, błoto, beton zieleni jak w Łodzi nie widuję nigdzie indziej, pisałem o tym już nieraz, nie wiem skąd ta zaciekła złość na każde źdźbło trawy w mieście, którego mieszkańcy w wielkiej części są mieszczanami w pierwszym pokoleniu.

Nie czuję się bezpieczny na pasach, wyznaczających przejścia przez jezdnię. Rzadko który samochód zwalnia przed pasami, jadą ciurkiem, także wtedy, gdy po przeciwnej stronie stoi na przystanku tramwaj, do którego w sposób niewątpliwy zdążają przechodnie. Dużo razy na ul. Narutowicza przy Akademii Medycznej uciekł mi tramwaj (w kierunku Radiostacji) tylko dlatego, że jadące auta nie pozwoliły przejść przez jezdnię. To jest jeden z typowych przejawów arogancji tego, który jest lepszy, bo siedzi za kierownicą.

O sadystycznym wjeżdżaniu całym pędem w kałuże i ochlapywaniu przechodniów niezmywalnym łódzkim błotem pisano już nieraz. Czy wspominać jeszcze o kierowcach — bo zdarzają się i tacy — którzy widząc niesprawnego przechodnia na jezdni nie tylko ani myślą zwolnić, jeszcze trąbieniem zmuszają go do takiego śmiesznego, starczego biegu?

To znana prawda: w Polsce samochód w większości wypadków nie jest potrzebny do wygodnego poruszania się. Jest potrzebny jako oznaka pozycji społecznej, narzędzie prestiżu, zadawania szyku.

Nie szkodzi, dążenie do podkreślenia swojej obecności w świecie jest człowiekowi wrodzone i może stanowić potężną siłę twórczą. Ważne jest jednak, żeby nikt nigdy nie zapominał o niezbędnym warunku, umożliwiającym nam wszystkim znośne wspólne bytowanie: o kulturze w każdym czasie i miejscu.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

4

Spojrzenie znad szachownicy

Po co Matka Natura wymyśliła grzyba czernidłaka?

Za równowartość dwóch, trzech talerzy świątecznej zupy grzybowej nabyłem w antykwariacie wydaną zaledwie w 1981 roku przez Państwowe Wydawnictwo Rolnicze i Leśne książkę „Grzyby" Jarosława Klana ze znakomitymi ilustracjami Bohumila Vancury. Tak przeliczając wychodzi nawet niezbyt drogo, zważywszy jednak, że suszone prawdziwki widziałem po 20 tys. kilogram, a na porządną zupę trzeba wziąć co najmniej z pięć dekagramów, dwa, trzy talerze — zależnie od stopnia esencjonalności — można wycenić na te 500 złotych...

Mimo wszystko opłaciło się powiększyć kolekcję grzybowych atlasów, wertując książkę przekonałem się bowiem, że sprytni Czesi akurat przy grzybobraniu okazują się być od nas odważniejsi, zbierając — a także jedząc — przeróżne różności, których brat Polak nawet by nie tknął. Redaktorzy książki utwierdzają nas zresztą w tej przezorności, co i rusz ładując dopisek, że ten i ten grzyb (monetki, grzybówka hełmiasta, niektóre odmiany muchomorów, mleczaj płowy i rudy etc.), jest „w Polsce niejadalny", jakby po drugiej stronie Tatr ludzie mieli inne żołądki. Tymczasem chodzi po prostu o to, że są ściśle wyselekcjonowane grzyby dopuszczone do obrotu handlowego — takie, które na targowisku można sprzedawać nawet zupełnym laikom — i są grzyby jadalne, wszakże pod warunkiem dobrego rozeznania w bliźniaczych niekiedy odmianach, uprzedniego obgotowywania, zbierania wyłącznie osobników młodych, no i tak dalej, i tak dalej.

Zamiast straszyć, lepiej byłoby tedy do kolejnego atlasu grzybów dołączyć „instrukcję obsługi", zestaw przepisów na przyrządzanie mniej znanych gatunków, a ręczę, że taka książka stałaby się szlagierem wydawniczego sezonu. Zwłaszcza, że mieliśmy przecież stać się drugą Japonią, tam zaś z grzybami robi się różne cudeńka.

Dowiaduję się bowiem oto, iż taki uszak bzowy (w Polsce — rzecz jasna — niejadalny) szczególnie lubiany jest w Chinach i Japonii, gdzie właśnie przyrządza się z niego rozmaite sałatki, ale teraz chciałbym mieć na tę sałatkę przepis. Chciałbym też wiedzieć, jak spreparować do konsumpcji zimówkę aksamitną — nadrzewny grzyb owocujący w zimie, gdy temperatura spadnie poniżej zera, skąd wniosek, że najwyższy czas wybrać się na grzybobranie — którą to zimówkę Japończycy (znów Japończycy!) nie tylko nauczyli się hodować na skalę przemysłową, lecz wyekstrahowali z niej flamulinę hamującą rozwój komórek rakowych. A koło pięćdziesiątki każdy przecież ma już raka, bądź przynajmniej myśli, że ma, bądź mieć będzie...

2.

Pomysł wydania poradnika grzybowo-kulinarnego (koniecznie z samurajem ścinającym koźlaka na okładce) odstępuję całkiem gratis, teraz chciałbym jednak nawiązać wreszcie do tytułu straszącego bezwstydnie ogromnym znakiem zapytania.

Otóż: skoro wiemy, że grzyby są starsze od człowieka, były, gdy nas nie było, a poczciwy neandertalczyk grzybami głównie się żywił, zachodzi pytanie, po co Matka Natura wymyśliła grzyba czernidłaka? Czy wyrósł kiedyś ot tak sobie — a czernidłak rośnie szybko, choć szybko też obumiera, rozkłada na maź kleistą — czy został zaprojektowany z rozmysłem, bo jeśli z rozmysłem, to wszystko w ogóle zostało z góry zaprogramowane i czas zacząć wierzyć w przeznaczenie, kismet.

Zaprogramowany został bowiem homo sapiens.

Zaprogramowane zostało, iż ów homo sapiens nauczy się destylować alkohol.

Zaprogramowane zostało, że popijając alkohol homo sapiens zacznie używać brzydkich wyrazów, bijać ukochaną małżonkę, słowem rozrabiać jak zajączek, a nawet jeszcze gorzej.

Zaprogramowane zostało wreszcie, że homo sapiens zeżre kiedyś po pijanemu grzyba czernidłaka, poczuje zawrót i ból głowy, szum w uszach, a może nawet straci przytomność. Przykre objawy ustaną bez żadnych lekarstw, jeżeli przetrzeźwiony już homo sapiens znów poje sobie jednak czernidłaka — powrócą, a dziać się tak może nawet do dni trzech od daty pijaństwa.

Czernidłak — powiadają mądrzy Czesi — zawiera bowiem koprinę, która hamuje rozpad alkoholu na etapie aldehydu octowego, zatrucie następuje tedy nie grzybem, lecz aldehydem, grzyba jeść można, lecz wyłącznie na trzeźwo. Przyznaję, że mało z tego rozumiem, nie wiedziałem nawet dotąd, że w ramach kaca coś się we mnie rozpada, ten alkohol niby, cała sprawa nie daje mi jednak zasnąć.

Skoro czernidłak rósł sobie w najlepsze również wówczas, gdy nie słyszano ani o anticolu, ani o aldehydzie octowym, ani nawet o wódce czy winiaku, to po diabła wytwarzał w sobie tę koprinę? Nie służyła przecież na nic i nikomu, alkohol nie występuje w przyrodzie w stanie czystym, nie można więc było powstrzymywać jego rozpadu na żadnym tam etapie dopóki nie pojawił się homo sapiens i nie zabrał się do destylacji. Albo więc Matka Natura odeonów działa całkiem bez sensu, albo też zasadzając grzyba czernidłaka z góry przewidziała, że ja się kiedyś urżnę i już przed milionami lat podłożyła mi świnię, bombę z opóźnionym zapłonem. To z kolei nie świadczyłoby o niej ładnie i sam już nie wiem, która alternatywa jest lepsza...

JERZY P.

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogdan Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc (grafik), Lucjusz Wiodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" ul. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-90 publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201043 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. Dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch", Łódzkie - Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 2676. F-11.

Jeżeli nie stać cię na pójście do „MAKSIMA", przeczytaj ten tekst!

Foto: M. Zajdler

Sierotka Marysia w Night Clubie

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

„Maxim" — jedyny w Łodzi i jeden z dziesięciu w Polsce lokali kategorii luks, mieści się przy zbiegu ulic Piotrkowskiej i Narutowicza (wejście z podcienia). Obok wejścia znajdują się tablice informacyjne. Ci których nie stać na spędzenie tu nocy, mogą sobie obejrzeć fragmenty wnętrza tego luksusowego lokalu, przedstawione na barwnych fotografiach, jak i przeczytać kogo i co mogliby obejrzeć, gdyby ich było na to stać.

Jest sobota, 20 listopada 1982 r., godzina 21. Przed wejściem do „Maxima" pusto. Stoi tu tylko dwóch młodzieńców. Nie mają więcej niż po 20 lat. Trzymając w uniesionych dłoniach karty wstępu, czekają cierpliwie, aż zostaną wpuszczeni. Przebierają obaj nogami, jak gdyby już tańczyli, ale to z zimna, bo są tylko w kurtkach. Prawdopodobnie zajechali tu jednym z kilku zaparkowanych po drugiej stronie Piotrkowskiej samochodów, które są przedniej marki, jakkolwiek opatrzone łódzkimi numerami rejestracyjnymi. Zostają wreszcie dostrzeżeni z wewnątrz, bo otwierają się przed nimi podwoje.

Muszę tu od razu wyjaśnić że nikt z personelu nie musi się martwić o kogokolwiek, kto o tej porze zagląda przez oszklone drzwi. Karty wstępu, jak zwykle, o czym zostałem poinformowany już wcześniej, zostały sprzedane na grubo przed dwudziestą, o której to godzinie lokal rozpoczyna właściwą działalność. Tak więc ktokolwiek o tej porze stanie przed oszklonymi drzwiami, ujrzy tabliczkę z napisem „Brak wolnych miejsc" i jeśli nie jest posiadaczem karty wstępu, nie ma po co stać.

Jeśli chodzi o mnie, to jestem umówiony, chcę coś o „Maximie" napisać, a przede wszystkim przekonać się, że jest to prawdziwie reprezentacyjny lokal którym nasze miasto może się tylko chwalić.

Wywieszka z napisem „Brak wolnych miejsc" tłumaczy brak zainteresowania także i moją skromną osobą, a właśnie postanowiłem znaleźć się w środku, bo mimo iż nie zajechałem tu żadnym samochodem i jestem odpowiednio na tę porę roku ubrany, zaczynam szczękać zębami. Ale oto przed tablicami informacyjnymi zatrzymuje się para w statecznym wieku i stateczny pan odczytuje półgłosem, że spotkanie z gwiazdą, dyskoteka, balet, striptease, i mlaszcze żartobliwie językiem, co stateczna pani komentuje z wyrzutem:

— *Ty mimo swoich lat chętnie byś się tutaj zabawił, co?!.*

— *Coś ty* — stateczny pan się jakby oburza — *przecież walca bym tam nie zatańczył.*

I stateczna para odchodzi, zerkając na mnie podejrzliwie.

Przez moment chcę nawet zrezygnować, też już przecież ze mnie człowiek stateczny, ale zostałem dostrzeżony przez człowieka, który tu wpuszcza, więc proszę, by podszedł do drzwi i je przede mną otworzył. Człowiek, który tu wpuszcza, ubrany jest w czarny golf, ma czarne, krótko przystrzyżone włosy, jest odpowiednio przy tym szeroki w barach, więc się domyślam, że jest to jeden z zatrudnionych tu karateków, o czym informował w dniu otwarcia „Maxima" 3.XI.1982 r. „Express Ilustrowany". Mając to na uwadze, tłumaczę grzecznie, że jestem umówiony i mówię do kogo mam się zgłosić. Człowiekowi, który tu wpuszcza, trudno w to uwierzyć, więc prosi zastępcę kierownika, któremu raz jeszcze wyjaśniam w czym rzecz i zostaję wreszcie wpuszczony.

W jasno oświetlonym holu naprzeciw szatni są rozmieszczone automaty do gier hazardowych, ale nie ma chętnych, mimo że żetony są w posiadaniu dwóch ładnych dziewczyn, co powinno być wystarczającą zachętą. Jedna z nich narzeka

— *Znów przyszedł ten cinkciarz, który tak zdenerwował kierowniczkę. Ale dzisiaj jest trzeźwy i nie można go było nie wpuścić. Kierowniczka oznajmiła mu, że nie chce go tutaj widzieć, to wiesz co on powiedział? Powiedział, to niech pani przyprowadzi milicję, albo samego prokuratora.*

— *Trzeba mu tutaj zabronić wstępu* — orzekła druga.

— *Tak* — zastanawia się pierwsza — *ale czy jest takie prawo?*

Wbiegam na górę po wyłożonych miękkim dywanem lub może tylko cenną wykładziną schodach, które na pewno są marmurowe, przytrzymując się lśniącej poręczy. Wchodzę na salę zastawioną dwoma rzędami wygodnych foteli o wysokich oparciach, pomiędzy którymi stoją niskie, ale za to wystarczająco wysokie stoliki — rzecz jasna zastawione. Patrzę po twarzach gości i ze zdumieniem stwierdzam, że widzę same miłe twarze. Pod podeszwami nadal mam bardzo miękko, dopóki nie skręcam na parkiet, przez który z trudem przeciskam się do barku. Na szczęście disc-jockey zafundował gościom wolniejszy i nawet dość nastrojowy utwór i nie zagraża mi żaden z tańczących.

Przy barku pustki, tylko trzy stołki są zajęte przez smagłych cudzoziemców. To zapewne jedni z tych — myślę o cudzoziemcach — którzy oprócz stypendium złotówkowego otrzymują co miesiąc po 340 dolarów na drobne wydatki, o czym także wyczytałem w „Expressie Ilustrowanym" (nr 164 z 2.XI.82 r.), dowiadując się przy okazji, że jeden z przedstawicieli Trzeciego Świata, gdy usłyszał, że za wstęp do „Maxima" musi zapłacić 3000 zł, dostał ataku furii i rozbił szybę wystawową. Była to informacja pełna pikanterii i trochę myląca fakty albowiem za wstęp do „Maxima" jedna osoba płaci 1500 zł, przy czym 500 zł z tej sumy wydatkuje na to, że sobie potańczy i obejrzy program rozrywkowy, a 1000 przeznacza a conto na to, co sama skonsumuje. Ponadto ów rączy obywatel Trzeciego Świata był, krótko mówiąc, na pożądnym gazie i wzbudził swym protestem zainteresowanie patrolu milicyjnego, o czym już dobrze poinformowany reporter „EI" nie wspomniał.

Foto: M. Zajdler

Cudzoziemcy przy barku rozprawiają o czymś żywo w swoim języku, popijając drinki i mają miny prawdziwych światowców. Poprawiam więc swoją minę i proszę barmankę, która nie szczędzi mi miłego uśmiechu o piwo, za które płacę od ręki 150 zł, a które, jak sobie postanawiam, będę sączył oszczędnie.

Sączę przeto piwo (Żywiec) wsłuchuję się w rytm dyskotekowych przebojów i patrzę na tańczących, wśród których zwraca na siebie uwagę młoda i jakże atrakcyjna blondyneczka, ubrana tak schludnie i zarazem tak skromnie, że można by ją pomylić z biedną Sierotką Marysią, gdyby nie to luksusowe miejsce. Jej partnerem jest równie schludnie, ale za to bardziej światowo ubrany brunet, na pewno niewiele starszy od niej, lecz już dość wyraźnie znudzony życiem. Gdy dziewczę robi piruety, on ledwo drobi przy niej i nawet na nią nie patrzy. Tą para, jak dowiaduję się później od samej Lidii Stanisławskiej, przychodzi tu trzecią noc z rzędu, prawdopodobnie dlatego, że dziewczyna uwielbia tańczyć. No cóż, nie dziwię się młodej koneserce tańca, że upodobała sobie akurat parkiet w „Maximie", bo ma na nim sporo miejsca dla siebie, a ponadto, co stwierdzam z uznaniem dla tutejszego disc-jockeya, znakomicie wybrane i subtelnie serwowane przeboje disco, które wręcz same wyzwalają fantazję w nogach. Dziwię się natomiast partnerowi dziewczęcia, że będąc aż tak znudzony życiem mimo wszystko nie przestaje tańczyć. A poza tym, nawet jeżeli jest księciem z tej samej bajki co jego partnerka, powinien pomyśleć co się stanie z biedną Sierotką Marysią, gdy nie będzie się mogła obejść bez drinka w lokalu kategorii luks?

Punktualnie o 23 disc-jockey zapowiada występ gwiazdy. Zmiana świateł, a tym samym nastroju i na parkiecie pojawia się Lidia Stanisławska. Jest stremowana, mówi niezbyt składnie, stara się być urzekająco miła dla gości, ale przekonuje ich do siebie dopiero wtedy, gdy zaczyna śpiewać. T przecież najlepiej potrafi, a nie jest to łatwa sztuka w tutejszych warunkach, przy skromnym akompaniamencie samego pianina. Nielicznych, którzy nie zauważają piosenkarki, ucisza jeden z karateków, ale tylko słowem.

Pomiędzy piosenkami, gwiazda opowiada także dowcipy. Najbardziej podoba się jeden z wymyślonych podobno przez Jana Himilsbacha. Chodzi o sposób na kryzys energetyczny.

„Dajcie — proponuje naszemu rządowi J.H. — 36 milionom paszporty. Ostatni zgasi światło".

Gdy wybucha salwa śmiechu i rozbrzmiewają oklaski, zaczynam się zastanawiać, gdzie ja właściwie jestem? Czy ten lokal na pewno jest w Łodzi? Cholera, myślę, czy czasami nie okaże się, że jestem w Nowym Jorku i co pocznę bez jednego centa w kieszeni? Zaraz się jednak uspokajam, bo oto do cudzoziemców podchodzi grubas w swetrze i jestem pewien, że następuje właśnie coś w rodzaju transakcji, więc w razie czego i ja kupię chociaż jednego dolara. A wiadomo, że w Ameryce wystarczy mieć na początek jednego dolara, bo jeśli się wie, co z nim zrobić, szybko można zostać Rockefellerem. Ale jak mi się zdaje, wśród wszystkich tu obecnych, jest to tylko moje zmartwienie.

Po występie — recitalu (mówiono-śpiewanym), gwiazda Lidia Stanisławska jest bardzo zmęczona. Trochę też zadowolona. Dziś odniosła sukces. C wiele gorzej było wczoraj. Wśród gości było spore grono rozwrzeszczanych Cyganów, którzy bardzo skutecznie przeszkadzali jej w pracy. Na moje pytanie, czy jeszcze kiedyś wystąpi w łódzkim „Maximie", pani Lidia odpowiedziała, że będzie się mocno zastanawiała. Praca tutaj (przez pięć wieczorów) okazała się bardzo wyczerpująca, łódzki lokal kategorii luks nie ma jeszcze odpowiedniej tradycji i klienteli, o czym świadczą powypalane (JUŻ!) skórzane obicia foteli. Goście jak gdyby nie zdawali sobie sprawy z tego, gdzie są. Bawi ich przede wszystkim to, że mogą być panami sytuacji, mają przecież pieniądze, personel musi się z nimi liczyć. Najtańszy drink kosztuje 105 zł (25 gram), najdroższy prawie 500 zł, butelka szampana 800 zł.

Do pani Lidii podchodzą dwaj m ł o d z i u t c y (!) dżentelmeni z prośbą o autograf (na odwrocie kart konsumpcyjnych). Gdy pani Lidia wyraża swoje zdumienie, że jeszcze nie śpią, odpowiadają, że wyśpią się w wojsku, a zatem są w wieku przedpoborowym. Tymczasem zbliża się pora toplessu, a potem stripteasu, a ponadto na ścianach mają być wyświetlane barwne zdjęcia nagich piękności. A to sobie chłopaki użyją przed wojskiem, no, no!...

Disc-jockey znowu zaprasza na parkiet i Sierotka Marysia już wykręca swoje wspaniałe piruety, a jej książę, kompletnie znudzony, dotrzymuje towarzystwa, drepcząc niedbale w miejscu. Za to inni chłopcy starają się Sierotce dorównać. W ogóle jest tutaj większość chłopców, tak więc fama, że do „Maxima" wpuszczane są tylko pary koedukacyjne, jest nieprawdziwa, chociaż... niektórzy chłopcy wdzięczą się w tańcu lepiej niż to robią dziewczyny, a i oczka mają za długimi rzęsami dziewczęco rozanielone.

Niespodzianka. Spotykam znajomą, która jest w towarzystwie pana, który sprawia na mnie wrażenie atlety lub tylko lekkoatlety. Taki wysportowany przystojniak. Znajoma ma dobry gust. Siadają przy barku, atleta czy też lekkoatleta zamawia drinki. Mam nadzieję, że nie zostanę dostrzeżony przez znajomą, ale dziewczyna jest bardzo spostrzegawcza i po chwili podaje mi dłoń do pocałowania.

— **Ty tutaj?** — pyta zdumiona.

— Jak mogłaś opuścić dla mnie takiego mężczyznę — mówię wyrażając podziw dla jej partnera.

— **Co ty tu robisz?** — znajoma woli sama zadawać pytania.

— Pracuję — mówię i znajoma jest jeszcze bardziej zdumiona. Wie, że mam dziurawe kieszenie, więc nie mogłem jej powiedzieć, że jestem tu zwykłym gościem.

— **Poznajesz złotą młodzież?** — pyta.

— Nie, jestem tu jako wykidajło i mam pieczę nad barkiem. Dorabiam.

Zdumienie znajomej przechodzi w fazę ekstremalnej pełni.

— **Wszystkich spodziewałam się tutaj spotkać** — mówi — **cinkciarzy, defraudantów i malwersantów, złotą młodzież, ale nie ciebie?!...**

— Takie jest życie — odpowiadam z nie ukrywanym bólem.

Znajoma odchodzi, nie prosząc, żebym do niej zatelefonował, a zawsze prosiła. No cóż, nie mam u niej już żadnej szansy. Mnie nie będzie stać na zaproszenie ją tutaj choćby na jednego dobrego drinka, nawet jeżeli jeszcze raz zostanę tu wpuszczony na tych samych zasadach co dzisiaj.

Oglądam więc ten najbardziej reprezentacyjny z lokali w Łodzi, jeden z dziesięciu w Polsce o kategorii luks. I co ja o nim myślę? Myślę, że jak na 10 milionów złotych które zostały wpakowane w adaptację tutejszych pomieszczeń, to palce lizać, lokal jest rzeczywiście ekstra, tylko czy nie miała racji moja znajoma, mówiąc, że spodziewała się zastać tu wszystkich tych, których wymieniła, oprócz mnie? Nie wiem, czy są tu akurat tacy, ale że jest tu złota młodzież, to na pewno, i to w każdym razie od pierwszego dnia.

„Maxim" nie cierpi na brak frekwencji i mimo dwóch napastliwych notatek, jakie ukazały się o nim w „Expressie", został zareklamowany w „Głosie Robotniczym" (19.IX.1982 r.) piórem Dariusza Darzyckiego, pod trafnym tytułem „Monte Carlo nad Łódką". Autor był znakomicie poinformowany o cenach, o tym, że jest tu 14 stolików i 68 miejsc, że jeden kelner, jak tego wymaga kategoria luks obsługuje tylko dwa stoliki, a i tak, jak widzę, nie ma tutaj kelnera, który by nie miał pełnych rąk roboty. O tym wreszcie, że „Budrem", który był głównym wykonawcą „Maxima", stale z czymś nawalał i gdyby nie wysiłki inwestora, którym jest łódzki oddział Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych, jeszcze długo nie doszłoby do otwarcia. Myślę, że gdyby nie indolencja „Budremu", mielibyśmy „Maxima" o wiele wcześniej, zanim nastąpił kryzys. I może wtedy redaktor poczytnego „Głosu" nie musiałby zadawać pytania, dla kogo jest ten luksusowy lokal (?), i nie wykręciłby się z odpowiedzia na nie stwierdzeniem, że to już nie jego sprawa. Przyznaję, że moja też nie.

Funduję sobie jeszcze jedną butelkę piwa. Co mi tam, świat się może jutro skończyć, bo przecież te bomby, ten wyścig zbrojeń, więc mogę nie potrzebować pieniędzy, o czym mnie uświadomiła Lidia Stanisławska kończąc podobnym stwierdzeniem swój recital. Przekonała nie tylko mnie, bo barek się wypełnił.

Tymczasem na parkiecie kończy występ para taneczna. Tancerka nie dorównuje Sierotce Marysi, tancerz jest nadto dynamiczny i nie bardzo wychodzi ten numer z próbą uklasycznienia tańca dyskotekowego. Zaraz potem jest topless. Artystka jest zatrważająco chuda, ale udane ma piersi, co trzeba jej przyznać, i oczywiście odnosi sukces. Nie wróżę jej jednak sukcesu, kiedy się całkiem rozbierze i nie chcąc przeżyć jej klęski, dopijam piwo, odrywam się od barku, wychodzę, jakoś tak szybko, że aż sam się dziwię.

Na dole, przy grach hazardowych tylko dwóch chętnych. Oczywiście młodzieńcy. Odbieram z szatni swoje okrycie, karateka w czarnym golfie towarzyszy mi do samych drzwi, które otwiera i zamyka za mną.

Oddycham z ulgą. Nie jestem w żadnym Monte Carlo, ani tym bardziej w Nowym Jorku. Jestem na dobrze mi znanej, opustoszałej o tej porze i słabo oświetlonej Piotrkowskiej. Lecz myślę nie bez dumy, że Polacy nie gęsi, też swoje n i g h t - c l u b y mają! Tylko, że... no właśnie, co będzie z Sierotką Marysią?...

WIMBP im. J.P.